

Suzanne Barrett

Poskromić bestię

1

- Mam jechać do Anglii? Teraz? Chyba żartujesz! - Karin Williams siedziała w biurze swego szefa w San Jose, skrzyżowawszy smukłe nogi; ręce spłotła nad kolanami. Przeczuciwała, że coś się szykuje; nie zdarzyło się jeszcze, by Leonard Dalkey wywołał ją z zebrania. Podniosła ku niemu wzrok. Zmęczenie pogłębiło bruzdy na twarzy starszego pana.

Leonard poprawił się w wielkim skórzanym fotelu.

- Karin, zdaję sobie sprawę, że to nie najlepszy moment, by odciągać cię od roboty, ale nic na to nie poradzę. Jesteś moim najlepszym inżynierem, jedynym specjalistą od montażu z praktyczną znajomością telemetrii. - Wychylił się do przodu, spojrzał jej w oczy. - Nie muszę ci chyba tłumaczyć, jak bardzo potrzebujemy tego kontraktu. W grę wchodzi przyszłość firmy Dalkey i Williams.

Karin wstrzymała oddech. A może i jej własna przyszłość? Leonard nigdy by tego nie powiedział, ale wniosek narzucał się sam, wystarczyło spojrzeć na jego posępną minę i zmarszczone brwi. Leonardowi obce było czarnowidztwo, teraz jednak czuło się w nim niepokój; widoczne na jego twarzy napięcie udzieliło się Karin. Mimo że czuła się odpowiedzialna za losy projektu, nad którym pracowała, nie mogła przecież zaprzepaścić własnego awansu. Co więcej, nie mogła zawieść Leonarda, który tak bardzo ufał jej zdolnościom. Tak, współpraca z konsorcjum Pickeringa może tylko wzmocnić jej pozycję. Brytyjska firma należała do ścisłej czołówki przedsiębiorstw zajmujących się inżynierią budowlaną. Karin zawahała się; myśl o pracy z elitarnym zespołem Brytyjczyków napęła ją nagłą obawą. Czy nie natknęła się w zeszłym roku na artykuł o jednym z ich inżynierów w *Głosie Projektanta*? Coś w nim było... niepokojącego. Zmarszczyła czoło, w miarę jak przypominała sobie tekst.

- Co będzie z Marsdenem? - zapytała wreszcie Karin. - Jak zareaguje na uwagi pochodzące od kogoś w moim wieku? I na dodatek od kobiety?

- Możesz się mierzyć z każdym w tej dziedzinie, nawet z własnym ojcem.

Jednak...

Karin wyprostowała nogi, wygładziła płócienną spódnice.

- O co tu chodzi, Leonard? Coś przede mną ukrywasz. Rysy starszego mężczyzny stężyły, przeczesał ręką szpakowate włosy.

- Ja... widzisz, nie jestem pewien, czy słusznie robię, wysyłając cię tam. Chodzi mi o Marsdena. Ale nie mam nikogo innego.

- W czym rzecz? Czy to jakiś potwór o dwóch głowach, czy co?

Leonard podrapał się w podbródek.

- Wieść głosi, że to człowiek szczególnie... hm... ujmujący. - Mimo trzydziestu lat pobytu w Stanach Leonard nie pozbył się akcentu z Yorkshire.

- Czy można mieć wątpliwości co do jakości jego pracy? Leonard parsknął śmiechem.

- Nie miej żadnych złudzeń. W swojej dziedzinie Marsden jest najlepszy. Tyle że - przerwał, jakby szukając słów - jego stosunek do kobiet narobił mu wrogów w kierownictwie Pickeringa. Marsden uważa, że żadna kobieta nie może być dobrym inżynierem. Wszystkie, które z nim pracowały, prędzej czy później wylatywały pod tym czy innym pretekstem.

Tak, o tym właśnie mówił artykuł. Były jakieś oskarżenia o szykanowanie drugiej płci, niby bez dowodów, ale... Czy zdoła pracować w klimacie, w którym cały czas będzie musiała udowadniać, że jest dobra? Karin przygryzła dolną wargę. Leonard pełnił wyjątkową rolę w jej życiu. Po śmierci ojca zajął się nią, pomógł w ukończeniu szkoły. To on skłonił ją do kontynuowania studiów, to on stawiał przed nią coraz trudniejsze zadania; dzięki temu wszystkiemu została cenioną specjalistką w zakresie projektowania.

Spojrzała w jasnoniebieskie oczy. Mniejsza o Marsde-na, nie może przecież zawieść Leonarda. Karin podniosła głowę i westchnęła.

- Niech będzie. Zrobię to. Lecę we wtorek.

- Zanim pojedziesz... - Wpatrzył się w nią z lekkim uśmiechem. - Marsden rozpaczliwie potrzebuje pomocy. Jeżeli doprowadzisz do realizacji projektu zgodnie z dokumentacją, nie tylko mamy w kieszeni następne kontrakty z konsorcjum, ale i - uśmiechnął się szeroko - masz zapewniony awans.

Karin otworzyła szeroko oczy. Naczelnym inżynierem w wieku dwudziestu sześciu lat! Czegoś takiego jeszcze nie było u Dalkeya i Williama. Przypomniała sobie nagle, jak ciężko pracowała, żeby los się do niej uśmiechnął, ile nadliczbowych godzin przesiedziała w biurze. W miarę jak Leonard wprowadzał ją w szczegóły nowego zadania, zdała sobie jednak sprawę, że robi to wszystko dla niego, a nie dla awansu.

Marsden potrzebował podstawy do anteny. Ubiegłej wiosny zaprojektowała taką platformę w Nevadzie. Następna powinna już być dziecinadą. Jedyńm utrudnieniem był ten uparty Anglik, żywiący uprzedzenia do inżynierów-kobiet. Ale ona mu pokaże.

Uśmiechnęła się serdecznie do szefa.

- Nie będziesz miał powodów do narzekań, Leonardzie. Przrzekam ci. Gdzie u diabła podział się ten Williams? Rowan Marsden raz jeszcze rzucił okiem na ekran z listą przylotów, po czym wyciągnął z kieszeni marynarki kartkę i ponownie odczytał tekst faksu. *K. M. Williams przylatuje do Manchesteru w środę w południe, British Airways, lot 4452.* Dziś była środa. Wszystko się zgadzało, tyle że lot numer 4452 został odwołany. Dowiedział się o tym po przyjeździe na lotnisko; jakiś alarm bombowy na londyńskim Heathrow. Samolot wiozący jego nowego inżyniera wyleciał z pięciogodzinnym opóźnieniem. Wcisnął kartkę z powrotem do kieszeni i ruszył zdecydowanym krokiem w stronę informacji.

Nagle stanął jak wryty.

Klaudia! Co do cholery mogła robić w Manchesterze? Odwrócił się. Skąd się w ogóle wzięła w Anglii? Raz jeszcze spojrzał na kobietę, która dopiero co wyłoniła się z korytarza.

Niby te same bujne, ciemnokasztanowe włosy co u jego byłej żony, ale ściągnięte do tyłu i spięte klamrą; tylko na skroniach wymykały się niesforne kosmyki. Wygnieciony, ściśle opinający figurę komplet w zielonkawym kolorze. Krótka marynarka podkreślała kształtne pośladki i równie pociągające długie, umięśnione nogi. Podobieństwo wprost niesłychane. Ale to nie Klaudia. Ta kobieta jest przynajmniej o głowę wyższa. Poczul ulgę.

Kobieta podniosła głowę, spojrzała ku niemu. Jej oczy błysnęły niepokojąco.

Co za szczęście, że to nie Klaudia. Rowan oderwał od niej wzrok, rzucił okiem na zegarek i ruszył przez wielką halę. Poprosi o wywołanie Williamsa.

Karin przerzuciła torbę na drugie ramię. Za ogromnymi szybami pomarańczowe smugi światła bladły, w miarę jak zmierzch zaciemniał przymglone niebo nad Manchesterem. Żyrandole rozbłysły pod sufitem, odbiły się od okien, Karin zmusiła do marszu sztywne od podróży nogi. Pod powiekami czuła piasek, skronie tętniły bólem. Jak zwykle sennie chciał do niej przyjść w czasie lotu. Zamarzyły się jej filizanka herbaty, dwie aspiryny i miękkie łóżko.

Stała pod kolumną w sektorze odbioru bagaży, wyjęła z torebki puderniczkę. Wykrzywiła się na widok własnego odbicia. Pociągła twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi i wąski prosty nos - za wąski i trochę za długi, pomyślała. Fioletowe cienie pod szeroko rozstawionymi oczyma. Niekończący się lot nie wpłynął korzystnie ani na jej wygląd, ani na humor.

Pasażerowie mijali ją, niektórzy w towarzystwie rodziny lub przyjaciół, wszyscy zmierzali ku karuzeli z bagażami. Nikt, nawet z daleka, nie wyglądał na przedstawiciela firmy Pickering. Trudno było się dziwić. Samolot, którym miała przylecieć z Heathrow, został odwołany. Zatrzasnęła puderniczkę, opadła na najbliższą ławkę.

Minuty ciągnęły się niemiłosiernie; w końcu dostrzegła swoje bagaże na taśmie. Karin przepchała się przez tłum, wyciągnęła walizkę.

Głośnik rozkrzyczał się nagle:

- Pan K. M. Williams proszony jest o zgłoszenie się do informacji.

Karin nałożyła płaszcz, zarzuciła torbę na ramię. Obładowana bagażami ruszyła w stronę ruchomego chodnika. Ramiona zdążyły jej zdrętwieć, nim dojechała do końca. Stała w kolejce za małżeństwem w średnim wieku i opuściła torbę na ziemię.

Pchnęła czubkiem buta walizkę i stanęła przy kontuarze. Rozejrzała się wokół. Wysoki ciemnowłosy mężczyzna w tweedowej marynarce, czarnym swetrze i dzinsach stał o parę kroków od niej. To ten sam, który na nią niedawno patrzył. Miał dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Przystojny, pomyślała Karin. Mówi się o takich: facet-klasa. Zdecydowana klasa. Wpatrzyła się w niego, czując, jak coś jej zaczyna pulsować w szyi.

Zimne, szare oczy oszacowały ją, spojrzały dalej. Mężczyzna rzucił okiem na zegarek, zmarszczył brwi. Odwrócił się do urzędnika za kontuarem.

- Proszę raz jeszcze wywołać pana Williamsa. - Mówił ostrym tonem, głos miał głęboki, władczy, zabarwiony lekkim, północnym akcentem. Podobnie jak Leonard, pomyślała.

- Pan K. M. Williams...

Facet z klasą szukał jej! Przesunęła się w jego stronę. Górował nad nią tak, że poczuła onieśmienie i parę sekund upłynęło, nim wydobyła z siebie głos.

- Jestem Karin Williams. Pan jest od Pickeringa? Przeszył ją wzrokiem, w którym tańczyły srebrne odbły-

ski. Gęste brązowoczarne włosy dochodziły prawie do kołnierza marynarki. Wyglądał wyjątkowo przystojnie z opalenizną na twarzy i mocno zarysowaną szczęką. Nie spuszczał z niej oczu; Karin poczuła trzepotanie w brzuchu.

- Jeśli jest pani żoną pana Williamsa, to zaszła tu jakaś pomyłka. Nie dysponujemy pokojami dla małżeństw. Obawiam się, że przyjechała pani na próżno. - Oderwał od niej wzrok i rozejrzął się wokół.

- Nazywam się Karin Marie Williams i pracuję dla Dalkeya i Williamsa - powiedziała stanowczym tonem. - Nie ma mowy o żadnej pomyłce. - Jak rozumiem, pan na mnie czeka, panie...?

Spojrzał jej prosto w twarz.

- Wysłano mi kobietę? - Uderzył się dłonią w czoło. - To ja tu sterczę przez pięć pieprzonych godzin i czekam na ten cholerny samolot, a oni przysyłają mi kobietę? Na rany boskie!

Karin najeżyła się.

- Tak, to mnie wysłano! A jeśli chodzi o ścisłość, to pięć i pół pieprzonych godzin. - Może i klasa, ale co za nieokrzesany gbur. - Miło mi pana poznać, panie... Mniejsza, miałam ciężką podróż i nie mam siły na sprzeczki na temat płci. Czy mógłby mnie pan zawieźć do miejsca pracy? Popatrzył na nią złym wzrokiem, otworzył usta i zaraz je zamknął.

- Pani wybaczy. Byłem przygotowany na kogoś zupełnie innego. - Wyjął jej z ręki torbę, postawił przy sobie, muskając jej dłoń mocnymi ciepłymi palcami. - Jestem Rowan Marsden.

Karin spostrzegła, że drżą mu mięśnie szczęk. Więc to jest ten słynny satelitarny specjalista. Ona także była przygotowana na kogoś zupełnie innego! Wyobrażała sobie, że Marsden jest starszym, z lekka przygarbionym panem, a nie wielkoludem o groźnej twarzy. Przyjrzała mu się ukradkiem. Proste, ciemne brwi. Orli nos upodabniający go do drapieżnego ptaka. Głęboko wcięty podbródek. Taksujące oczy, w których błyskało coś, czego nie potrafiła nazwać. Strach? Zacerwieniła się, kiedy poczuła je na sobie. Z wysiłkiem nadała głosowi obojętny ton.

- Wiele o panu słyszałam, panie Marsden. Praca z panem będzie wielką przyjemnością.

- Nie sądzę. Podniosła brwi.

- Przepraszam?

- Nie będziemy razem pracować.

- Ale... Jestem inżynierem, którego pan potrzebuje.

- Myli się pani. - Marsden odetchnął głęboko. - Czekałem na mężczyznę, panno Williams, a nie na jakąś... panienkę.

- Przepraszam?

- Panienkę - rzucił krótko.

Karin złodowaciała. Była przygotowana na wszystko, ale nie na pogardę. Chwilę zajęło jej opanowanie rodzącej się złości.

- Nie sądzi pan, że jest trochę...

- Szowinistą? - podrzucił jej słowo z uśmiechem, od którego zamierało serce. - Z całą pewnością. Kobiety nie mają prawa wstępu na teren mojej pracy. Tymczasem - popatrzył na nią przeciągle - odprowadzę panią do hote-lu i będzie pani mogła zarezerwować powrotny lot na jutro rano. - Poderwał z ziemi ciężką walizkę i ruszył w kierunku wyjścia.

Wstęp wzbroniony dla kobiet? I jeszcze miał czelność nazwać ją „panienką”? Ruszyła za nim wzburzona, prawie biegnąc. Wyprzedziła go, czując, jak tętni w niej krew. Niech sobie nie wyobraża, że może ją tak po prostu zbyć, tylko dlatego, że jest kobietą!

Stała w drzwiach, gotowa do konfrontacji, ręce wsparła na biodrach.

- Chwileczkę, szanowny panie!

Zatrzymał się tuż przed nią, zmierzył ją spojrzeniem. Poczula, jak zalewa ją wściekłość.

- Przyjechałam, żeby wyciągnąć pana z opresji. Nie zasługuję na takie traktowanie.

Tęgi bagażowy klepnął ją w ramię.

- Przepraszam, panienko. - Odsunęła się na bok, by przepuścić wózek.

Marsden złapał ją za rękę, pociągnął. Wskazał kawiarnię w głębi holu.

- Proponuję, by wysłuchała pani moich wyjaśnień w mniej niebezpiecznym

miejscu.

Karin wyswobodziła się. Ruszyła przed nim, wślizgnęła się za stolik i usiadła na skórzanej sofie. Postawiła torbę obok siebie, dłonią wygładziła pomięte płócienne spodnie. Czekwała w pełnej napięcia ciszy, żeby coś zamówić.

Rzuciła okiem na milczącego mężczyznę siedzącego naprzeciwko; dostrzegła cienkie linie biegnące od nosa ku kącikom ust i cień zarostu na masywnej szczęce. Marsden nie sprawiał wrażenia niezadbanego; był zdecydowanie seksowny, tajemniczy. I zażenowany jej obecnością.

Pijąc herbatę, przyglądał się jej uważnie. W końcu odezwał się znużonym tonem.

- Poprosiła pani, może ściślej zażądała, bym się wytłumaczył. Niech pani posłucha, panno Williams. Pracujemy na odludziu, w górach. Nie ma tam ani jednej kobiety, nie ma żadnych wygod. Razemjemy, śpimy na miejscu w przyczepach kempingowych. Tylko w weekendy jeździmy do miasta.

- Dla mnie to nie problem. - Karin spojrzała mu prosto w oczy. - Jestem przyzwyczajona do takich warunków. Bardzo łatwo się adaptuję.

Podniósł brwi.

- Trudno mi w to uwierzyć, ale nieważne. Nie będę dla pani narażał mojego przedsięwzięcia.

- Ale dlaczego? Co pan ryzykuje? Przecież nic pan o mnie nie wie. - Ostry ból przeszył jej skroń, uniemożliwiając dalszą argumentację. Zamknęła oczy, przyłożyła dłoń do czoła. Po dłuższej chwili podniosła powieki.

Spojrzał na nią, potem na zegarek.

- Pani jest zmęczona - powiedział łagodniejszym tonem. - Zawiozę panią do hotelu.

Podniósł się, uregulował rachunek, zarzucił na ramiona torbę. Odrętwiała z bólu, pozwoliła się poprowadzić do wyjścia. Jego ręka parzyła. Karin oddychała z trudem. Próbowwała się uwolnić.

- Proszę nigdzie nie odchodzić - warknął. - Nie mam zamiaru szukać potem pani w tym tłumie.

Zbyt wyczerpana, by protestować, pozwoliła się zaciągnąć do samochodu; obłego, lśniącego, połyskującego czerwienią jaguara. Wszystko gra, pomyślała. Nienawidzi kobiet i kocha samochody.

Rowan popchnął ją ku miękkiemu skórzanemu siedzeniu. Wrzucił walizkę i torbę do bagażnika. Karin patrzyła, jak wysokie, zgrabne ciało sadowi się za kierownicą pewnymi i precyzyjnymi ruchami. Trzask kluczyka w stacyjce, motor zagrał, po chwili wyścigowa maszyna nabrała życia i wystrzeliła z parkingu prosto w noc.

Marsden milczał, wpatrując się intensywnie w drogę. Karin rzuciła na niego okiem; to co wyglądało na zawziętość, mogło być tylko skupieniem. Przypomniała sobie rozmowę, jaką odbyła z matką ubiegłego weekendu. Atena nie miała racji. Mężczyźni naprawdę komplikowali życie kobiecie i ten arogancki Anglik nie stanowił wyjątku. Może i był przystojny, ale był też władczy i wybuchowy. Czowała jednak zarazem, że pod tą szorstkością coś się kryje. Szczerłość? To już byłoby nieźle. Przymknęła powieki; gardłowy pomruk silnika usypiał.

Chwilę później, jak się jej wydawało, poczuła dłoń Rowana na ramieniu. Poderwała się i spojrzała przez szybę w pobłyskującą światłami ciemność.

Rozświetlony Manchester leżał już za nimi; stali na ciemnej, zadrzewionej ulicy przed wielopiętrowym budynkiem. Marsden obszedł samochód, otworzył drzwiczki, podłożył dłonie pod jej łokcie, uniósł do góry i wyciągnął na zewnątrz.

Poczuła prąd, który przepłynął od jego palców, stanęła na jezdni

wybrukowanej kocimi łbami. Zachwiała się i wsparła o potężną klatkę piersiową. Karen była wysoka i na ogół patrzyła mężczyznom prosto w oczy. Tym razem jej wzrok zatrzymał się na ramionach. Zobaczyła ciemne, kręcone włosy w wycięciu swetra, wciągnęła w nozdrza czysty, leśny zapach. Pod dłońmi czuła siłę i ciepło. Kiedy odsunął ją, by wyjąć bagaż, poczuła się dziwnie osamotniona.

Niemal wepchnął ją do hotelu, zostawił przy wejściu i podszedł do recepcjonisty. Chcąc zapomnieć o tym, o czym mówiło ciało, zmusiła się do popatrzenia na ryciny wiszące na ścianie. Kiedy odwrócił się ku niej, sięgnęła po torbę.

- Ja to zrobię. - Wyjął jej z rąk torbę i poprowadził dziewczynę korytarzem w stronę windy.

Na górze otworzył drzwi do pokoju, wszedł do środka, położył bagaże na łóżku i spojrzał na nią.

- Jeśli będzie pani czegoś potrzebować, jestem w pokoju obok. - Jego głos opłynął ją, świeży, dźwięczny, oczypolyskiwały przytłumionym światłem ulicznych latarni.

Nie w tym życiu, pomyślała. Udając spokój, wydobyła z siebie:

- Dziękuję.

Lekki uśmiech podniósł mu kącik ust, w miarę jak powoli odwracał się od niej.

- To drobiazg.

- Panie Marsden...

Znów zwrócił się w jej stronę. Przemknął wzrokiem po jej zmierzwionych włosach, białej z wycięczenia twarzy. Przejechała językiem po wargach, nagle niepewna pod badawczym spojrzeniem. Czyżby wyrosły jej rogi? Wpatrywał się tak... intensywnie.

Już ja mu pokażę panienkę, pomyślała z determinacją. Jeśli chce ją zastraszyć, na pewno mu się nie uda. Wyprężyła się.

- Panie Marsden, zdarzyło mi się już pracować w towarzystwie samych mężczyzn. Na pustyni Nevada spałam w przyczepie.

- No, no. - Ciemne brwi uniosły się, spojrzał na nią z udawanym zainteresowaniem. Jednocześnie oczy Marsdena ześlizgnęły się wzdłuż ściśle opinającego jej figurę żakietu.

Raz jeszcze zaczęła, przełknąwszy z trudnością ślinę.

- Panie Marsden.

- Słucham - zwrócił się do niej jedwabistym głosem.

- Niech pan zrozumie - powiedziała obciążając żakiet. - Nie dbam o warunki.

Mogę spać w przyczepie.

Nic nie odpowiedział, tylko dziwny, zmęczony uśmiech pojawił mu się na twarzy.

Karin wyprostowała się, skrzyżowała ramiona. Teraz ona wpatrzyła się w niego.

- No dobrze - zaczęła - ale mógłby pan przynajmniej...

- Wszystkie przyczepy są zajęte, panno Williams - powiedział. - Tylko w mojej jest jedno wolne miejsce. - Uśmiechnął się powoli, odsłaniając równe, białe zęby.

Zachichotał, kiedy otwierał boczne drzwi do swojego pokoju, potem odwrócił się, już z pochmurną twarzą. - Proszę być gotową na ósmą. Muszę wcześniej być u siebie i chciałbym, żeby poleciała pani pierwszym samolotem. Dobranoc, panno Williams. Życzę przyjemnych snów.

Mimo znużonego uśmiechu, jakim ją obdarzył, oczy błyszczały mu ciemnym światłem. Przeszedł przez próg i zamknął za sobą drzwi. Szczęk klamki odbił się echem w ciszy pokoju. Wytracona z równowagi Karin odrzuciła kopnięciem buty i cisnęła pomięty żakiet na łóżko. Oczy jej padły na mahoniowy stolik nocny i na ciężką

szklaną popielniczkę; zacisnęła na niej dłoń.

Zaczekaj, powiedziała sobie. Można go podejść w inny sposób. Zawahała się, uśmiechnęła, postawiła z powrotem popielniczkę na wypolerowanej powierzchni. Nadal uśmiechała się, kiedy zsuwała spodnie. Jutro, kiedy już odpocznie i będzie bardziej sobą, nauczy wielmożnego pana Marsdena, jak zwracać się do „panienki”.

2

Ciężki, niezgrabny szkuner stanął bokiem do wiatru, złapał nagły podmuch w żagle, zanurzył stengę w gniewne morze. Fale zadudniły o czarny kadłub, słona woda przelała się przez dziób i popłynęła strumieniami wzdłuż pokładu. Czepiając się kruchej balustrady, Karin odchyliła się możliwie daleko, aby uniknąć rąk, które chciały ją wypchnąć za burtę wprost w mętą kipieli. Dziób statku wystrzelił w górę. Już po chwili zapierała się nogami, żeby nie polecieć do przodu śladem zapadającej się stengi. Woda przelała się przez burtę, a Karin straciła równowagę.

- Nie! - krzyknęła. Ręce były tuż tuż. - Zostawcie mnie. -Za późno! Ręce oderwały jej palce od balustrady. - Nie! -Czyjaś dłoń zamknęła jej usta i odchyliła głowę do tyłu.

- Spokojnie, panno Williams - rozbrzmiał tuż przy jej uchu głęboki głos. - Jeśli nie przestanie pani krzyczeć, jakby ją mordowano, ściągnie tu pani całą recepcję.

Podniosła raptownie powieki i zobaczyła przed sobą przenikliwe szare oczy Rowana Marsdena. Skąd, do licha, wziął się w jej pokoju? Dlaczego siedział na jej łóżku?

Podniosła się gwałtownie, odpychając dłoń, która zasłaniała jej usta. Wciągnęła w płuca haust powietrza. W jego ręku zobaczyła klucz.

- Pukałem i stukałem, ale nie byłem w stanie pani obudzić - wyjaśnił, przyglądając się jej uważnie.

Skurczyła się pod jego wzrokiem.

- Ja... chyba mi się coś śniło. - Złowieszcza wizja była wciąż wyraźna, ale Karin nie mogła pojąć, co ściągnęło go do pokoju. Cokolwiek się stało, najwyraźniej nie miał zamiaru zaspokoić jej ciekawości. Zdenerwowanie Rowana już minęło. Na jego surowej przystojnej twarzy rysowała się troska i jakby coś jeszcze.

Odwróciła się, niepewnym ruchem odgarnęła kosmyk włosów z twarzy. Cisza tężała.

Nagle Marsden podniósł się i stanął nad nią, ogromny.

- Obawiam się, że pozbawię panią przyjemności dalszego spania. Muszę niedługo wracać, a pani - zacisnął usta - musi zdążyć na samolot.

Zamrugnęła, mimowolnie wpatrzona w brązowawe sztruksy opinające jego wąskie biodra, w kremową jedwabną koszulę rozpiętą pod szyją. Potężne ramiona naciągały materiał niedbale wepchnięty za pasek. Jego ciemne włosy układały się falami, pobłyskiwały w świetle.

Kiedy ich oczy spotkały się, odwróciła głowę.

Wyciągnął rękę, wziął w palce srebrny kwadracik z pigułkami.

- Czy nie potrafi pani zasnąć bez środków nasennych? -Zimne oczy Marsdena podążyły za linią, jaką narysowały jej piersi przykryte zmiętym prześcieradłem, potem przeniosły się na twarz.

- Nie w sytuacji kiedy stoję na nogach trzydzieści sześć godzin z rzędu - odcięła się, próbując nadać głosowi jak najostrzejszy ton.

- To niedobrze dla zdrowia. - Jego twarz pozostawała bez wyrazu.
- Wiem o tym. - Podciągnęła prześcieradło. - Sięgam po nie wyłącznie w skrajnych wypadkach.

Oczy Rowana przygasły, odwrócił się do drzwi.

- Daję pani jeszcze parę chwil na doprowadzenie się do porządku.

- Dziękuję - powiedziała.

- Ja... - przerwał. Jakże bardzo chciała wiedzieć, o czym myślał, kiedy tak stał, wpatrując się w drzwi! Ale nie mia-ła odwagi pytać. - Spotkamy się na dole - powiedział półgłosem i szybko wyszedł.

Kiedy tylko drzwi zamknęły się, Karin wyskoczyła z łóżka i pobiegła pod prysznic. W żadnym wypadku nie doprowadzi do sytuacji, w której mógłby zarzucić jej guzdralstwo. Ale i nie pozwoli się wsadzić do samolotu. Podczas gdy strumienie wody biły o jej ramiona, powtarzała sobie, co mu powie.

W dwadzieścia minut później wkroczyła zdecydowanym krokiem do saloniku. Niegdyś stylowe pomieszczenie straciło już na wdzięku: pękate sofy i krzesła w różnych odcieniach niebieskości otaczały wytarty orientalny dywan. Rowan stał przy kolumnie, trzymając w ręku jadłospis. Kiedy jej kroki rozbrzmiały na posadzce, oderwał się od menu i przejechał po niej leniwym spojrzeniem.

Zrobiło jej się gorąco, choć wiedziała, że wygląda jak ktoś idący do pracy. Była okryta gabardynowym płaszczem w brązowo-granatową kratę. Szeroki skórzany pas opinał jej kibić, małe złote kolczyki ozdabiały uszy. Z ramienia zwisała podwieszona na cienkim pasku skórzana teczka, która uderzała o biodro przy każdym kroku.

Uśmiech wykrzywił mu usta, kiedy wskazywał jej przyległą jadalnię.

- Zjemy coś?

Usadowili się, a potem zamówili śniadanie. Zapadła długa cisza, podkreślona jeszcze muzyką z *Chorus Line* szemrzącą w tle. W końcu pojawiło się jedzenie.

Rowan sprawnie ściał czubek jajka na miękko i zaczął wybierać zawartość zręcznymi, szybkimi ruchami. Palce miał długie i kształtne. Milczał i niełatwo jej było zacząć pierwszej.

Oderwała od niego wzrok, nałożyła odrobinę masła na grzanekę, potem na drugą, czekając, aż nadejdzie właściwy moment. On tymczasem skupił się na jedzeniu i raz tylko, sięgając po pieprz, podniósł na nią oczy. Potem Karin upiła trochę kawy i przemówiła. - Panie Marsden, nie sądzę, aby nasza wczorajsza dyskusja dobiegła końca. Proszę mi powiedzieć, co ma mi pan właściwie do zarzucenia?

Zastygł z łyżeczką uniesioną do góry.

- Nic. Z punktu widzenia zawodowego wszystko jest w porządku. Jest pani specjalistką, ma pani dyplom z projektowania. Przychodzi pani z jak najlepszymi rekomendacjami. Trudno byłoby znaleźć tutaj słaby punkt. - W jego głosie kryła się obojętność, oczy pozostawały zimne i taksujące.

Poczuła się jak robak na laboratoryjnym stole.

- Na czym więc polega problem?

Odsunął od siebie kieliszek do jajek, splótł ręce i oparł się łokciami o stół.

- Mówiąc jak najprościej: tam gdzie pracujemy, nie ma kobiet. A ja na dodatek, z powodu o którym nie chcę mówić, nie życzę sobie ich obecności. Pracujemy w terenie, na odludziu. Mężczyźni mieszkają w przyczepach kempingowych. Małych przyczepach. Na każdym końcu jest sypialnia, w środku wspólna łazienka. Nie ma wygod, tylko łóżko, biurko i krzesło.

Zamówił jeszcze jedną kawę i ciągnął dalej.

- Niewiele jest do roboty w wolnych chwilach poza czytaniem, a i to się nudzi. Chodzenie po górach jest zbyt niebezpieczne. - Prztyknął palcem w kołnierz jej płaszcza. - W takich strojach może pani paradować gdzie indziej, ale nie u nas.

Odchyliła się do tyłu. Czy naprawdę wyobrażał sobie, że zabrała ze sobą walizkę wypełnioną eleganckimi ubraniami? Rowan Marsden miał równie staroświeckie poglądy jak jej własny ojciec. I tak samo nie ukrywał, co myśli.

- Doskonale wiem, jak należy ubierać się do tego typu pracy. Byłabym też panu wdzięczna, gdyby pan przestał być aż tak stronniczy. Nie ma pan żadnych podstaw przypuszczać, że nie wiem, jak się zachować na terenie budowy. Wiem na ten temat więcej, niż może to sobie pan wyobrazić. A moje ubrania - dodała, wbijając w niego lodowaty wzrok - to nie pański interes. Uśmiechnął się nieoczekiwanie.

- Może i pani wie. - Uśmiech zniknął. - Zapomina pani tylko, że to ja odpowiadam za projekt.

- To daje panu wyłącznie prawo do poinformowania mnie, jak sobie pan wyobraża jego realizację. - Jak tu dyskutować z człowiekiem, który mówi takie brednie? Krew w niej zawrzała, odłożyła serwetkę na stół i wstała.

- Niech pani siada - powiedział spokojnie.

Karin zacisnęła pięści, aż pobieleły jej knykcie. Marsden zachowywał się dokładnie tak jak jej ojciec.

Bart Williams nie chciał mieć wykształconej córki, chciał mieć ładną, bezużyteczną ozdobę. Dopiero jego partner w firmie, Leonard, dostrzegł tkwiącą w niej głęboko potrzebę działania, osiągnięcia czegoś samodzielnie w życiu. Jeśli nie wykona teraz postawionego przed nią zadania, narazi na szwank dobre imię Dalkeya i Williama. Prędzej umrze, niż zawiedzie Leonarda.

- Wydaje się panu, że wie pan wszystko, Ale myli się pan. Jestem cenioną specjalistką w swojej dziedzinie - powiedziała niskim głosem, w którym czuło się złość. - Pracowałam już przy instalowaniu anten. Znam się na projektowaniu, wiem, na czym polegają badania wytrzymałości materiałów. Mam doświadczenie konieczne dla tego rodzaju pracy, a pan potrafi mi tylko powiedzieć, że się „stroję”? Spodziewałam się czegoś więcej po człowieku na takim stanowisku.

Zamilkła, jej oczy spotkały dziwne spojrzenie Rowana. Marsden zapoznał się z listą jej osiągnięć zawodowych, przyznał, że jest kompetentna, ale w dalszym ciągu nie chciał przyjąć jej do swego zespołu. Najwyraźniej uprzedził się do niej w momencie, gdy ją zobaczył. A niech idzie do diabła! Miała wielką ochotę powiedzieć mu, co może zrobić ze swoją robotą. Otworzyła usta i zaraz je zamknęła. Z szacunku dla Leonarda i siłą własnej woli opanowała się. Leonard miesiącami walczył o kontrakt z Pickeringiem i nie wolno jej wszystkiego zaprzepaścić. Z szansami na awans włącznie. Zależało jej na tej robocie. Nawet bardzo. Z Rowanem Marsdenem czy bez niego.

Przyszła jej do głowy nowa myśl. Podniosła się i ruszyła szybko w stronę windy. Spróbuje podejść go w drodze na lotnisko.

Rowan pobiegł za nią.

- Spotykamy się na dole za dwadzieścia minut.

Karin weszła do windy, gdy tylko rozsunęły się drzwi. Natychmiast przycisnęła biały guzik. Spostrzegła jeszcze zdumienie na twarzy Rowana, przed którym zamknęła się winda. Fajnie, pomyślała. Lubiła go zaskakiwać.

Nagle wróciło to, co czuła ostatniej nocy. To też było niespodzianką. Przypomniała sobie, jak na nią patrzył błyszczącymi oczyma, poczuła dotyk jego palców na ramieniu. Nie potrafiła zapomnieć o piżmowym cieple jego potężnego ciała, o które wsparła się na parkingu. Krew napłynęła jej do twarzy. Do licha, dlaczego nie mogła przestać o nim myśleć?

Rowan podszedł do recepcji, żeby uregulować rachunek. Karin Williams zasługiwała na najwyższą ocenę za temperament. Może i wyglądała jak porcelanowa lalka, ale tak naprawdę była damą z charakterem. Szkoda, że nie mógł jej przyjąć. Kwalifikacje bez zarzutu. Aż go zdumiało, kiedy przeczytał o niej notkę z centrali. A

historia z inicjałami to na pewno pomysł starego Pickeringa, który chciał go podejść. Ale trudno, już za wiele razy wpadał do tej samej wody. Nigdy więcej nie zaufa kobiecie. Zrobił z tego żelazną zasadę: kobietom wstęp wzbroniony. Karin Williams za chwilę odleci swoim samolotem. Pobiegł schodami na górę, biorąc po dwa stopnie naraz. Zadzwoił do Pickeringa i zmusił go, żeby wysłali mu nowego inżyniera. Bez pociągającego ciała i brązowych oczu o miękkim spojrzeniu.

- Proszę mnie połączyć z Neville'em - rzucił sekretarce po drugiej stronie linii.

Po chwili odezwał się ochryply głos.

- Halo? Mówi Marsden... Tak, Williams jest tutaj... Tak, ale zaszła jakaś pomyłka. K. M. oznacza Karin czy coś w tym rodzaju. Do diabła, Neville, przecież wiesz, jaki jestem, żadnej facetki w robocie.

Rowan słuchał przez moment, potem zacisnął szczękę.

- Niechby nawet była osobistym inżynierem królowej Anglii, ja nie mam zamiaru... Ach, mówisz, że potrafi. Hm. Tak, oczywiście, że potrzebuję... i wszystkie zezwolenia też ma?

Prawie nie słuchał wywodów starszego pana. Pickering był gadułą. Rowan podziwiał go, ale wiedział, że Pickering nie zna słowa „problem”. Jasne; nigdy nie zdarzyło mu się pracować w terenie z kobietą i widzieć, co dzieje się z załogą. Co więcej, pomyślał Rowan, Pickering nigdy nie doświadczył zdrady ze strony kobiety.

Palce pobiegały mu od ściskania słuchawki. Dlaczego myśl o niewierności Klaudii nadal budziła w nim aż tak żywe uczucia? Skoro jednak tak było, zrobi wszystko co w jego mocy, by nigdy nie znaleźć się w analogicznej sytuacji. Nie odstąpi od swych zasad. Żadnej kobiety w robocie. Tak jest lepiej. Dla samej pracy. Dla załogi. I na pewno dla niego.

Głos w słuchawce brzęczał dalej.

Opadł na łóżko, przytknął słuchawkę do drugiego ucha. Odetchnął głęboko, powoli.

- Możesz powtórzyć?... Chryste, Neville, tu chodzi o dobro załogi. - Znów ścisnął mocno słuchawkę. - Nie ma nikogo innego... jesteś pewien? Dobrze, Neville. W porządku. Dziękuję. - Odłożył słuchawkę na widelki. - Chryste Panie! Karin siedziała sztywno u boku Rowana; sportowy wóz przemknął przez rondo i skręcił ostro ku północy, oddalając się od miasta. Upłynęło już pół godziny od momentu, gdy wrzucił jej walizkę i torbę do bagażnika i wystartował jak rakieta z hotelowego parkingu. Puszyste białe chmury płynęły nad nimi, malując sierpniowe niebo. Gdy wjechali na kolejne rondo, Karin spojrzała pytającym wzrokiem na Rowana.

- Przecież tędy nie jedzie się na lotnisko. Powinniśmy byli skręcić przy poprzednim znaku.

- Piątka za spostrzegawczość. Rzeczywiście, gdybyśmy jechali na lotnisko, należało wcześniej skręcić.

- Dokąd więc...

- Jedziemy do Keswick.

- Ale to... to jest właśnie teren budowy! Skąd ta nagła zmiana?

- To na pewno nie mój pomysł, panno Williams - odpowiedział wymijającym tonem. - Po śniadaniu zadzwoniłem do biura. Wygląda na to, że jest pani jedynym inżynierem, który równocześnie ma doświadczenie w zakresie instalowania anten i wszelkie konieczne zezwolenia. Jak to się mówi, wpadłem jak śliwka w kompot.

Karin posłała mu miazdzące spojrzenie.

- Już widzę, że to będzie niezapomniane przeżycie.

- Nie wiem, komu z nas jest bardziej przykro, panno Williams, ale mamy bardzo wiele do zrobienia w bardzo krótkim czasie, a ja nie mogę stać w miejscu. Ja... ach... gotów jestem zapomnieć o swoich uczuciach dla dobra projektu. - Przez

moment świdrował ją wzrokiem. - Ale, uprzedzam, tylko do pewnego stopnia. Opowiem pani o tym, co nas czeka. - Spojrzał na nią pytająco. - Wie pani, na czym ma polegać pani praca, panno Williams?

Skinęła głową.

- Skoro zostajemy partnerami, czy mógłby pan prze-stać do mnie mówić „panno Williams”? To zwrot dobry dla ciotki, starej panny. Mam na imię Karin. Zmarszczył brwi.

- Niech będzie... Karin.

Kiedy zjechali na północną odnogę autostrady w kierunku M6 i Cumbrii, Rowan zaczął ją zapoznawać z planami zainstalowania kilku anten na podporze, którą miała zaprojektować.

Karin zerkała na niego od czasu do czasu, słuchając i notując w żółtym karneciku. Fakt, że jej nie akceptował, nie wpłynął na sposób, w jaki się do niej zwracał. To, co mówił, było jasne i interesujące. Złapała się na tym, że wpatruje się w jego usta, że - jeśli chodzi o wymowę - znajduje podobieństwo między nim a Leonardem. Tyle że głos Rowana był głębszy, bardziej intensywny. Gdyby zamknęła oczy, mogłaby sobie wyobrazić... Na Boga, przyjechała tutaj, żeby pracować, a nie marzyć, upomniała się i znów skupiła na jego słowach. Kiedy przerwał, zapytała:

- Jak wygląda podłoże w tym miejscu?

- Dominuje granit.

- W porządku. To ułatwi robotę.

- A co byś zrobiła, gdyby to był na przykład łupek? - Poddał ją próbie.

Zastanawiała się przez chwilę, a potem wyjaśniła, dodając na końcu:

- To oczywiście zależy od waszych wymagań dotyczących stabilności.

- A co z wiatrami, które dochodzą do dziesięciu stopni?

- Siedemdziesiąt pięć mil na godzinę? - Spojrzała przez długie czarne rzęsy. -

Nie ma sprawy. Tyle że muszę znać odpowiednie parametry.

- Mam u siebie zestaw wszystkich danych - powiedział, rzucając jej szybkie spojrzenie. - Inne rzeczy moż-na znaleźć w Yorku. - Wyciągnął rękę po kasetę, musnął jej udo. Szarpnęła się, jakby ją oparzył.

Serce zaczęło jej walić o żebra, udo mrowiło. Wciągnęła spazmatycznie powietrze i odwróciła się ku oknu.

- Nie trzeba, wszystko przywiozłam. Podniósł brwi, popatrzył z niedowierzaniem.

- Zestaw brytyjskich standardów?

- Proszę mi wierzyć, panie Marsden. Wiem, z czym pan pracuje.

Zasypała go cyframi, nie ukrywając rozbawienia wobec jego zdumionej miny. Pierwsza lekcja panienci, panie Marsden.

Po południu znaleźli się w bardziej górzystym terenie; od czasu do czasu popatrywała z przyjemnością na zielone pola i stada krów. Za Penrith skręcili ku zachodowi. Karin zwróciła uwagę, jak Rowan utrzymuje szybkość mimo stromych wzniesień. Popołudniowe słońce przebiło się przez chmury i zajrzało przez szybę, rozgrzewając wewnątrz wyłożone orzechową boazerią. Gorąco przeniknęło przez ubranie. Strumyk potu ściekł między piersiami.

Zastanawiała się nad tym co przekazał jej Rowan. Zamiast wprowadzić ją w szczegóły dotyczące platformy, zajął się ubocznymi rzeczami. Nie spytał jej nawet jakiego rodzaju materiały będą jej potrzebne. Nie powiedział jej też, gdzie będzie mieszkać, chyba że prawdą było to, co insynuował ubiegłej nocy.

Znów zrobiło się jej gorąco na myśl o tym, że będzie z nim dzielić przyczepę. A może i łóżko... Nagle zaschło jej w ustach.

Ubiegłej nocy z całą pewnością chciał ją tylko odstraszyć. Odetchnęła głęboko.

Musi się wziąć w garść, jeżeli chce pokonać podobny opór. Pokaże mu, że jest mocniejsza, niż sobie wyobraża.

Głos Rowana przerwał jej rozmyślenia.

- Niech ci się nie wydaje, że skoro potrafiłaś odpowiedzieć na parę pytań, zaraz dostaniesz ode mnie *carte blanche*. To ja wszystkim kieruję. Wszelkie projekty i poprawki łądają na moim biurku.

- Czyżby podważał pan moje kwalifikacje, panie Marsden?

Spojrzał na nią szybko.

- Rowan - powiedział. - Mów mi Rowan. Powiedzmy sobie, że wolę sprawdzać, co robisz.

- Jak sobie życzysz. Nie mów mi tylko, jak mam pracować.

Rowan obdarzył ją dziwnym spojrzeniem, po chwili wrzucił niższy bieg. Minęli biały drogowskaz; tu zaczynał się stromy zjazd do Cairnbeck, skupiska domków o dachach z łupku. Mizerne buki rosły wzdłuż drogi, w dali widać było pola poprzecinane murkami z kamienia.

- Wkrótce będziemy na miejscu - przerwał ciszę. - Czy chcesz coś kupić w miasteczku, póki jeszcze czas?

Rowan nie wygląda na faceta, którego bawi przechadzanie się po sklepach, pomyślała. No i jaka to przyjemność robić sprawunki w towarzystwie takiego gbur.

- Nie, niczego nie potrzebuję. - Później uda się sama do Cairnbeck.

W czterdzieści pięć minut potem zajechali na wyźwirowany parking, otoczony starymi olchami o srebrnej korze.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Rowan, kiedy ustał chrzęst opon na żwirze.

Karin rozejrzała się wokół. Rzeczywiście było to odludzie, położone w płytkim zagłębieniu pomiędzy nagimi górami. Dobre dwadzieścia mil dzieliło ich od sennego miasteczka leżącego u stóp gór, przez które przejechali. Trzy wielkie dieslowskie ciężarówki z przyczepami, z których wypływało węzowisko kabli i na dachach których sterczały anteny, parkowały na betonowych płytach. Z boku chyliła się drewniana platforma, naprzeciwko stały przyczepy kempingowe. Ledwie Rowan wyhamował jaguara, z ostatniej przyczepy wyskoczył wielki brodaty blondyn odziany w sztruksy i sweter.

- Eee, chłopaki! Rowan wrócił.

Otworzyły się kolejne drzwi i jeszcze dwóch mężczyzn podbiegło do samochodu. Jeden z nich, szczupły i ciemnowłosy, nie wyglądał na starszego niż Karin. Za nim podążał, sapiąc, mężczyzna w poplamionym fartuchu, co z góry określało go jako kucharza.

Rowan wy dostał się z wozu, przeciągnął, po czym otworzył drzwiczki od strony Karin.

- Nic nie mów. Pozwól, że ja wszystko wyjaśnię - uprzedził.

Zaskoczona, odpięła pas i wystawiła nogi na zewnątrz.

- Przywiozłeś mi książki? - zawołał brunet, podczas gdy trójka maszerowała w ich kierunku.

- Do diabła z książkami! - huknął blondyn z silnym, miejscowym akcentem. - Czy przywiozłeś porter? Musimy... - Słowa zamarły mu na wargach, gdy zauważył Karin. Jego zdumiona mina prawie od razu zamieniła się w szeroki uśmiech. Odwrócił się do Rowana. - Niech cię, człowieku! To coś lepszego niż porter! A ja myślałem, że...

- Panna Williams będzie odpowiedzialna za montaż na budowie - wszedł mu w słowo Rowan.

- Słyszeliście, chłopaki? - zarechotał blondyn, przenosząc wzrok ze swych kolegów na Karin. - Nasz Rowan pojechał w podróż i przywiózł sobie panią inżynier.

Rowan zeszywniał.

- Idź do diabła, Raisbeck!

Karin spurpurowiała na twarzy. Cofnęła się o krok i prawie odbiła od twardej jak skała piersi Rowana.

Chwycił ją mocno za ramię, by nie upadła. Prąd przepłynął od jego palców ku jej ciału, zachłysnęła się oddechem. Chyba trzymał ją o drobinę dłużej, niż należało, nim odsunął się i zwrócił do grupy. Odchrząknął, by skupić ich uwagę.

- Panna Williams będzie się zwracać bezpośrednio do mnie.

Czy dobrze usłyszała lekką groźbę w jego głosie? Zanim zdążyła całą rzecz rozważyć, Rowan wskazał ręką na blondyna.

- Cyril Raisbeck z Liverpoolu. Jeden z naszych techników laboratoryjnych i - spojrzał ostro na Cyrila - człowiek o ograniczonym takcie.

- Nazywam się Derrick Sumner - powiedział z wahaniem mężczyzna o ciemnych włosach.

Trzeci, siwowłosy, krępy i znacznie niższy od Karin, podszedł do niej i wyciągnął rękę.

- Clive Thornycroft. - Jasnieniebieskie oczy otoczone siecią zmarszczek patrzyły na nią z wygarbowanej twarzy.

- Thorny wie, jak się nami zajmować - powiedział Rowan, uśmiechając się do mężczyzny.

Thorny uściśnął jej przyjaźnie dłoń.

- Naczelnny kucharz, do usług. Rowan zwrócił się do trójki.

- Do roboty, chłopcy! Przyjdę do was, jak tylko ulokuję pannę Williams. Jeśli chodzi o książki - spojrzał na Derricka - to je mam.

- A porter? - spytał Cyril.

- Porter też.

Derrick Sumner uśmiechnął się nieśmiało.

- Miło nam, że pani z nami będzie, panno Williams. - Ruszył za dwoma pozostałymi w kierunku ciężarówek.

- Proszę tędy - nakazał Rowan.

Podniósł walizkę i torbę Karin i skierował się w stronę srebrzystej przyczepy otoczonej wątlými sosenkami. Pchnął drzwi na jednym końcu, a następnie odstał na bok i czekał, aż Karin wejdzie do niewielkiej sypialni.

Na oko pokój nie mierzył więcej niż osiem stóp kwa-dratowych. Pod jedną ścianą stało biurko z lampą i szafka z dwiema szufladami. Do przeciwległej ściany przylegało wąskie łóżko przykryte beżową kołdrą i oliwkowo--brązowym wełnianym kocem. Nad biurkiem widniała przypięta pinezkami mapa topograficzna. Z drugiej strony stała etażerka z kilkoma opasłymi tomami.

Ponure miejsce, pomyślała. Warunki iście spartańskie, o czym już wspominał Rowan. Ale to w końcu kwestia paru miesięcy. Wytrzyma.

Rowan upuścił jej rzeczy na łóżko.

- Zostaniesz tutaj - rzucił. - Tu było moje biuro, ale jest jeszcze wolna szafka i półki na rzeczy osobiste w łazience. - Wskazał głową w kierunku środkowej części, zamkniętej rozsuwanymi drzwiami. - Tam.

Wzruszyła ramionami. Rozkład pomieszczeń był taki sam jak w przyczepie, którą zajmowała na pustyni Nevada. Łazienka w środku, po obu stronach...

Odetchnęła głęboko. Sypialnia na każdym końcu.

To nie był żart. Rzeczywiście będzie z nim dzielić przyczepę. Serce na moment jej się zatrzymało.

- Czy pański... czy pokój na drugim końcu jest twój?

- Tak. Ale mam oddzielne wejście. Natomiast będziemy musieli dzielić się

łazienką. I szafą. - Spojrzał na nią, twarz miał nieodgadnioną. - Mówiłem, że to prymitywne warunki. Nie oczekuj, że będziesz wyjątkowo traktowana. Teraz jesteś już tylko jednym z członków zespołu.

Przeniósł wzrok na etażerkę.

- Niektóre z książek mogą ci się przydać. Bierz, co chcesz. Kolacja jest o szóstej, w niebieskiej przyczepie. -Odwrócił się, zstąpił na pierwszy schodek, zatrzymał się i znów na nią spojrzął z wyszukaną obojętnością. - Jeszcze jedno, panno Williams: proszę nie spoufalać się nadmiernie z moimi chłopcami.

Karin wciągnęła głęboko powietrze.

- Co to ma znaczyć?- Tylko tyle, że przyjechałaś tu pracować, a nie zbliżać się do mojej załogi. Oczekuję od nich maksymalnego skupienia się na pracy. Czy wyrażam się jasno? - Staął na ziemi i szybko odszedł.

- Całkowicie! - Trzasnęła drzwiami. Przyczepa zatrzęsała się, coś rozbiło się na podłodze w łazience. - Do diabła!

Czy ten Marsden wyobraża sobie, że ona zacznie ich wszystkich uwodzić? Nikt jeszcze nie poddawał w wątpliwość jej kwalifikacji zawodowych. I systemu jej wartości.

Będzie musiała żyć po swojemu, to jasne. I nie będzie to łatwe. Nie z takim facetem jak Rowan Marsden, który zwalczał ją na każdym kroku. Był nieokrzesany, apodyktyczny, po prostu niemożliwy. A jednocześnie był to najbardziej pociągający mężczyzna, jakiego kiedykolwiek spotkała w życiu.

- Niedoczekanie twoje, Rowanie Marsdenie, już ja ci pokażę. Zobaczysz!

3

Karin rozsunęła ostrożnie drzwi dzielące jej pokój od łazienki i zerknęła do wnętrza. Rozbity na kawałki porcelanowy talerzyk niebieskiego koloru leżał pod malusińką umywalką, wokół niego rozsypały się brązowe kulki. Karin podniosła jedną, położyła na dłoni. Koci pokarm! Czyżby Rowan dzielił przyczepę z kotem? Niemożliwe. Żadne zwierzę by z nim nie wytrzymało.

Włożyła odłamki do kosza, jedzenie wrzuciła do muszli i spuściła wodę. Takie same niebieskie talerzyki rozbrzęczały się na półce nad umywalką. Obok nich stał duży słój wypełniony kocią karmą. Odsypała trochę kulek na nowy talerzyk, postawiła go na podłodze. „Może woli koty od ludzi”, powiedziała półgłosem.

Kolejne drzwi były uchylone. Karin nie mogła się oprzeć i pchnęła je na tyle, by móc zajrzeć do wnętrza. Spod porysowanego dębowego biurka wystawała para wypucowanych górskich butów. Na blacie leżała otwarta książka. Przez oparcie stylowego krzesła przerzucone były szare wełniane spodnie. Pokój wyglądał podobnie, z tym że łóżko było szersze. Niebieska wełniana narzuta z frędzlami przykrywała puchatą koldrę. Na samym środku łóżka leżał zwinięty w kłębek ciemnopomarańczowy kot i wpatrywał się w nią szparkami oczu.

Karin rzuciła nerwowe spojrzenie w kierunku drzwi przyczepy, potem podkrađła się do łóżka i pogłaskała miękkie futro. Głęboki pomruk wydobył się z kociej piersi.

- Prawdziwa z ciebie piękność. - Karin uśmiechnęła się i zaczęła się wycofywać do swego pokoju. Otwarta książka na biurku przyciągnęła jej uwagę. Wordsworth. A więc Rowan Marsden czytał wiersze! Spodziewała się raczej fachowej literatury z zakresu inżynierii. Jeszcze przed chwilą gotowa była założyć się o dowolną sumę, że

pracujący u Pickeringa specjalista zajmuje pierwsze miejsce na liście ludzi bez uczuć. A to ci dopiero! Czy było możliwe, że w tej aroganckiej brytyjskiej piersi bije romantyczne serce?

Wróciła do swego pokoju, rozpakowała się, wepchnęła torbę i walizkę pod łóżko, a potem spojrzała na zegarek. Piąta trzydzieści. Jest jeszcze czas, żeby szybko się wykapać i przebrać w coś stosowniejszego. W samochodzie było gorąco, ale teraz o okna bił wiatr od gór. Przypomniała sobie, że chłopcy od Rowana byli ciepło ubrani i zdjęła ze swej połowy półki sweter ręcznej roboty uważając, by nie naruszyć leżących obok, równiutko ułożonych męskich swetrów. Delikatnie dotknęła jednego z nich, czarnego. Pachniał mchem i sosną.

Nagle uderzyła ją ironia sytuacji. Dzielenie przyczepy z Rowanem Marsdenem było niedorzecznością. Musiał się jeszcze wiele nauczyć na temat kobiet, ale nie miała zamiaru zostać jego nauczycielką. Poczwała, jak napinają się jej mięśnie między łopatkami, gdy przypomniła sobie jego upór. Może i był przystojny, ale praca z takim pomyłkocem na pewno nie należy do łatwych. Nie miała nic przeciwko pewności siebie, ale wolałaby, żeby towarzyszyła jej łagodność w obejściu. Nie chciała, żeby ktoś dominował nad nią, chciała, by jej słuchano. Westchnęła z rezygnacją. Nic dziwnego, że jest sama. Mężczyzna, o którym marzyła, zapewne nie istnieje.

Karin zasunęła drzwi od łazienki i wtedy uderzyła ją nagła myśl. Czyżby była zbyt wybredna? Jej matka nieraz to mówiła; czyżby miała rację? A może tylko szukała? W końcu, dlaczego włączać w swoje życie kogoś, kto do niej kompletnie nie pasuje? W miarę jak porządkowała swoją nową siedzibę, ustawiała książki na półce i ubijała poduszkę, przypominała sobie ostatnią rozmowę z matką.

Zajechała przed domek Ateny, leżący nad rzeką; chciała ją jeszcze zobaczyć przed wyjazdem do Anglii...

- Karin? - śpiewny głos Ateny Williams rozbrzmiał w domofonie. - Drzwi są otwarte.

Karin pchnęła oszklone drzwi i weszła do bawialni. Natychmiast otoczył ją obłok silnego kadzidła. Rozejrzała się ciekawa, co też nowego wprowadziła jej matka do stale zmieniającej się dekoracji. Jej oczy zatrzymały się na blisko metrowym gargulcu z rozdziawioną paszczą i nie mogła się nie uśmiechnąć.

- Co o tym myślisz? - zapytał melodyjny głos. Karin przeszła do przyległego pomieszczenia, zalanej

słońcem pracowni. Jak zawsze, zadziwiła ją młodość matczynej twarzy okolonej srebrnymi włosami. Usadowiona na inwalidzkim wózku przed sztalugami, Atena Williams szybkimi pociągnięciami pędzla zabarwiała pastelami ołowiane niebo. W tle widoczna była obejmująca się para. Pod nimi spienione fale biły o skalisty cypel.

- Ohyda - skomentowała Karin.

Atena spojrzała krytycznym wzrokiem na morski pejzaż nim odwróciła się do córki.

- Prawda, że mam trudności z upozowaniem tej pary - upomniała ją - ale to nie powód, żebyś była aż tak bezwzględna.

- Ależ ja nie mówię o obrazie, mamo. - Karin roześmiała się. - Mówię o tej rzeczy na kominku.

Atena obróciła się z wózkiem.

- Ta „rzecz”, jak ją nazywasz, ma ponad trzysta lat. Pochodzi z odrestaurowanego zamku w Lancashire. - Pojechała w kierunku kuchni - Starczy na razie tego malowania. Chodź, napijemy się herbaty i opowiesz mi o nowej podróży. Karin opowiedziała matce o ostatniej rozmowie z Leonardem. Cały czas wpatrywała się w jej twarz. Przez dziewięć lat, jakie upłynęły od wypadku samochodowego, Karin utrzymywała bliskie kontakty z matką i to mimo że

wyprowadziła się z domu i zamieszkała we własnym mieszkaniu, blisko biura. Czasami nawiedzała ją obawa, że jej matka nie da sobie rady sama, ale Atena najwyraźniej ceniła swą niezależność. Karin musiała przyznać, że z nich obu to matka więcej wynosiła ze spotkań.

Choć owdowiała i sparaliżowana od pasa w dół po wypadku, Atena nie poddawała się czarnym myślom. Jej obrazy cieszyły się powodzeniem. Wydawcy ustawiali się w kolejce, by zamawiać u niej projekty okładek.

- Nie musisz się mną przejmować. Daję sobie ze wszystkim radę. A jeśli czegoś nie potrafię - dodała Atena - Leonard pojawia się co drugi dzień.

- Mamo, jesteś najbardziej niezwykłą osobą, jaką znam, ale...

Atena odgarnęła delikatnym ruchem kosmyk włosów z twarzy i uśmiechnęła się do córki.

- Wiem. Jeśli nie będę czujna, wpadnę w sidła niechcianego mężczyzny. - Poprawiła zsuwającą się serwetę, ustawiła równo książki na półce. - Powiedziałaś, że jedziesz do Manchesteru. Na jak długo?

- Nie mam pojęcia. - Karin wzruszyła ramionami. - Na lotnisku będzie na mnie czekać ktoś od Pickeringa, ale sama budowa jest gdzieś nad jeziorami. Może będę musiała spędzić jakiś czas w ich fabryce w Yorku. To zależy od tego, co zastanę na miejscu. A także - przerwała, żeby łyknąć herbaty - od tego, jak ułoży mi się współpraca z Rowanem Marsdenem.

- Rowanem...?

- Marsdenem. To inżynier odpowiedzialny za projekt. Facet, który traktuje kobiety jak Neandertalczyk. - Brzmi zachęcająco. - Atena uśmiechnęła się. - Możesz mi powiedzieć, co tam będziesz robić?

Karin potrząsnęła głową.

- To ściśle tajne.

- Jesteś taka sama jak twój ojciec. - Oczy Ateny rozbłyły. - Nigdy nie wiedziałam, co on właściwie robi.

- Może i pracuję nad podobnymi zadaniami co on, ale tak naprawdę...

- Tak naprawdę jesteś do mnie podobna - weszła jej w słowo Atena. - Wiem o tym. Czasami wolałabym, żeby było inaczej. Pracujesz bez wytchnienia. Nie prowadzisz życia towarzyskiego... To niezdrowo. Zajmij się trochę sobą, moja droga. Taka zawziętość odstrasza mężczyzn.

- Eh... Wszyscy mężczyźni, z którymi pracuję, są albo ogierami, którzy myślą tylko o sobie, albo nudziarzami nie do wytrzymania. Można żyć sensownie bez mężczyzny. Dlaczego więc miałabym kogoś szukać?

- Czasami czuję się samotna - westchnęła Atena.

Karin spojrzała na nią ze zdumieniem. Atena samotna? Wpatrzyła się w gładką twarz matki. Tylko kolor włosów uległ zmianie. Czasem cienie powlekały wciąż piękną twarz matki, ale Karin kładła to na karb zmęczenia. Nie, Atena nie mogła mieć na myśli... Karin zaczęła zbierać ze stołu filiżanki i talerzyki.

- Widzisz, mamo, ja nie potrzebuję mężczyzny, żeby moje życie nabrało sensu. Dzięki Bogu, moje życie jest pełne.

- Zobaczymy - powiedziała Atena z uśmiechem. - Moim zdaniem za bardzo się bronisz.

Karin roześmiała się. Gdyby na horyzoncie pojawił się wymarzony mężczyzna, od razu by go rozpoznała. I natychmiast przestałaby się bronić. Ale interesujący mężczyźni, którzy byliby na tyle zadowoleni ze swych osiągnięć, że nie musieliby wyżywać się na kobietach, znajdowali się gdzieś bardzo daleko. Stojąc teraz przed oknem przyczepy i wpatrując się w zachodzące słońce, które akurat przesłoniła chmura, Karin oderwała się od myśli o domu. Rzuciła okiem na zegarek. Czas na kolację. Punkt

szósta wyszła na zewnątrz i pobiegła do niebieskiej stołówki. Jej luźny sweter wetknięty był starannie w wypłowiałe, szare dzinsy, na ramiona zarzuciła marynarkę pasującą do całości.

W środku przyczepy siedmiu mężczyzn zasiadło za długim drewnianym stołem; Rowan siedział na końcu. Kiedy drzwi skrzypnęły, podniósł głowę i zaprosił ją gestem do środka. Był najwyższy i zdawał się zajmować znacznie więcej miejsca niż pozostali.

Karin usiadła na wolnym krześle, na wprost niego, między Derrickiem i brodatym blondynem, Cyrilem. Derrick uśmiechnął się do niej nieśmiało.

- Jesteśmy trochę przypadkową zbieraniną - poinformował ją Cyril śpiewnie. Ręką powiódł w powietrzu wskazując na całą kolorową kompanię. - Mac jest Szkotem i pełni funkcję inżyniera elektryka. - Wskazał na krępego czer-wonobrodego mężczyznę po prawej stronie. - Paddy, ten obok, zajmuje się testowaniem sprzętu. Chyba od razu zgadłaś, że jest Irlandczykiem. Próbujemy zrobić z niego Anglika, ale on uparcie nawija po celtycku, jak tylko zdarzy mu się napić.

- Co zdarza mu się raczej częściej niż rzadziej - wtrącił się Szkot mrużąc oczy.

Uśmiech zamarł na twarzy Karin, kiedy zauważyła spojrzenie Rowana. Patrzył na nią poważnym, dziwnym wzrokiem.

W pokoju zapadła cisza. Ktoś zakaszłał.

Paddy, Irlandczyk o czerwonych policzkach, roześmiał się i wyciągnął do niej znaczną odciskami dłoń.

- Te zuchy może nam i przywiozły język, ale teraz uczą się od nas, jak nim mówić.

- Masz tu jeszcze Jacka, który zajmuje się montażami Robina, specjalistę od analizy danych - ciągnął Cyril przedstawiając Karin dwóch kolejnych mężczyzn.

Jack, przysadzisty, o gniewnej twarzy, skłonił się i podniósł z krzesła.

Karin dalej czuła na sobie oczy Rowana. Dłonie zaczęły się jej pocić. Próbując go zignorować, odwróciła się z uśmiechem do Derricka.

- A czym się pan zajmuje?

- Ja... no... ja... - Twarz Derricka spurpurowiała.

- Ten chłop jest naszym programistą - przyszedł mu w sukurs Robin. - I odwała kawał dobrej roboty.

- Jeszcze z niego *gosssoon*, a ładuje jak stary - dodał Paddy.

- Gołowąs - przetłumaczył Cyril ku widocznej rozpaczy Derricka.

- Wygląda jednak na to, że pracuje na odpowiedzialnym stanowisku - pospieszyła mu z pomocą.

Uśmiech wdzięczności wypłynął na chłopięcą twarz Derricka.

Podniosła głowę i znów spotkała wzrok Rowana. Nie miał już na sobie jedwabnej koszuli; zamiast niej nosił wełnianą, ciemnozieloną, która podkreślała jego szerokie ramiona. Przepłynęła przez nią fala ciepła, uśmiechnęła się do niego na próbę.

Omalże warcząc, Rowan odchylił się do tyłu i odwrócił głowę. Niech ją szlag trafi! Nie chciał, żeby się do niego uśmiechała, nie chciał, żeby go nęciła tymi swoimi wielkimi brązowymi oczyma i ustami o nabrzmiałych wargach, które domagały się pocałunków. Nie chciał, żeby mu przypomniano, że jest mężczyzną, w którym drzemie pożądanie. Krótko mówiąc, nie chciał jej mieć w swoim zespole, a już na pewno nie w swej przyczepie.

Gdyby Neville nie naciskał, na pewno by się nie zgodził. Ale, do licha, kochał swoją pracę i szanował starego. Nie ma co, jakoś to zniesie. Karin Williams zostanie na po-kładzie, będzie traktowana z szacunkiem, na jaki zasługuje, a wszystko to dla dobra projektu. Ale nie musi jej lubić. Jack przysiadł się do niego.

- Niezłego wybrałaś sobie specjalistę. Nie myślisz, chłopie, że to niebezpieczna zabawa? - Jack podniósł kubek mięsistym łąpskiem, napił się wody i otarł usta

wierzchem dłoni. - Myślałem, że nigdy nie dopuścisz baby do roboty.

Rowan odwrócił się do swego inżyniera. Byli przyjaciółmi od czasów szkolnych, razem pracowali przy trzech ostatnich projektach.

- Nie przyciskaj mnie za bardzo, Jack - wyszeptał.

- Dlaczego ją wzięłeś? - nalegał Jack, wpatrując się w Karin uważnym wzrokiem.

- Ja... - przerwał. - Dla dobra projektu. Nikogo innego nie mieli. Jestem przekonany, że panna Williams zrobi doskonale to, czego od niej oczekujemy.

Jack wzruszył ramionami.

- Może. Tylko nie mów, że cię nie ostrzegałem.

- Przyjęte do wiadomości. - Rowan rozłożył serwetkę i rozpostarł ją na kolanach. Jack postawił sobie za punkt honoru chronienie Rowana przed trudnościami życia. Rowan nigdy nie miał odwagi powiedzieć mu, że da sobie radę sam.

Potrzebowali siebie wzajemnie, kiedy pracowali na takim odludziu jak teraz.

Zatrzymał odrobinę dłużej wzrok na Karin, niż wypadało. Trzymanie uczuć na uwięzi nie było rzeczą łatwą, ale cóż mógł innego robić?

Karin odwróciła oczy od Rowana. W pokoju powiało chłodem, spuściła wzrok na imitujący marmur blat stołu. Co za gbur, pomyślała, poprawiając się na krześle. Co za arogant. Ale strasznie seksowny.

Thorny postawił na stole wielki półmisek z zawijanymi zrazami i miskę wypełnioną tłuczonymi ziemniakami. Karin skosztowała mięsa. Aromatyczne, lekko słodkawe, nie przypominało niczego, co do tej pory jadła. - Co to jest?

- Lepiej nie pytać - uprzedził ją Cyril. - To jeden z sekretnych przepisów Thorny'ego.

Robin zachichotał.

- Wszystkie przepisy Thorny'ego są ściśle tajne. Między nami mówiąc, wygląda na to, że każda nowa potrawa robiona jest z tego, co zostało z poprzedniego dnia.

- Chciałeś powiedzieć: z poprzedniego tygodnia! - dorzucił Paddy i mrugnął.

Thorny złożył obie ręce na piersi.

- Ranicie mnie, chłopcy. Co teraz pomyśli sobie panna Williams o mojej sztuce kulinarnej.

Rowan nie odrywał wzroku od Karin. Jedząc, starała się skupić na pogwarkach wokół, byle tylko uniknąć jego taksujących oczu.

Kiedy skończyła, Thorny zabrał jej talerz i postawił przed nią inny, mniejszy.

- Proszę. Może zechce pani spróbować mojego królewskiego puddingu?

Karin zanurzyła łyżeczkę w kremowy deser i skosztowała.

- Mmmm. Pyszne! Thorny rozpromienił się.

- Czy to pani pierwsza podróż do Anglii? - spytał Derrick.

- Mh-hmmm. - Karin przytaknęła z ustami wypełnionymi puddingiem.

- Czy pracowała pani przedtem przy antenach? - zainteresował się Robin.

Przesunęła wzrokiem wzdłuż stołu i zatrzymała się na Rowanie. W jednym ręku trzymał filiżankę kawy, palcami drugiej gładził niebieską gładką polewę. Miał duże dłonie, jak przystało na wielkiego mężczyznę, o długich, kształtnych palcach z równo przyciętymi paznokciami. Te palce fascynowały ją. Zastanawiała się, co czułaby pod ich dotykiem. Zaciśnęła powieki, by odciąć się od obrazów, jakie rodziły się jej w głowie. Przełknęła i wróciła do zadanego jej pytania.

- Tak. Trzy razy, żeby być dokładną. Po raz drugi jestem w terenie na takim odludziu.

Szkot uśmiechnął się.

- Nie jest tak źle, w niektóre weekendy jedziemy do miasteczka.

- Może teraz nie będziemy musieli już tam jeździć. - Cyril wyszczerzył zęby do

Karin.

- Niechby to Maggie usłyszała - dorzucił ktoś. Karin odpowiedziała uśmiechem na chichoty pozostałych.

Rowan nie brał udziału w zabawie. Odciągnął Jacka na bok i przeszedł z nim do drugiego końca pokoju. Mówili zniżonymi głosami, a spojrzenia, które rzucali od czasu do czasu w kierunku Karin, świadczyły o tym, że rozmowa toczy się na jej temat.

Ponieważ wszyscy kpili z Derricka, Karin starała się zadawać mu jak najwięcej pytań. Przez cały czas czuła na sobie wzrok Rowana. Kiedy Thorny zebrał już wszystko ze stołu i wrócił do kuchni, poczuła się nieswojo. Podniosła głowę, przeszło ją spojrzenie Rowana.

Wrogie. Zdecydowanie wrogie. Niech go szlag! pomyślała. Czy nie może nawet z nikim po prostu porozmawiać?

Odwróciła się do Derricka.

- Przepraszam, co pan mówił? Przełknął ślinę.

- Ja... Ja pytałem się, czy pani gra w szachy.

- Gram.

- Może miałaby pani ochotę ze mną kiedyś zagrać? -W jego głosie czuło się wciąż wahanie, ale przestał się rumienić.

Rowan wyrósł przy nich jak góra.

- Nie myślisz, że pannie Williams należy się odpoczynek? Jutro wstaje o świcie. - Mówił tonem obojętnym, ale dla Karin ostrzeżenie było jasne.

- Och, przepraszam, ja... - zaczerwienił się znów Derrick - Powinienem był pomyśleć o tym, że jest pani zmęczona.

- Nie ma najmniejszego problemu. Przyjacielskie pogawędki nigdy mnie nie męczą. - Dotknęła jego ramienia. - Może jutro.

Rowan nachmurzył się.

Karin wstała, nie patrząc na niego.

- Dobranoc wszystkim. - Podniosła rękę w pożegnalnym geście, zeszła po schodkach i pobiegła w stronę przyczepy. Na pewno nie potrzebowała kolejnej rundy ze swym źle wychowanym szefem.

W pokoju szybko założyła na siebie flanelową koszulę koloru kości słoniowej i, zmęczona, wślizgnęła się pod kołdrę. Zamykała już oczy, kiedy ktoś ostro zapukał w środkowe drzwi.

- Panno Williams!

Karin pozostała bez ruchu. Czy nie może poczekać do jutra rano? Prędej diabli ją wezmą, niż zacznie się z nim teraz wyklócać.

Drzwi otworzyły się powoli. Oddychając jak najłżej, udawała głęboki sen. Niech sobie pójdzie. Nie chciała go widzieć, nie chciała, żeby był w jej pokoju. Nie chciała myśleć o tym, że stoi w drzwiach albo w małym pokoiku tuż obok, zrzucając z potężnego ciała ubranie, wślizgując się do tego wielkiego łóżka.

Przeraziły ją jej własne myśli, w ustach poczuła suchość, serce zaczęło jej walić jak młotem.

Naraz, równie cicho jak przed chwilą, drzwi zamknęły się. Po chwili usłyszała, jak krząta się po drugiej stronie, a potem rozległ się szum prysznic. Przycisnęła rękę do piersi i zmusiła serce do spowolnienia biegu. Co się z nią dzieje? Rowan Marsden był staroświeckim, wybuchowym, despotycznym inżynierem, który... który był najbardziej atrakcyjnym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała.

O Boże. Co to miało za znaczenie? Nie powinna myśleć w ten sposób o obcym mężczyźnie. To było nie na miejscu. Nieprofesjonalne. Niebezpieczne. Nie wolno jej popełniać błędów w nowej pracy, powinna się skupić na czekających ją zadaniach i to

zarówno ze względu na Leonarda jak i na jej własną przyszłość. Leonard zależał teraz od niej. Nie mogła go zawieść. Musi sobie z tym dać radę, opanować się... Bez względu na Rowana Marsdena.

Następnego ranka Karin obudziło głośne mruczenie przy samym uchu i łaskotanie wąsów na policzku. „Prześnię, kiciu. No!” Odepchnęła kota i zanurzyła twarz w miękką poduszkę.

Nagle drzwi otworzyły się szeroko. Rozwarła powieki, rozejrzała się wokół. Rowan wstawił głowę do środka. Zawahał się, kiedy zobaczył, że wciąż leży w łóżku.

- Przepraszam. Było tak cicho, że myślałem, że wyszłaś. Szukam czegoś. - Jego wzrok opadł na kota zwiniętego w kłębek przy jej ramieniu.

Podszedł do niej w tych swoich niepokojąco obcisłych džinsach, przylegających do muskularnych ud, i wyciągnął rękę po kota.

- Czy Marmolada ci nie dokucza? - zapytał, odczepiając kocie pazury od koca. Podnosząc zwierzę, przejechał palcami po jej koszuli i niedwuznacznie prężących się piersiach.

Oczy zapaliły mu się, spojrzał na nią przez sekundę, która trwała wieczność.

- Przepraszam.

Żar przelotnego dotyku spłynął jej do brzucha. Sutki stwardniały, wciągnęła szybko oddech.

- Nic się nie stało - skłamała. Umieścił kotkę na ramieniu.

- Dobra dziewczynka - powiedział, uśmiechając się głaszcząc gęste futro.

Jego gładkie palce zmysłowo pieściły mruczącego kota. Opuścił wzrok na Karin, znów obojętny. - Przypilnuję, żeby tu więcej nie wchodziła. - Odwrócił się i przestąpił próg.

- Nie przeszkadza mi. Lubię koty - powiedziała Karin.

Ale drzwi już się zamknęły.

Leżała na wąskim łóżku, piersi jej drżały, oddychała z trudem. Boże, co się z nią dzieje?

Rowan postawił kotkę na podłodze łazienki; ta od razu zabrała się za jedzenie. Spojrzał na pomarańczowe zwierzątko. Kobieta taka jak Karin Williams była niebezpieczna, stanowiła zagrożenie dla jego ściśle kontrolowanego życia. Po tym, jak Klaudia go opuściła, przyrzekł sobie, że nigdy więcej nie dopuści blisko siebie żadnej innej. Przez siedem lat udało mu się dotrzymać obietnicy. Aż do tej chwili.

Teraz Karin Williams poddawała próbie jego przysięgę.

Walnął zwiniętą w pięść dłoń w drugą dłoń. Do diabła! Przypomnił sobie gorąco płynące od jej małych piersi, kiedy przejechał po nich palcami. Coś w nim ruszyło, spłynęło ku podbrzuszu. Będzie musiał bardzo uważać i trzymać się z daleka. Nie będzie wikłać się w przygodę, która nie ma przyszłości.

Dziwne, ale ostatnia myśl sprawiła, że poczuł się przygnębiony.

Marmolada zamiauczała, żeby ją wypuścić. Mamrocząc coś pod nosem, Rowan zszedł po schodkach za kotem.

4

Zaciągnięte chmurami niebo i przenikliwy wiatr zapowiadały zmianę pogody. Karin wyszła z przyczepy i ruszyła w stronę stołówki. Poranny ziąb przeniknął przez jej levisy i niebieski sweterek, zmarznięta, nie zdjęła z siebie grubej, wełnianej kurtki, kiedy usiadła przy Derricku na końcu stołu. Thorny pchnął ku niej miseczkę Z owsianką, postawił na stole, obok tostera, półmisek z kielbaskami i sadzonymi jajkami.

Karin zerknęła na prawie pusty talerz Derricka i zaczęła szybko pałaszować gorące płatki. Nie będą na nią czekać. Na pewno nie da powodu Wielmożnemu Panu Marsdenowi do oskarżenia jej o guzdralstwo.

Mężczyźni dopili kawę i ruszyli w stronę ciężarówek z przyczepami. Karin przelknęła ostatni kęs i pobiegła za nimi. Ostry głos Rowana rozbrzmiał tuż za nią.

- Czy jest pani gotowa do pracy, panno Williams? - Szedł wielkimi krokami, pod pachą niósł teczki i rulony.

- Karin - poprawiła go.

- Tak, tak... Karin. Jesteś gotowa? - Jego głos brzmiał prawie wrogo.

Doszedł do przyczepy pełniącej funkcję biura, wszedł na schodki, otworzył metalowe drzwi i odstąpił, żeby ją przepuścić. Oparł teczki z planami o kreślarską deskę.

- Tu będzie twoje miejsce pracy. - Głos miał głęboki, dźwięczny. Twarz nieprzeniknioną. Karin poczuła się nieswojo, ale nie mogła odwrócić od niego wzroku. Przerzucił kilka arkuszy, wreszcie wyciągnął plan, którego szukał. - Tak wygląda plan terenu - rzucił. Karin poderwała głowę, policzki jej poczerwieniały.

- Znam się na tym - wycedziła przez zęby. - Nie musisz mnie wszystkiego uczyć.

- Panno Wil... - westchnął ze znużeniem. - Karin. U Pickeringa posuwamy się do przodu, słuchając i postępując zgodnie ze wskazaniami. Bez ruchu nie ma postępu. Nie jesteś wyjątkiem.

- Zdawało mi się, że u Pickeringa każdy ma prawo głosu.

- Oczywiście. Zaczęliśmy od zera i zdobyliśmy imię, postępując tak, jak przed chwilą mówiłem. Ciężką pracą. Tę firmę zbudowały ciężka praca i poświęcenie. - Odwrócił się, jakby chciał odejść.

Poczuła, jak rośnie w niej złość. Wpatrzyła się w niego ostrym wzrokiem.

- A ty zawdzięczasz swą pozycję wyłącznie temu, co masz w spod... w głowie, tak? - Rany Boskie, o czym ona myśli?

Spojrzał na nią przez moment, usta mu zadrżały, po chwili znów podjął obojętnym tonem.

- Całość obsługuje prądnicą o sile dwudziestu tysięcy wolt, generator, jeśli wolisz. - Otworzyła usta, by zadać mu pytanie, ale on ciągnął dalej. - W tym miejscu mamy zasilanie, sprzęt będzie składowany tam. - Dziabnął plan czerwonym ołówkiem, potem, stukając w kreślarską deskę czubkiem buta, dodał sucho: - Odpowiednie parametry znajdziesz na tej fiszce. Chodź. Pokażę ci resztę. - Odwrócił się, pchnął drzwi.

Karin poszła za nim, wpatrzona w mięsień grający na jego plecach tam, gdzie przylegała do skóry szara ircho-wa koszula. Jej wzrok przesunął się w dół ku obcisłym czarnym dżinsom kryjącym wąskie biodra i nogi. Była w jego chodzie lekkość i siła, przypominał tygrysa podchodzącego ofiarę. Seksowny, szarooki tygrys. Takie zwierzę może przyciągnąć nieszczęście.

W środku sąsiedniej przyczepy Derrick i Robin siedzieli przy komputerach i studiowali wydruki z danymi. Derrick zamachał arkuszem przed nosem Rowana.

- Zobacz no, co nam wyszło. Rowan przejrzał zadrukowany papier.

- Centrali się to spodoba - powiedział. - Dobra robota. Wyślijcie im, jak tylko skończycie.

Derrick skinął głową i odwrócił się do ekranu.

- Rozumiem, że wprowadzono cię już w techniczne szczegóły - powiedział Rowan. - Co właściwie wiesz na temat naszego projektu?

Karin zacisnęła wargi.

- Szczerze mówiąc niewiele. Leonard powiedział mi, że wszystkiego dowiem

się na miejscu. Powiedział, że cała instalacja jest nowa i że projekt jest utajniony. I że prowadzicie monitoring satelitarny i zajmujecie się transmisją danych.

- Po części ma rację. Rzeczywiście przekazujemy dane, ale główne nasze zadanie to odbiór i dekodaż sygnałów, a potem obróbka danych.

Tuż przed nimi Mac mocował się z węzowiskiem kabli, które wiły się między komputerami. Rowan schylił się i przeciągnął końcówkę kabla przez płataninę. Podał ją Macowi, który wyburczał podziękowanie.

Rowan wyjaśnił jej zasady funkcjonowania anten, pokazał na ekranie wykresy, potem powiódł ją wzdłuż rzędu komputerów i sprzętu elektronicznego. Wszystko co mówił, było zdumiewająco jasne. Karin, wbrew sobie, wsłuchała się z podziwem w precyzyjny, naukowy wywód. Widać było, że Marsden darzy swoich współpracowników szacunkiem; twarz mu się rozjaśniała, kiedy o nich mówił.

Gwałtowny podmuch wiatru otworzył drzwi. Karin zadygotała. Rowan podążył wzrokiem za jej ruchami; oczy mężczyzny zatrzymały się na moment na jej piersiach.

- Kiedy się ociepli, pójdziemy obejrzeć urządzenia w terenie. Karin poczuła swój bawelniany sweter. Jej kurtka była szeroko rozpięta; pod miękkim materiałem twardniały koniuszki piersi. Zaciągnęła połę kurtki, zdając sobie sprawę, że reakcja jej ciała po części tylko związana była z zimnem. Rowan przytrzymał przed nią drzwi, a potem je zatrzasnął, kiedy wyszli. W milczeniu prowadził ją z powrotem do biura.

Karin stanęła przed kreślarską deską i znów przyjrzała się rozłożonemu arkuszowi.

- Czy Pickering dostarczy nam elementy do płyty montażowej?

Skinął głową.

- Całe potrzebne osprzętowanie. Chciałbym, żebyś zrobiła mi listę materiałów konstrukcyjnych.

- Czy mogę zamówić to, co uważam za konieczne? -Spojrzała na niego z wyzwaniem.

Jego oczy były szare i chłodne.

- Po tym jak zaaprobuję listę. - Wyciągnął blok z środkowej szuflady biurka, położył go przed Karin. - Moim zdaniem powinnaś zacząć od kalkulacji obciążenia. - Stanął przed drzwiami z ręką na klamce. - Dokładność jest istotna w naszej pracy, panno Williams. Zawsze to podkreślam. - Zamknął za sobą pomalowane na zielono drzwi, w które Karin utkwiała teraz wzrok.

Karin zaczęła przemierzać pokój, nie wiedząc czemu przypominała sobie, jak ciepły i przyjazny potrafił być Rowan dla swojej załogi. Ale nie dla niej. Jako inżynier jest bez zarzutu, ale jako mężczyzna... Zaciśnęła usta i opadła na kreślarski stołek.

Przez resztę dnia padał deszcz. W południe Thorny zaserwował kopiasty lunch, w którym Karin rozpoznała kawałki mięsa z kolacji. Po obiedzie wyciągnęła spod łóżka kreślarskie przyrządy i książki i zaniósła je do kreślarni. Przez następne trzy godziny przeglądała standardy i techniczne wskazania, od czasu do czasu robiąc notatki swoim równym, kreślarskim pismem. Późnym popołudniem wpadł Rowan, kiedy akurat pochylała się nad deską i rozrysowywała plan.

- Nie tracisz czasu - zauważył, zaglądając jej przez ramię i studiując arkusz z obliczeniami leżący przy jej łokciu. Miał na sobie ciężki, rybacki sweter z szorstkiej czarnej, owczej wełny; jej lanolinowy zapach mieszał się przyjemnie z jego własną, męską wonią.

- Przestało padać. Masz czas na małą przechadzkę? - Jasne. - Podniosła się i przeciągnęła, czując, jak z pleców znika napięcie.

Rowan zdjął z wieszaka jej kurtkę i przytrzymał ją, czekając, aż wsunie ręce w rękawy. Przyspieszyła kroku, żeby za nim nadażyć; szli w stronę magazynu ze sprzętem, obok ciężarówek. Rowan pokazał jej ogromną dieslowską prądnicę, potem

wszedł na drewniany pomost biegnący obok przyczep. Karin podążyła za nim.

Gdyby okazywał jej tyleż szacunku co członkom swego zespołu albo chociaż mówił do niej tym samym dźwięcznym głosem, jakiego używał tylko przy pracy, mogłaby dobrze czuć się w robocie. Najwyraźniej lubił to, co robił i, jak zdążyła zaobserwować, robił to dobrze.

- Póki co, korzystamy z tej oto konstrukcji nośnej. Jak możesz zauważyć, nie jest ona wystarczająco stabilna. - Zakołysał się parę razy, platforma zahuściła się lekko. Nim zdążyła odpowiedzieć, zeskoczył na ziemię i ruszył w stronę srebrzystego range rovera zaparkowanego pod drzewami.

Karin pobiegła za nim.

- Do środka! - zarządził Rowan. Wyprowadził samochód na szczyt wzniesienia, gdzie urywała się droga, wyskoczył, zdjął zagrządzający łańcuch. Ruszyli w kierunku grani.

Z wnętrza samochodu Rowan wskazał ręką na intensywnie czerwony stok po drugiej stronie doliny.

- Tam też mamy swoją instalację.

Głos Rowana odpływał w miarę, jak Karin przypatrywała się górskiemu pasmu, mrużąc oczy przed słonecznym światłem. Widok był wspaniały.

- To wrzosa?

- Borówki - odparł. - Na prawo od tamtej sosny jest nasza antena reflektorowa.

- Czytałam gdzieś o niej. To podobno jeden z bardziej udanych modeli.

- Najlepszy jaki istnieje.

- Czy nie jesteśmy w pobliżu turystycznego szlaku? - spytała Karin, przypomniawszy sobie tablice informacyjne, jakie widziała w miasteczku.

- Jak najbardziej. Keswick żyje z turystów, którzy latem wybierają się na górskie wycieczki. Na samą gran nie da się wspiąć, ale jest pełno innych możliwości. - Odwrócił się, wskazał na południe. - To są turnie Muncaster. Stamtąd można zobaczyć Solway Firth i Szkocję. A tam z kolei - pokazał ręką odrobinę bardziej na wschód - za instalowaliśmy...

- Czy często chodzisz w góry? - przerwała mu, przypatrując się gładkiej skórze jego opalonych palców, umięśnionym przedramionom wystającym z podwiniętych rękawów swetra. Ciemne jedwabiste włosy połyskiwały na złotej skórze.

Podniósł brwi.

- Owszem. W końcu pochodzę z północy, a tam ostro żeśmy się wspinali. Na tamtej grani...

- Z którego miejsca na północy? Spojrzał na nią dziwnym wzrokiem.

- Z Yorku. Moja rodzina mieszka w Knaresborough.

- Twoja żona?

- Moi rodzice. Nie jestem żonaty. - Coś błysnęło w jego oczach, cień przemknął przez ostre rysy twarzy. - Z całą pewnością są bardziej interesujące rzeczy niż moje życie osobiste - powiedział poirytowanym tonem. - Chodźmy, pokażę ci resztę. Wspięli się wyżej. Doszedł ostrożnie do brzegu granitowego występu i wskazał na trzy tarcze bielejące w oddali. Karin wychyliła się do przodu, żeby je lepiej zobaczyć.

- Nie zbliżaj się za blisko - ostrzegł. Chwycił ją za ramię i odciągnął od przepaści. - To niebezpieczne.

Jego głos był twardy, ręka ścisnęła mocno, ciepło i... onieśmiałała. Palce mężczyzny zwarły się, gdy przyciągał ją bliżej do siebie. Leśno-piżmowy zapach wypełnił jej nozdrza. Przełknęła, poczuła, jak przepływa między nimi prąd.

Jakby na nic niepomyślny, ciągnął dalej.

- W zeszłym roku zabił się tu jeden turysta. O tam. - Pokazał w dół.

Uwolniła się z jego uchwytu, ignorując mroczne spojrzenie, i popatrzyła tam, gdzie wskazywał jego palec. Pięćdziesiąt stóp poniżej wystawała skalna półka. Wizja spadającego ciała przemknęła jej przez głowę.

- Ależ to okropne! - wyszeptała. Cofnęła się o krok, wpatrzyła w ciemnoszarą linię górskiego pasma. - Tu naprawdę jest bardzo pięknie - powiedziała w końcu.

- Nie ma lepszego usytuowania w całym kraju. Mamy, łączność nawet z Nową Funlandią. Zwróć uwagę, że...

Karin wsłuchiwała się w melodię jego głosu, ale nie była w stanie skupić się na słowach. Jako dziecko przynosiła do domu kamienie z każdej wycieczki w góry. Później, już w liceum, fascynowała się geologicznymi cudami ery lodowcowej i wybuchami wulkanów. Intensywne piękno i samotność otaczających grzbietów skalnych wyzwoliły tkwiące w niej namiętności. Jak zahipnotyzowana obróciła się w jedną, potem w drugą stronę.

Zbliżyła się do niego i wskazała złoty płomień na przeciwległym stoku.

- Spójrz! Tam! To osika, prawda?

- Panno Williams... Karin. A może byśmy tak wrócili do zasadniczego tematu?

Obróciła się ku niemu ze złością. - Czy to wszystko, co jesteś w stanie dostrzec?

- Uważaj! Stoisz na samym brzegu.

- Na litość boską! Przestań być taki sztywny! - Odstąpiła od niego i wtedy nagle ziemia osunęła się jej pod nogami. Krzyknęła.

Silna dłoń schwyciła ją za przegub i wyciągnęła z przepaści. Kawałki skały sypnęły w dół, rozbiły się na mniejsze fragmenty o skalną półkę. Dno przepaści rozbrzmiało echem. Karin odetchnęła spazmatycznie, zachwiała się, próbując stanąć na bezpiecznej ziemi.

Ramiona Rowana otoczyły ją i nim zdążyła zareagować, znalazła się w mocnym uścisku. Kurtka Karin otworzyła się, a ona sama przyłgnęła piersiami do żelaznej klatki piersiowej mężczyzny. Przepływały przez nią fale, poczuła, jak przenika ją jego gorąco, jak nierówno łomocze jego serce. Zalał ją zapach sosenu i piżma. Gardło się jej ścisnęło, wyzwoliła się.

- Nic mi nie jest - powiedziała ochryple. Cofnęła się, ale kiedy oparła się na lewej stopie, ta załamała się w kostce. - Do diabła!

- Ostrzegalem cię. - Twarz miał białą, zawziętą. - Mam nadzieję, że to tylko skręcenie.

Wyciągnęła rękę, żeby się na nim wesprzeć. Płomień przeszył jej kostkę.

- Myślę, że tak. Usta mu się zwężyły.

- Lepiej rzucić okiem - powiedział półgłosem. - Trzymaj się mnie.

Opierając się o niego, dokuśtykała do samochodu. Otworzył drzwiczki, dość bezceremonialnie położył ją na siedzeniu i zaczął rozsznurowywać jej but.

Wyszarpała stopę.

- Sama potrafię.

- Z całą pewnością, ale ja chciałem tylko popatrzeć. - W jego tonie było coś, co nakazywało posłuszeństwo. Ściągnął jej but i skarpetkę, delikatnie obrócił kostkę. Ręce miał ciepłe, dotyk prawie intymny. Wciągnęła głęboko powietrze, podczas gdy jej palce instynktownie podkurczyły się. Przesunęła wzrokiem od opalonych palców kołyszących i głaszczących jej stopę ku przedramionom pokrytym prostymi ciemnymi włoskami, zatrzymała się na cienkiej białej bliźnie biegnącej od prawego wskazującego palca aż ku środkowi przedramienia, wreszcie podniosła oczy ku wyrzeźbionym rysom, mocnej szczęce, wyraźnie zarysowanym wargom.

Uniósł głowę. Przez moment patrzył prosto na nią. W jego oczach błyskało

uczucie znacznie silniejsze od niedawnej irytacji.

Zalala ją fala gorąca. Nie mogła odwrócić wzroku.

Rowan oderwał się od płynnego ciepła oczu Karin. Nie była ani mała, ani bezradna, a on poczuł w sobie kompletne pomieszanie: pragnął zacisnąć mocno ręce na tej smukłej szyi i zarazem całować do utraty tchu jej usta. Zmusił palce, by naciągnęły z powrotem białą skarpetkę i przestały pieścić jedwabście miękką skórę zgrabnej kostki i kształtnej łydki. Ręce mu się trzęsły, gdy rozluźniał sznurowadło.

Na rany Chrystusa! Pragnął jej.

5

Rowan wciągnął but na stopę Karin, zasznurował go luźno i podniósł się.

- Przydałoby się przyłożyć trochę lodu. - W jego głosie, choć spokojnym, pobrzmiwały złowieszcze nutki. - Nie ma zwichnięcia, ale radzę dziś odpocząć. - Zatrzasnął drzwiczki, usiadł za kierownicą. Kiedy w końcu na nią spojrzął, zdawał się odległy o całe mile.

Przebiegła wzrokiem po jego orlim, twardym profilu, podczas gdy cofał do tyłu samochód. Przez całą wyboistą drogę zachował kamienną twarz i nie odezwał się ani słowem. Kiedy zatrzymali się przed przyczepą, próbował pomóc jej wysiąść, prawie jej nie dotykając, zupełnie jak gdyby obawiał się fizycznego kontaktu. Odsunęła się i sama pokuśtykała do pokoju.

Karin zwinęła się w kłębek na wąskim łóżku i ponuro wpatrzyła w zakurzony kąć. Kostka bolała ją mniej niż zraniona duma. Wystawiła się na pośmiewisko, okazała bezradność przed Rowanem. I, na Boga, co ją naszło, żeby tyle trajkotać o krajobrazie? Stał teraz nad nią, wielki jak góra, i z całą pewnością marzył o tym, żeby była o sześć tysięcy mil stąd.

Ale nie była w Kalifornii, była tutaj. I na dodatek, jakby nie miała dotąd dość problemów z tym facetem, jeszcze to! Przepraszać nie leżało w jej naturze. Stale musiała walczyć z przesadami, kiedy budowała karierę; milczenie Rowana utrudniało jeszcze sprawę. Poprawiła się na łóżku, spojrzała w górę. - Przykro mi, że sprawiłam tyle kłopotu. Ja... zazwyczaj jestem ostrożna. Tak naprawdę...

- To była naprawdę głupota - wycedził. - Mogłaś nieźle się poharatać. Mniejsza o kłopot. Choć, z drugiej strony, nie było mi zbyt łatwo... - Zawiesił głos. Nagle o wiele łagodniejszym tonem powiedział: - Dopilnuję, żeby przyniesiono ci kolację.

Zaskoczona, zdołała tylko wyjąkać:

- Dziękuję.

Uciekł przed jej wzrokiem, udając nagle zainteresowanie książką leżącą na biurku. Podniósł ją, rzucił okiem na tytuł, położył z powrotem.

- Jutro sobota - powiedział, wpatrując się w jakiś punkt między jej głową i ścianą. - Wszyscy jadą po południu do miasteczka. Jeśli cię to interesuje, myślę, że możesz też pojechać. Ale powiem ci szczerze: to naprawdę nie jest szczególnie ekscytujące miejsce. - Zatrzymał się w drzwiach, z jedną ręką na klamce.

- Nie sądzę, żeby to był problem. Ja... Wciąż patrząc na drzwi, przerwał jej.

- Bądź gotowa na wpół do piątej.

Ostrożnie zamknął za sobą drzwi. Usłyszała, jak zstępuje po schodkach. Zaproszenie bez entuzjazmu, pomyślała, kuśtykając do łazienki. Ale w końcu jakie to miało znaczenie, co odczuwał wyniosły Pan Marsden. Dopóki wywiązywała się ze swych obowiązków, dlaczego nie miałyby pojechać do miasta i zabawić się? Stała

długo pod prysznicem, wystawiając bolące ramiona na strugi wody. Potem założyła podomkę z miękkiej flaneli i wróciła do pokoju.

Na biurku czekał na nią przykryty talerz na podłużnej metalowej tacy. Karin, nie siadając, sięgnęła po delikatny filet z ryby. Po pierwszym kęsie poczuła, że nie jest głodna. Zjadła jeszcze kawałek, a potem przykryła na powrót talerz, zostawiając i rybę, i frytki.

Na zewnątrz rozległo się miauczenie i Karin uchyliła drzwi przyczepy, żeby wpuścić Marmoladę. „Założę się, że tobie nigdy nie powiedział złego słowa.” Zdjęła z półki szczotkę do włosów, usiadła w rogu łóżka i zaczęła czesać swe gęste włosy, podczas gdy kotka wyciągała się wzdłuż jej uda.

Marsdenowi mógł nie podobać się pomysł zabierania jej do miasteczka, ale nawet on nie mógł od niej oczekiwać, że zamknie się w przyczepie na dwadzieścia cztery godziny. Czesła się tak intensywnie, aż rozboleła ją ramię i wtedy zwinęła się obok kota. Czowała ciepło zwierzątka przy samym brzuchu i nagle humor jej się poprawił.

Znów wróciła myślami do Rowana, przypomniała sobie otaczające ją ramiona, dotyk dłoni na kostce. Czasem potrafił być miły, ale dominowała w nim arogancja. Dlaczego był aż tak zimny i tak bardzo się pilnował? Czy bał się swoich uczuć? Czy obawiał się okazać słabość? Co za mieszanka miękkiego z twardym! Karin obróciła się na bok, czując rozkosznie miękkie ciepło kota tuż obok siebie. Kotka najwyraźniej go uwielbiała; jego chłopcy lubili go. Wyobraziła sobie, jak Marmolada układa się przy kształtnym, twardym udzie Rowana. Dziwne, ale poczuła zadowolenie, kiedy przypomniała sobie, że Rowan nie jest żonaty.

- Uwaga na płaszczyk - ostrzegł ją Thorny. - Jeszcze troszkę się przesuwamy. No pięknie. - Tęgi kucharz wcisnął się na tylne siedzenie range rovera obok Karin, która nie mogła już się ruszyć, przyciśnięta do Derricka. Ten z kolei wprasowywał się w Cyrila.

- Chętnie bym się z tobą zamienił na miejsce. - Paddy odwrócił się z przedniego siedzenia i mrugnął do Thorny'ego. - Ta pani pachnie o niebo piękniej od tego cholernego Anglika. - Wychylił się i dziabnął Cyrila między żebra.

- Ręce przy sobie, wariacie - zbeształ go Cyril. Rzucił ukradkowe spojrzenie na Karin. - Umieściłem Karin w miejscu, w którym mogę ją chronić przed takimi typami jak wy dwaj - wtrącił się Thorny.

- I tak jestem święty, że wytrzymuję wasze wygłupy przez cały tydzień. Ponieważ jestem tu najdłużej - nachylił się do Karin - stałem się dla chłopaków kimś w rodzaju ojca.

Poprawiła mrowiejące nogi, potem obciągnęła nogawki beżowych sztruksów nad camelami z miękkiej skóry.

- Czy znacie się od dawna?

Thorny skinął głową, kosmyk siwiejących włosów opadł mu na czoło.

- Większość z nas pracowała już razem. Tylko Derrick jest nowy. Rowana poznałem, kiedy jeszcze był chłopaczkiem. - Zniżył głos tak, że tylko ona mogła go słyszeć. - Lubi sobie popatrzeć na kobiety, ale nie chce się wiązać; nie chce, żeby mu przeszkadzały w pracy. - Wzrok Thor-ny'ego złagodniał. - Gdyby nie Rowan, nie siedziałbym tutaj. - Rzucił okiem w stronę okna. - Ciii! - wyszeptał.

- Już idzie. Praca z tym facetem to prawdziwa frajda. Gotów jest ziemię poruszyć dla swoich chłopaków.

Karin przyjrzała się potężnej sylwetce zmierzającej do samochodu. Rowan trzymał ręce w kieszeniach obcisłych wełnianych spodni; jej wzrok przykleił się do muskularnych ud. Szedł z wdziękiem dzikiego zwierzęcia; nagle zobaczyła go nagiego, mknącego przed siebie, grającego wszystkimi mięśniami. Zaczerwieniła się, opuściła

wzrok. Musi położyć kres tym fantazjom. A więc gotów jest poruszyć ziemię dla swych chłopców? Miała ochotę spytać Thorny'ego, czy Rowan zdolny jest do poświęceń dla jednej tylko płci.

Rowan otworzył drzwiczki, przyjrzał się wszystkim po kolei.

- Jeśli dobrze widzę, wszyscy chętni są na pokładzie. - Płynnym ruchem wślizgnął się za kierownicę i przekręcił kluczyk w stacyjce.

- A co z resztą? - spytała Karin. - Zawsze zostaje na miejscu przynajmniej dwóch ludzi, którzy nadzorują sprzęt i system bezpieczeństwa. Jeśli masz na myśli równouprawnienie, to w zeszłym tygodniu ja zostałem w bazie.

Zapadał już zmierzch, kiedy dojeżdżali do Cairnbeck. Jedna po drugiej zapalały się wzdłuż krętej drogi latarnie. Wśród zieleni kryły się małe domki. Z narożnego sklepu wyszedł właściciel i zamknął drzwi na klucz. Tęga kobieta w granatowej sukni dostojnie jechała wybrukowaną jezdnią na porzdewiałym rowerze w kierunku białego kościoła.

Leonard pochodzi właśnie z takiego miejsca, pomyślała Karin. Odnalazła podobieństwo między architekturą miasteczka i zdjęciami z rodzinnego Yorkshire, które jej pokazywał. Zawsze mówił, że chciałby tam wrócić, ale nigdy tego nie dokonał. Dziwne, jak często w jej myślach pojawiał się Leonard. Ale w końcu był dla niej prawie jak ojciec. Uśmiechała się do siebie, kiedy patrzyła na migające za szybą widoki. Sklepy, ustawione w rzędy domki świeciły jednakowym ciepłym, czerwonym odcieniem tutejszego piaskowca. Leonard byłby tym zachwycony.

Rowan objechał niewielki skwerek i zatrzymał samochód przed domem z niegładzonego kamienia, o wejściu z łukowym sklepieniem. Na szybie, za którą rozciągała się firanka, widniała reklama miejscowego piwa i druga, wychwalająca zalety guinnessa.

- Dobieliśmy do portu! - Thorny wygramolił się pierwszy i podał rękę Karin.

Paddy ruszył statecznym krokiem w stronę kościoła.

- Do zobaczenia za chwilę, chłopaki.

- Msza - szepnął Thorny do Karin, kiedy przechodzili przez próg. - Dołączy do nas po osiągnięciu stanu łaski.

- I wtedy przepije was wszystkich razem - roześmiał się Cyril. - Poza Rowanem, oczywiście.

- Naprawdę? - Spojrzała niewinnie na Rowana, wielkiego i ciemnego. - Nie ma na niego mocnych? Cyril parsknął śmiechem.

Rowan spojrzał na nią nieprzeniknionym wzrokiem.

- Wbrew temu, co możesz pomyśleć, zawsze jestem na tyle trzeźwy, że odwożę wszystkich do domu.

- No, no! Prawdziwy zuch, zawsze gotów do akcji! - O Boże, pomyślała, zaciskając powieki w miarę, jak jej twarz pokrywała się rumieńcem. - Chciałam powiedzieć: do dzieła.

Rozbawiony uśmiech wykrzywił kąciki ust Rowana.

- Zdenerwowana? - spytał.

- Oczywiście, że nie! - rzuciła.

- Oczywiście, że nie - powtórzył szyderczo. - Proszę tędy.

Wszedł do środka i skierował się do stołu pod ścianą. Usiadł na drewnianej ławie z oparciem. Thorny i Derrick zajęli miejsca naprzeciwko. Karin stanęła i spojrzała niepewnie na Rowana i Cyrila.

- Siadaj, u diabła. Przecież nie gryzę - burknął Rowan.

- Szczekanie wystarczy, nieprawdaż? - Spojrzała na niego szeroko rozwartymi oczyma i usiadła na twardej ławce, podczas gdy Cyril, piąty członek załogi, przyciągnął sobie krzesło od pobliskiego stolika i usadowił się przy końcu stołu. Zadygotała,

natknąwszy się na zwężone oczy Rowana. Zobaczyła, jak drga mu mięsień szczęki. Wzięła się w garść, zastanawiając się tylko, czy ona jedna będzie obiektem jego złości. Tak naprawdę była w stanie podjąć wyzwanie, jeśli tylko tego pragnął. Kiedy jednak znów na niego podniosła oczy, więcej w niej było pomieszania niż zaufania do siebie. Walczyć z Rowanem Marsdenem było równie trudne jak pozostanie obojętną. Ten człowiek mógł doprowadzić ją do szaleństwa. A jednocześnie nie sposób było mu się oprzeć.

Pojawiła się przy nich ciemnowłosa kobieta.

- Proszę, proszę, czy to nie chłopcy z gór? - Irlandzki zaśpiew przydawał jej słowom poezji. - Maggie, kochanie - Cyril otoczył ją ramieniem i pocałował głośno w policzek - przedstawiam ci Karin Williams.

Maggie przyjrzała się jej nieufnie, skrzyżowawszy ręce na obfitym biuście. Czarne, błyszczące włosy otaczały bladą twarz o ogromnych niebieskich oczach.

Twardy głos Rowana przeciął ciszę.

- Maggie, Karin jest jednym z naszych inżynierów. Chcieliśmy, żeby zobaczyła, jak wygląda prawdziwy, angielski pub.

- A to ci dopiero - powiedziała powoli Maggie. - Czyli że będę musiała się starać? - Zajrzała Karin w oczy i uśmiechnęła się zachęcająco. - Witamy u Sullivana. Ale wiedz, że on się myli. To nie angielski pub. Ja jestem Irlandką.

- Równie święta jak Paddy... aj! - krzyknął Cyril, którego Maggie kopnęła w goleń. - Kobieto, jesteś nikczemna - zajęczał. Zaczął masować nogę wśród chichotów innych. - Nie ma w tym nic śmiesznego.

- A co dziś pijemy? - spytała Maggie, nie zwracając uwagi na Cyrila.

- Przynieś nam to co zwykle, Maggie - powiedział Rowan. Odwrócił się do Karin. - Na co masz ochotę?

- To co wszyscy - odpowiedziała.

- No to mackeson dla wszystkich - zamówił Rowan.

Maggie przyniosła piwo i dołączyła do kompanii, usadowiwszy swoje obfite kształty obok Karin. Przesuwając się, żeby zrobić jej miejsce, Karin nagle poczuła przy sobie udo Rowana, ciepłe i twarde. Zakreśliło się jej w głowie. Podniosła szklanekę i upiła mały łyk. Piwo było słodkawe, spływało gładko. I było mocne. Znów się napiła, starając się ignorować rosnące w niej podniecenie. Był tak blisko!

Cyril przysunął się z krzesłem do Maggie.

- Czy od dawna jesteś w Anglii? - spytała Maggie. Karin przyjrzała się zachłannym palcom Cyrila ześlizgującym się z ramienia Maggie na kibić kobiety.

- Nie, od niedawna. Przyjechałam parę dni temu. - Spróbowała odsunąć się od gorąca promieniującego z ciała Rowana, ale z drugiej strony ograniczała ją Maggie.

- Jesteś jankeską. - Irlandzki zaśpiew przebił się przez myśli Karin. - Ale nie będę cię męczyła. Po prawdzie, sama nie jestem znów tu tak długo.

- Maggie jest właścicielką pubu - powiedział Rowan. Podniósł szklanekę, wpatrując się w Karin. To, co kryło się w srebrnej głębi jego oczu, nie miało nic wspólnego z zadanymi pubami.

Karin upiła kolejny łyk.

- To nie jest zwykły pub - zauważyła Maggie. Rowan wybuchnął śmiechem, od którego zjeżyły się

włoski na karku Karin.

- To prawda - pospieszył z wyjaśnieniem. - Nim został gospodą, ten dom mieścił w sobie sąd. Sądzone tutaj głównie złodziei owiec. Których następnie wieszano na miejscu. - Wskazał głową na schody w końcu sali. - Areszt mieścił się w piwnicy.

Maggie pokazała na okno i ciemną górę nad miasteczkiem.

- Zabierali ich tam i wieszali na szubienicy. - Przerażony wzrok Karin wzbudził uśmiech na twarzy kobiety. - Ale nie to miałam na myśli, mówiąc o gospodzie - ciągnęła Maggie - tu jest także hotel. Na górze jest sześć pokoi. W lecie zdzieram sobie nogi dla turystów.

Karin odwróciła się do Maggie.

- Masz pewnie sporo gości. Widziałam ogłoszenia w miasteczku.

- Och, jest ich pełno. Urządzają sobie zjazdy miłośnicy literatury, inni odprowadzają swoje święta. A poza tym ludzi przyciąga historia naszego miasteczka.

Rowan obrócił się i przeniósł wzrok na Karin. - Cairnbeck to stare targowe miasto. Założono je w trzynastym wieku.

Ciepły oddech owiał jej włosy. Poczowała, jak przyspiesza jej puls, wychyliła się do przodu, żeby znów się napić. Oblizła pianę z ust. Wzrok Rowana podążył za ruchem jej języka.

- Ale to nie wszystko - wtrącił Thorny. - Powiedz jej o rzymskich łaźniach.

- Maggie! - zawołał głos od baru.

- Chwileczkę, już idę. - Maggie podniosła się. - Miło było z tobą pogadać.

Jeżeli nie zobaczymy się jeszcze dzisiaj, przyjdź innym razem.

- Dziękuję, na pewno tu wrócę - przyrzekła Karin. Przesunęła się na miejsce pozostawione przez Maggie,

niepewna pod baczny wzrokiem Rowana. Pociągnął duży łyk ze szklanki, zmarszczył brwi. Wyglądało na to, że ocenia ją. I to negatywnie. O co znowu mógł być zły? Spojrzała na Thorny'ego.

- Co z Rzymianami? Thorny uśmiechnął się.

- To Rowan jest naszym specjalistą od historii. Opowiedz jej o łaźniach. -

Szturchnął szefa.

Rowan spojrzał z namysłem na Karin.

- Wątpię, żeby interesował cię wykład na temat wczesnego osadnictwa. Może innym razem.

- Tak naprawdę to ja...

- Hej, Karin! Nie chciałaby pani zagrać w strzałki? -przerwał im Derrick.

- Mówmy sobie wszyscy po imieniu- zaproponowała Karin.

Twarz Rowana spochmurniała.

- Chętnie się rozerwę. - Karin popatrzyła na ściśnięte szczęki Rowana. Jeżeli ten facet chce szukać ciągle zaczepki, niech się bawi sam ze sobą!

- Weźcie moje. - Thorny pchnął przez stół pudełko z polerowanego drewna. Karin podążyła za Derrickiem w kierunku ściany z tarczą.

- Grałaś już kiedyś?

- Właściwie to nie.

- Właściwie?

- Kiedy byłam małą dziewczynką, ojciec powiesił tarczę w garażu. Grał z Leonardem, moim obecnym szefem. Parę razy spróbowałam. - Roześmiała się. - Byłam beznadziejna.

Derrick otworzył pudełko, wybrał strzałkę i uniósł ją w górę.

- Tu jest trzonek, a tu tulejka. - Przesunął ją w palcach. - Trzeba znaleźć punkt ciężkości. - Wskazał na upierzony koniec. - A to lotka. A teraz patrz. - Ujął strzałkę między kciuk i palec wskazujący, podszedł do linii narysowanej na ciemnej dębowej podłodze i przymierzył się. Wyrzucił rękę wychodząc z łokcia; strzałka wbiła się tuż przy środku. - Teraz twoja kolej.

Karin zajęła jego miejsce i podniosła rękę. Metalowy pocisk wyfrunął jej z ręki i wbił się w belkę o dobre trzydzieści centymetrów ponad tarczą.

- Uff - westchnęła.

- Jeszcze raz - zachęcił ją Derrick.
Stała przy linii i wpatrzyła się w cel, przemieszczając ciężar ciała z nogi na nogę.

- Ej, laleczko - zawołał z tyłu męski głos - ruszaj rączką, a nie siedzeniem!
Rozległy się śmiechy.
Karin zeszytywniała, rzuciła strzałkę. Ta odbiła się od metalowego obramowania tarczy i upadła na podłogę.

- A niech to diabli! - Zdenerwowana, wybrała trzecią strzałkę i zamierzyła się.
- Nie tak. - Chłodny głos Rowana rozbrzmiał tuż za nią. Odwróciła się gwałtownie i widząc jego uśmiech, poczuła natychmiast ulgę.

- W ten sposób. - Podeszedł do niej blisko, otoczył ramionami i zwarł opalone ręce na jej dłoni. Ciepłe twarde ciało przylgnęło do niej, a serce Karin zaczęło bić jak oszalałe.

- Trzymaj lekko i puść, kiedy ci powiem. A teraz poćwicz sam ruch.
Karin poruszyła ręką do przodu i do tyłu, poddając się jego palcom, podczas gdy druga ręka Rowana spoczywała na jej ramieniu. Coraz trudniej było jej się skupić, w miarę jak otaczał ją pizmowy zapach. Dlaczego jej ręka nie mogła przestać się trząść?

Rowan zastygł, zmarszczył brwi.
- Musisz rzucać pewną ręką.
Znowu zeszytywniała, nie będąc w stanie skupić się na strzałkach, kiedy jej serce tak mocno biło.

Powoli pociągnął rękę Karin do tyłu tak, że jej ciało przylgnęło do niego na ułamek sekundy. Wtedy poruszył lekko przegubem.

- Teraz.
Otworzyła palce. Strzałka sama poleciała i wbiła się w tarczę.
- Pierścień podwójnych punktów! Nieźle. - Wybrał kolejną strzałkę. - Spróbujmy jeszcze raz.

Rowan znowu zwarł wokół niej ramiona. Poczula jego podbródek na swych włosach. Plecy rozgrzały się od jego ciała. Spojrzała na długie palce spoczywające na jej dłoni. Były gładkie, kształtne, pokryte lekkim ciemnym meszkiem, wyglądały na wrażliwe. Nigdy jeszcze nie zastanawiała się nad rękami mężczyzny, ale dłonie Rowana były zdecydowanie... Jakże? spytała sama siebie.

Podniecające.
Gwałtownie oderwała od nich wzrok. Nie chciała widzieć w nim nic podniecającego. Serce biło jej nierównym rytmem, ale zmusiła je do spokoju. Fakt, że stał teraz za nią i otaczał ją ramionami zamiast sztorcować, jak to miał w zwyczaju, zwiększał jeszcze jej niepokój. - Spokojnie - tchnął jej do ucha. - Ruszaj się razem ze mną.

Zapach jego skóry odurzył zmysły Karin, kołysała się razem z nim przyciśnięta do jego ciała. Wprawił jej ramię w ruch.

Karin ugłębiała nagle rękę w przegubie, strzałka upadła na podłogę. Zawstydzona, wyzwoliła się z jego uścisku.

- Ja... myślę, że nauczyłam się wystarczająco dużo na dzisiaj. - Wróciła do stołu na miękkich nogach i opadła na ławę.

- Dobrze się czujesz? - spytał Derrick.
- Nic mi nie jest - skłamała. - Nie przywykłam do mocnego piwa.
- A do czego? - zapytał Rowan, siadając obok.
- W ogóle dużo nie piję.
- Nawet kiedy wychodzisz z chłopakiem? - Trącił ją lekko. Szukał wzrokiem jej twarzy.

- Nie mam żadnego... To moja prywatna sprawa, co robię ze swoim czasem - odcięła się. W oczach Rowana zapaliła się ciekawość, a ona zająknęła się. - Zazwyczaj zamawiam białe wino albo herbatę ziołową. - Oczy mężczyzny kpiąco rozbliły się. Ciska przedłużała się. W końcu Karin sięgnęła po płaszcz. - Pójdę się przejść.

- Mogę cię oprowadzić po okolicy - zaproponował Derrick.

Karin odruchowo spojrzała na Rowana. Odpowiedział jej zimnym wzrokiem i zmarszczył brwi.

- Byłoby mi bardzo miło - powiedziała do Derricka.

- Zostań - nakazał Rowan. - Ja to zrobię.

6

Przeszli pod arkadami, które wyprowadziły ich na brukowaną uliczkę. Z dwóch stron biegły rzędy domów o jaskrawo malowanych drzwiach i oknach zasłoniętych koronkowymi firankami. Za ażurowymi zasłonami błyskały ekrany telewizorów, rozświetlając małe pokoje, które były już bardzo stare, kiedy nastał dwudziesty wiek. W miarę jak zagłębiali się w miasteczko, które samo w sobie było nie z tego świata, kontrast stawał się uderzający. Przyszło jej do głowy, że to samo można byłoby powiedzieć o wysokim Angliku, który towarzyszył jej w spacerze.

Rowan zwolnił kroku, by jej nie wyprzedzić.

- Lepiej się czujesz?

- Tak - powiedziała. W oddali rozległo się pohukiwanie sowy. Nocne powietrze omyło ją, chłodne i uspokajające. Z kominów płynął w niebo dym, którego zapach lekko szczypał w gardło. - Rozjaśniło mi się w głowie.

Póki utrzymujesz dystans, ostrzegł ją cichy głos. Za ostatnim domem uliczka kończyła się niskim kamiennym murkiem, a dalej rozpościerała się ciemna łąka. Za linią drzew migotały punkciki świateł. Karin zawahała się; nie bardzo wiedziała, gdzie stanąć na nierównym terenie.

Rowan podszedł do niej, podsunął rękę pod jej łokieć i poprowadził ją po kamieniach. Przy murku wziął ją w ramiona, podniósł i postawił na równiejszym gruncie. Nie puszczał jej kibici, cieplej tam gdzie obnażyło się gołe ciało pod zadartym swetrem. Przesunął lekko palcami po jej skórze, a ona cofnęła się na moment, by przyłgnąć do niego z powrotem. Biło od niego gorąco, któremu po-woli zaczęła się poddawać. Serce uspokoiło się, spojrzała przed siebie w ciemność. Gwiazdy rozbliły się i nikły za szybko przesuwanymi się chmurami.

- Nie musisz udawać, Karin - powiedział z pozornym spokojem. - To nie było piwo, prawda?

Mówił tonem, który był jak pieszczota. Próbowwała się opanować, ale serce nie chciało jej słuchać. Znowu spojrzała w czarne niebo, w którym jej głos zaraz się rozplynął.

- Nie.

To, co czuła, było czymś nowym w jej życiu. Bliska była uniesieniu, a jednocześnie zdumiewała ją reakcja własnego ciała. Dlaczego właśnie on? Beształ ją i sztorcował przez cały tydzień, a jednak budził w niej podziw. Właściwie lubiła go.

Oparty biodrem o murek, górował nad nią, odległy i milczący. Przeszył ją dreszcz, ramiona mężczyzny zwały się mocniej wokół niej. Karin poczuła, jak znikają w niej resztki oporu.

- Onieśmielał cię? - zapytał w końcu.

Płynący z góry głos był jak gładki ciemny jedwab. Oddech Rowana owiał jej włosy, poczuła usta przy swojej skroni. Prawie zawstydzona, opuściła wzrok.

- Tak - wyszeptała. Przelknęła. Otaczała ją cisza, zamykała w swym kokonie. Nigdy nie spotkała równie zmysłowego mężczyzny. Nie była przy nim w stanie się skupić; dnie i noce walczyła, by utrzymać się na powierzchni.

Po raz pierwszy w swoim życiu Karin poczuła, że nie może wydobyć z siebie słowa. Choć zawsze była świadoma, iż nie należy do „paczki”, udało jej się wywalczyć niezależną pozycję w pracy. Od czasu do czasu pozwalała sobie na przelotny flirt, który nigdy jednak nie przeradzał się w coś trwalszego; w jej intensywnym życiu nie było miejsca na romanse. Poświęciła się całkowicie robieniu kariery; zresztą żaden z mężczyzn, których знаła, nie był na tyle interesujący, by chciała z niego zrezygnować. Ale też nigdy nie zetknęła się z kimś takim jak Rowan. Rowan, który wystawił na próbę jej postanowienia, sprawił, że doświadczyła rzeczy, jakich nigdy jeszcze nie odczuwała.

Stał teraz naprzeciwko niej. Podłożył jej palce pod brodę i podniósł jej twarz do góry. Przez dłuższy czas zatapiał się w oczach Karin, a potem nachylił, szukając jej warg. Musnął je, budząc w nich głód; po chwili przywarli do siebie ustami. Zanurzył palce w jej włosach, przyciągnął ją ku sobie.

Nie bronila się, poddawała mu się całkowicie. Tego właśnie pragnęła, za tym tęskniła. Poczuła, jak drażni się z nią jego język, otworzyła się. Kiedy poczuła jego smak, zapragnęła Rowana jeszcze bardziej.

Westchnęła cicho. Objęła go z całej siły. Wsparła się stwardniałymi koniuszkami piersi o jego ciało. Przeszył ją prąd. Żaden mężczyzna jeszcze jej tak nie całował, nie budził w niej takiego pożądania. Odpowiedziała językiem na grę jego języka.

Pociągnął ją w górę tak, że mogła przylgnąć do mocnego ciała mężczyzny. Pierwszy raz w życiu poddawała się nieznanemu uczuciu. Ugięły się pod nią kolana. O Boże, pomyślała. Niech ta chwila trwa bez końca.

Kiedy zniżył ją ku ziemi, objęła go wokół bioder.

- Zostań - wyszeptała.

- Karin. O Boże.

Szukał ustami zagłębienia u podstawy jej szyi. Świeżo umyte włosy musnęły policzek i połaskotały. Wsunął dłoń pod jej sweter i odnalazł miękką pierś.

Obwiał palcami sterczący koniuszek; jęknęła.

Nagle Rowan westchnął spazmatycznie i odsunął się. Oczy świeciły mu dziwnym blaskiem. Widać było, że walczy ze sobą; po chwili, jakby właśnie skończył ją oprowadzać po mieście, powrócił do właściwego mu chłodnego dystansu.- Czas już wracać - powiedział głosem, którego nie opuściły jeszcze uczucia.

Karin podniosła się, z trudem utrzymując równowagę. Dobry Boże! Cóż znowu się stało? Przecież to on wszystko zaczął, a teraz zostawiał ją pustą, rozbity. Czyżby nagle przypomniał sobie przysięgę, żeby nie mieszać pracy z przyjemnością?

Zimne, nocne powietrze uderzyło ją w twarz. Skóra wychłodziła się, oddech uspokoił. Dość miała jego zmiennych nastrojów. Wpierw ustanawiał zasady, a po chwili wszystkie je łamał! Wezbrały w niej łzy żalu. A niech to. Jeśli tego pragnął, potrafi być równie zmienna jak on.

Potrząsnęła głową i nie oglądając się, ruszyła szybko w stronę pubu. Pokaże mu, na co ją stać.

Wrócili do bazy i Rowan zaparkował samochód pod osikami srebrzącymi się w świetle księżyca. Włosy opadały mu w nieładzie, zasłaniając częściowo twarz. Wydawał się zupełnie opanowany, ale kiedy odwrócił się, żeby wysiąść, Karin dostrzegła jego zaciśnięte szczęki.

Coś w niej drgnęło. Wyskoczyła z zatłoczonego range rovera. Jeśli pośpieszy się, uniknie spotkania i szybko znajdzie się w łóżku.

- Dobranoc, chłopcy. Dzięki za przejażdżkę. - Szybkim krokiem skierowała się w stronę przyczepy.

- Karin - rozbrzmiał przy niej spokojny już głos Rowana, kiedy wstępowała na schodek. - Chcę z tobą porozmawiać.

Spojrzała na niego z obawą.

- W środku. - Otworzył drzwi i wszedł za nią. Stała sztywno wyprostowana i patrzyła mu prosto

w oczy.

- Słucham.

Zmarszczył brwi. Powiódł wzrokiem po jej obcisłych spodniach, po piersiach rysujących się pod kremowym swetrem. Zatrzymał się na jej twarzy. Drgnęła.

- Zdawało mi się, że wyraziłem się jasno ubiegłej nocy.

- Na jaki temat? - W jej głosie brzmiało napięcie.

- Żadnego zbliżania się. Trudno się chyba jaśniej wyrazić.

- Rowan, na rany boskie. To ty się „zbliżasz”, jeśli tak to określasz.

Twarz mu spochmurniała, pokój wydawał się chłodniejszy.

- Tak? A więc zechciej mi wybaczyć. Mam nadzieję, że więcej na to nie pozwolisz.

- Ja! - zaatakowała go Karin. - To przecież ty pocałowałeś...

Urwała raptownie. Mój Boże, przez cały ten czas próbowała zapomnieć o uczuciach, jakie wzbudził w niej ten pocałunek. On też na pewno nie mógł zapomnieć.

- Ja to co innego - powiedział Rowan, przejeżdżając wzrokiem wzdłuż ustawionych w rzędzie słoiczków z kremami.

- Co innego? W jakim sensie?

- Ja nie pozwalam sobie na uczuciowe zaangażowanie. Zignorowała jego niepewny głos, głodny wyraz oczu.

- Chcesz powiedzieć, że twoje pocałunki nie mają znaczenia, bo ty się nie angażujesz, natomiast ze mną jest coś nie w porządku, jeśli na nie reaguję?

Nagle przypomniała sobie, co powiedział o nim Thorny. Lubi sobie popatrzeć na kobiety, ale nie chce się wiązać. Jeżeli Rowan Marsden wyobraża sobie, że może bawić się z nią w kotka i myszkę, to się myli. Pomyliły mu się filmy. Zaraz mu pokaże, w co ona się bawi.

Spojrzała mu w twarz, trzymając zaciśnięte ręce po bokach.

- Jestem wystarczająco duża, żeby decydować... - Urwała, bo zdała sobie nagłe sprawę, że znalazła się ślepym zaułku. Milczała, niezdolna do myślenia, wypełniona złością.

Rowan postąpił krok do przodu, wyciągnął rękę. Ujął ją za podbródek, by nie mogła uniknąć jego mrocznego spojrzenia.

- Decydować o czym? - zapytał jedwabistym głosem. - Szukasz kochanka? - W oczach błyskała mu irytacja i coś jeszcze... jakby drapieźność. Górował nad nią niczym myśliwy czatujący na ofiarę. - Mogę nim zostać. Dopóki godzisz się na przestrzeganie podstawowych zasad, żadnego wiązania się.

Zabrakło jej tchu, cofnęła się i potknęła.

- Ty?! Myślisz, że jesteś taki... - Przerwała, cała się trzęsąc, mogła dalej mówić tylko ochryplym szeptem. - Prędeż mi kaktus na dłoni wyrośnie, nim o tobie pomyślę! Proszę wyjść z mojego pokoju!

Głęboki, gardłowy śmiech rozniósł się w powietrzu i Rowan odwrócił się od niej, zmierzając w kierunku środkowych drzwi.

- Zobaczymy, Karin. Możesz jeszcze zmienić zdanie. - Wszedł do łazienki.

Drzwi zasunęły się z łoskotem i przytłumiły jego śmiech.

Ciągle się jeszcze trzęsła, kiedy w chwilę później usłyszała szum prysznica. Arogancja tego faceta przekraczała wszelkie granice! W piętnaście sekund zmienił ją, profesjonalistkę, specjalistkę, w samiec szukającą miłości. „Jestem dla niego tylko ciałem, a nie osobą”, wymamrotała, wyciągając z szuflady nocną koszulę i rzuciła ją na łóżko. Wszystko sprowadzało się do seksu. Spółkujących ciał. Żadnego zaangażowania. Nie miał prawa mówić do niej w ten sposób. Kto mógłby przypuścić, że angielski dżentelmen może być aż tak nieokrzesany?

Przymknęła oczy. Złość kryła jednak coś innego. Wiedziała, że nigdy, nigdy nie doświadczyła takiego pocałunku jak ten. Nawet kolana tęskniły za nim. A co się napraw-dę działo z Rowanem? Czy było możliwe, że nic do niej nie czuł poza zwykłą chęcią zaspokojenia?

Ściągnęła sweter, złożyła go na łóżku, potem rozpięła spodnie. Ześlizgnęły się wzdłuż nóg. Pochyliła się, zebrała je, powiesiła na wieszaku. Uderzyła ją nowa myśl. Może Rowan nie żywi niechęci do kobiet. Do niej. Być może boi się tylko „lubić” kobietę.

Cóż, ona z całą pewnością jakoś sobie poradzi. Będzie się trzymać z daleka od niego. A przynajmniej na tyle, na ile jest to możliwe. Praca jest ważniejsza niż cokolwiek innego.

Szum wody ustał. Przyczepa zadrzała, kiedy wyszedł spod prysznica i stanął na podłodze.

Karin wciągnęła koszulę przez głowę. Podjęła decyzję. Skupić się na pracy było prawie niemożliwe, jeśli miało się pod bokiem nagiego, supermęskiego Rowana Marsdena. Ale wytrzyma. Potrafi być panną z zasadami, skoro wymaga tego sytuacja.

Zgasiła światło.

Rowan zakręcił kurek i stał przez kilka chwil bez ruchu, czekając, aż ocieknie woda. Potem owinał puchaty biały ręcznik wokół bioder i przesunął się na matę. Co u diabła się z nim dzieje? Pragnął Karin Williams, a to stało w sprzeczności ze wszystkim, co sobie przysięgał. Kiedyś ufał kobietom, wierzył w szczęśliwe życie we dwoje. Ale zdrada Klaudii położyła kres jego naiwności. Cierpienie, jakiego mu przysporzyła, zmieniło wszystko. Już nigdy, przenigdy nie zwiąże się z żadną kobietą.

Wyszorował zęby, próbując nie myśleć o Karin - o jedwabistych, rudo połyskujących włosach i miękkich, zapraszających wargach. Do diabła, równie dobrze mógłby próbować nie oddychać. Nie ma co zaprzeczać uczuciu, które nim zawładnęło. Ten pocałunek wstrząsnął nim równie mocno jak nią. A bynajmniej tego nie chciał.

Odwinął ręcznik, startł wilgoć z lustra i odrzucił go nakosz. Założył niebieski szlafrok i przeszedł do swego pokoju, zasuważąc za sobą drzwi. Zbyt długo pozostawał bez kobiety. Może powinien pojechać na weekend do Blackpool. Pełno tam takich, które zadowolą się kolacją i paroma drinkami. Kilka pocałunków i żadnego zaangażowania. Uderzył pięścią w biurko. Wyprawa do Blackpool niczego nie załatwi. Tylko Karin, żywa, inteligentna i pełna intuicji, może mu pomóc. Ale prędzej diabli go wezmą, nim jej na to pozwoli. Nauczył się już, czym to się kończy.

Wczesnym niedzielnym rankiem Karin siedziała przed deską kreślarską i notowała coś w zeszycie. Ziewnęła i sięgnęła po kubek z kawą. Była tu już skoro świt i bolały ją ramiona. Ale wstępny projekt już istnieje. Rowan powinien być zadowolony. Westchnęła, wróciła do pracy.

Drzwi przyczepy otworzyły się, w progu stanął Rowan. Przestraszona Karin zamknęła gwałtownym ruchem zeszyt. Kubek przewrócił się, a kawa się wylała na rysunek. „Do licha!” wymamrotała Karin. Jedną ręką sięgnęła po stojące na biurku pudełko z papierowymi chusteczkami, drugą uniosła róg welinu, by płyn nie rozlał się dalej.

- Pozwól. - Rowan wcisnął jej do ręki kilka chusteczek.
- Dziękuję. - Ostrożnie starła wszystkie ślady kawy. Spojrzał przez jej ramię na rysunek. - Chciałaś się ze mną zobaczyć? - Mówił obojętnym tonem, nie odrywał oczu od kreślarskiej deski.

- Tak. - Obróciła się na stolku, spojrzała na niego. -Przyszło mi do głowy...
- Hm - przerwał jej. - Nie widzę tu podpór drugiego rzędu.
- Nie potrzebujemy ich. Popatrz tutaj - wskazała na górny róg rysunku - przewidziałam uniwersalną podporę dla każdego pionowego dźwigania i dodałam poziome usztywnienie dla długich elementów.

- Ja bym to zrobił inaczej. Zesztywniała.
- Ale to nie ty jesteś projektantem tej konstrukcji, tylko ja. I wiem, co robię. Masz tu wyliczenie wszystkich zmiennych. - Stuknęła ołówkiem w arkusz z cyframi. - Niczego nie brakuje.

Odchyliła się na stolku, podczas gdy on przebiegał doświadczonego okiem rysunek. Potem wziął do ręki arkusz i zagłębił się w kolumny cyfr. Patrzyła ukradkiem na prostą linię ciemnych brwi, na wgłębienie na podbródku, na cień zarostu. Był zdecydowanie przystojny, ale zamknięty w sobie, zimny. Jeśli nie liczyć ostatniej nocy.

Co za szkoda, pomyślała; przyglądała się palcom, które dotykały po kolei kolumn cyfr. Były gładkie i opalone, o równo przyciętych paznokciach. Czy te palce z równą czułością dotykały kobiet co kartki? Równie czule jak jej? Przejechała koniuszkiem języka po dolnej wardze. Czy ten tajemniczy, doprowadzający ją do obłędu mężczyzna nigdy nie tracił panowania nad sobą?

Raz jeszcze przyjrzał się rysunkowi, potem wręczył jej arkusz z obliczeniami,
- Zgadzam się - powiedział tonem, w którym krył się szacunek. - Twój pomysł jest zupełnie nietypowy, ale ma sens.

- Dziękuję. Ale chciałam z tobą porozmawiać o czym innym, nie o projekcie. - Wciągnęła głęboko powietrze. -Postanowiłam przenieść się do miasteczka.

Odwrócił się do niej gwałtownie, ściągając brwi. Poczula, jak coś ścisną ją w środku; prawie nie mogła oddychać.

- Postanowiłaś? - powtórzył. Wbił się w nią szarymi oczyma. - A cóż to spowodowało tę obłąkańczą decyzję?

Wciągnęła w płuca haust powietrza.

- Przenieść się do Maggie. Są tam wolne pokoje. A poza tym potrzebuję...
- Jesteś mało przewidująca. Nie mam wolnego samochodu i nie wyobrażasz sobie chyba, że ktoś cię będziewozić tam i z powrotem przez góry, by zaspokoić twoje zachcianki.

- To nie są zachcianki - powiedziała stanowczym głosem. - Będę robić tyle co inni. Jeśli potrzeba, będę siedzieć do późna.

- Żebyś wiedziała! - wybuchnął, waląc pięścią w otwartą dłoń. - Tak jak wszyscy. Przez całą noc, jeśli tego zażadam, i na pewno nieraz tak będzie.

- Nie masz prawa mną rządzić.

- Właśnie że mam - warknął. - To ja odpowiadam za projekt.

Karin aż się zatrzęsała. Co za tyran, niech go diabli! Opanowała się z wysiłkiem. Klótnia z nim nie miała sensu - i tak nie zmieni zdania. Każdy wybuch z jej strony wzmacniał tylko opór Rowana i mógł zaszkodzić relacjom Leonarda z Pickeringiem. Odwróciła się. Po raz tysięczny pożałowała swojej decyzji przyjazdu do Anglii.

Rowan oparł nogę o wysuniętą szufladę biurka i wpatrzył się w nią. Oczy Karin płonęły, dolna warga rozciągnęła się w cienką linię. W powietrzu wisiała awantura. A jednak, ku jego zdumieniu, nie atakowała go. Wiedziała, że i tak nie zmieni zdania. To mu się podobało. Karin Williams potrafiła się złościć, ale była też i osobą wrażliwą.

- Karin - powiedział z udawanym spokojem - nie mogę pozwolić ci na

opuszczenie bazy. Konstrukcja musi być skończona, zanim nadejdą jesienne wiatry. - Znów pochylił się nad rysunkiem. - Jeśli nie odpowiadają ci takie warunki pracy, to po co o nią w ogóle wystąpiłaś?

- O nic nie występowałam - mruknęła. - Zlecono mi to zadanie. Przewidziany był ktoś inny.

Obrócił się ku niej.

- Ach tak. Geoff Ellis. Dlaczego więc nie on?

- Ma umierającą żonę. Nie mógł przyjechać.

- To jasne. A ty? Nikogo nie zostawiłaś?

- Moją matkę - powiedziała, wiedząc, że nie tego oczekuje. - Ale ona nie potrzebuje mnie przez cały czas. Daje sobie radę.

Wziął głęboki oddech i zadał jej pytanie, które dręczyło go od momentu, kiedy przyjechała do bazy.

- A co z twoim chłopakiem? Nic nie miał przeciwko temu?

Zawahała się.

- Moje życie osobiste nie ma z tym nic wspólnego. Wziął w palce ołówek i przyjrzał mu się uważnie.

- Twój pan Dalkey ma o tobie jak najlepsze mniemanie. Twarz Karin rozjaśniła się.

- Rozmawiałaś z Leonardem? Kiedy?

- Dziś rano. Prosił, żeby ci powtórzyć, że wysłał specyfikacje, o które prosiłaś.

- Świetnie. Nie będę musiała ich szukać tutaj.

- Wysła ci też kaptcie. - Znów na nią zerknął. - Czy Dalkey jest twoim bliskim przyjacielem?

Spojrzała na niego z osłupieniem.

- Też pomysł. Leonard Dalkey mógłby być moim ojcem. Jeśli już musisz wiedzieć, to interesuje go moja matka, a nie ja.

- Jest Anglikiem. - Rowan wypowiedział to tonem rzeczowym, sam zdumiony, że poczuł ulgę. Jakie u licha miało to znaczenie, czy miała kogoś, czy nie?

- Leonard wyjechał z Yorkshire trzydzieści lat temu... w latach sześćdziesiątych...

Jej słowa gasły, w miarę jak nawiedzały go nowe myśli. Czy jest możliwe, żeby kobieta o wyglądzie Karin nie była z kimś związana? Była piękna i to, musiał przyznać, nie tylko zewnętrznie. Kiedy jej nie dręczył, odpowiadała na jego pytania ze świeżością, humorem i otwartością, o jakie jej nie posądzał. Była przy tym nad podziw bystra i chciała się podobać. Czy będzie chciała się podobać w intymnej sytuacji? Czy wyrazi swą przyjemność równie wprost, jak wyrażała swe opinie? Wrócił do rzeczywistości. O czym u diabła rozmawiali? Przerwał strumień myśli, skupił się na jej słowach.

- ...razem z falą projektantów lotniczych - zakończyła.

- Ach tak, mówisz o zespole de Havillanda. Szkoda, że wyjechali. To byli najlepsi inżynierowie w tym kraju. - Myśli znów mu się rozbiegły, odłożył ołówek na miejsce i podszedł do drzwi. Zatrzymał się. - Jutro jadę do Yorku. Jeżeli uporasz się z pracą, może chciałabyś wpaść ze mną do centrali? Możesz przejrzeć listę wykonawców robót, a potem kupić, co ci potrzeba.

Karin spojrzała ze zdumieniem na Rowana, zaskoczona jego nagle łagodnym tonem. Żadnych poufałości! A teraz zaprasza ją, aby pojechała z nim do Yorku. Może głupio mu było, że nie zgodził się na jej przeprowadzkę do miasteczka.

- Prawdę mówiąc, potrzebuję kupić szampon.

Po co właściwie mu to mówię? pomyślała z irytacją. Mogę wszystko znaleźć w miasteczku. Z drugiej strony, nieźle byłoby się wyrwać na parę godzin. Ale w jego to-

warzystwie? Do diabła! Przecież nie powstrzyma mnie przed kupnem szamponu. Zerknęła do zeszytu.

- W południe powinnam skończyć.

- Świetnie. Wyjedziemy jutro po śniadaniu. Jeszcze jedno, Karin - w jego głosie pojawiła się nieoczekiwana nutka ciepła - zazwyczaj nie pracujemy sześćdziesięciu godzin tygodniowo. Kiedy budowa już ruszy, będziesz miała trochę wolnego czasu.

- Przepraszam?

- Wolnego czasu. Pracujesz dniami i nocami. Nawet najbardziej sumienny inżynier go potrzebuje.

- No cóż... Chciałabym zwiedzić okolicę, zanim stąd wyjadę.

- W porządku. Zatem do jutra. - Zamknął za sobą drzwi. Wolny czas, powiedział. Westchnęła, przypominając

sobie plany, jakie czyniła jeszcze w Kalifornii. Przygniatający ją ciężar rozwiął się jak dym. Tyle jeszcze rzeczymozna zrobić. Zacznie od miasteczka, potem pojedzie na wybrzeże. Zwiedzi starorzmskie ruiny, pochodzi po wzgórzach przy księżycu, spróbuje ściągnąć matkę. Razem pozwiedzają sobie zamki i opactwa w Yorkshire. Uśmiechnęła się. Atena będzie mogła porobić zdjęcia do swoich malunków.

Tej nocy Karin śniły się szare oczy, muskularne ciało i kasztanowe włosy. Zahukał puchacz i obudziła się w ciemnościach, przepelniona tęsknotą za czymś, czego nie potrafiła określić.

Rankiem nie była już pewna, czy wolny czas był aż tak dobrym pomysłem.

7

Choć w powietrzu wisiał deszcz, Rowan opuścił dach jaguara, nim rankiem następnego dnia ruszyli w drogę.

- Lubię żyć niebezpiecznie - powiedział z wyzwaniem. Karin spojrzała na niego z ukosa, wyciągnęła z torby

szalik i zawiązała go luźno wokół kołnierza kurtki. Usadowiła się na wybitym skórą siedzeniu, czekając, aż kierowca będzie gotów do jazdy.

W miarę jak nabierali szybkości, wiatr coraz mocniej chłostał jej włosy.

- Mam nadzieję, że się nie boisz? - zawołał Rowan, przekrzykując wizm opon jaguara na ostrym zakręcie.

- Pewnie że nie! - odrzyknęła. Kłamiesz, pomyślała. Tak naprawdę trzęsła się ze strachu, ale nigdy by się przed nim do tego nie przyznała. Na twarzy Rowana malowało się upojenie szybkością i zadowolenie z panowania nad szybkim wozem.

Kiedyś poznała podobne uczucie. Lata temu, lata, które zdawały się wiecznością, samochód wysokiej klasy obudził w niej wielkie emocje - romans ten skończył się równie nagle co tragicznie w dniu, w którym zginął jej ojciec. W następnym tygodniu sprzedała jensena-healey'a, którego dostała od niego na urodziny i przesiadła się na poczciwe volvo. Teraz, siedząc obok Rowana, czuła, jak zalewają ją na przemian przerażenie i podniecenie, podczas gdy potężna maszyna mknęła w kierunku Yorku.

Miasto było na razie punkcikiem na horyzoncie, po drodze do Penrith słupy telefoniczne rozmywały się, nim zdążyły się wyodrębnić. Karin zsunęła się w dół i chwyciła mocno klamki, czując, jak zimny wiatr wpływa przez kołnierza kurtki.

Rowan przedstawił Karin jednemu z urzędników u Pic-keringa, małemu

zabieganemu człowieczkowi, który wyciągnął dla niej dokumenty, o które prosiła. Usiadła przy długim stole i zaczęła je przeglądać w poszukiwaniu interesujących ją danych. Zrobiła fotokopie, schowała je do teczki; w tym czasie Rowan poszedł po listę wykonawców robót. Wybrali ostatecznie trzy firmy, które zaproponowała Karin. Była zdumiona, że Rowan zgodził się na wszystkie jej propozycje.

- Czy jesteś pewna, że mają wystarczające doświadczenie? - Rowan przyglądał się liście ofert, z której spisywał ostatnie z trzech przedsiębiorstw. - Jeśli chcesz, mogę jeszcze poszukać gdzie indziej.

Spojrzała na niego.

- Dlaczego mnie o to pytasz? Myślałam, że to do ciebie należy ostatnie słowo.

- Ciekaw jestem po prostu, czym się kierujesz, kiedy stajesz przed wyborem - odpowiedział wymijająco.

- Mam wrażenie, że trudno ci będzie zarzucić coś tym firmom, które wybrałam, nawet jeśli przyjrzesz im się z bliska.

- Widzę, że wiesz, o czym mówisz - powiedział zgodliwym tonem, a ona zaczęła się zastanawiać, dlaczego nagle zrobił się tak miły. Nałożył nakrętkę na pióro i wstał.

Zebrała swoje rzeczy i wyszła za nim. Pojechali dalej. Kilka mil za Yorkiem Rowan obrócił się ku niej.

- Już po drugiej. Jesteś pewnie głodna.

- Prawdę mówiąc... tak.

- Wkrótce dojedziemy do Knaresborough. To akurat pora herbaty u mnie w domu.

- Ale ja nie chciałabym sprawić kłopotu twojej mamie - zająknęła się. Co nagle się stało, że chce ją przedstawić własnej matce? Karin powiodła dłońmi po swych zielonych wełnianych spodniach. Nie były zbyt modne, nosiła je jeszcze na studiach. Ale były ciepłe i dobrze na niej leżały. Mógłby ją jednak uprzedzić przed wyjazdem. - Czy jesteś pewien? - Spojrzała na niego. - Może nie lubi nieoczekiwanych gości.

- Nie ma obawy. A poza tym i tak muszę się gdzieś zatrzymać. Ten cholerny gaźnik zaczyna wysiadać, a w domu mam narzędzia. To nie potrwa długo.

Karin westchnęła. Kłopoty z samochodem. Powinna była się tego spodziewać. Inaczej na pewno nie chciałaby przedstawiać jej swojej matce. Poczula się dziwnie rozczarowana.

- Sam naprawiasz samochód? - Rzuciła okiem na jego starannie utrzymane paznokcie.

Uśmiech wykrzywił mu usta.

- Oczywiście, że tak.

- Myślałam, że majsterkowanie przy jaguarze to wyższa sztuka.

Wzruszył ramionami.

- Owszem, są bardziej skomplikowane niż większość samochodów. Ale tego sam przerobiłem, więc wiem, jak go naprawiać.

- To starszy model, prawda? Ale doskonale zachowany - dodała, rozglądając się po wnętrzu samochodu. Drewno świeciło ciemnym orzechem, wszystkie gałki błyszcząły jak nowe.

- Ostatnia maszyna typu E wyjechała z fabryki ponad dziewiętnaście lat temu - powiedział z nieukrywaną dumą.

Przycisnął gaz. Wóz zawahał się, po czym ruszył ostro pod górę i już za chwilę był na szczycie wzniesienia. Przed nimi roztaczał się piękny widok; w zamglonej dali widać było ruiny zamku. Łuk wiaduktu spinał błyszczącą jak rtęć rzekę, po której sunęły dostojnie niebieskie i czerwone łódki. - Niezwykłe! - wykrzyknęła.

- To prawda, choć niby jestem do tego przyzwyczajony. Można trochę

zobojętnieć na piękno, kiedy obcuje się z nim na co dzień.

Zobojętnieć? Czy tak właśnie reagował na kobiety? Czy nużył się nimi i szedł dalej? A może... Karin westchnęła i znów zapatrzyła się w krajobraz. Cóż to miało za znaczenie. Nie było dla niej miejsca w jego życiu ani odwrotnie.

- Moja matka byłaby urzeczona - zauważyła w rozmarzeniu. Rowan podniósł pytająco brwi, a ona ciągnęła dalej. - Maluje. Głównie okładki do książek. Na ogół o tematyce historycznej. Bez przerwy szuka zdjęć zamków i starych dworców.

- Nie wiem, czy zainteresowałby ją dom moich rodziców. Choć niby jest w nim wszystko co potrzeba, nie wyłączając - podniósł głos imitując Vincenta Price'a - mistycznej głębi.

Skręcił w wyżwirowaną drogę i przejechał przez żelazną, kutą bramę zamocowaną między dwoma wielkimi granitowymi kolumnami. Jechali aleją wysadzaną bukami, których szarozielone pnie niknęły pod zielonymi kopułami listowia. U końca podjazdu stał stylowy domek, którego wieżyczki i szczyty dachów niknęły wśród drzew.

Karin otworzyła z wrażenia usta.

- To tutaj mieszkasz?

- Moja rodzina - rzucił na nią okiem i zachichotał - siedzi tu od dobrych sześciuset lat. No, nie w tym domu. On jest względnie nowy, zbudowano go w tysiąc osiemset dwudziestym pierwszym roku. Ale ziemia należy do mojej rodziny od czternastego wieku. Jest tu nawet kaplica. Jakimś cudem oparła się zakusom Henryka VIII.

Zwolnił przed samym domem.

- Zobacz, matka idzie. - Wskazał ręką w kierunku nienagannie przystrzyżonych trawników.

Szczupła siwowłosa kobieta w tweedowej spódnicy, je-dwabnej bluzce i miękkich pantoflach prowadziła na smyczy dwa teriery o jakieś czterdzieści metrów od nich. Rowan zajechał przed samo wejście, zahamował i wysiadł.

Kobieta podniosła głowę na dźwięk silnika i zamachała ręką. Rwące się na smyczach psy rozszczękały się na powitanie. Pobiegły do samochodu, ciągnąc za sobą matkę Rowana.

- Rowan! - zawołała z rozjaśnioną twarzą. - Jak miło cię znów zobaczyć.

Spostrzegła Karin i zatrzymała się. Na radosnej przed chwilą twarzy pojawiła się niepewność. Spojrzała pytającym wzrokiem na Rowana.

- Mamo - zaczął ostrożnie - to jest Karin Williams. Pracuje dla mnie. - Obszedł dookoła wóz i otworzył drzwiczki od strony Karin.

Karin stanęła oko w oko ze starszą panią. Wyprostowała się i zmusiła do szerokiego uśmiechu.

- Jak się pani miewa, pani Marsden.

- Ach, pani jest Amerykanką! I jest pani znacznie wyższa niż Klaudia. Ale ja... - urwała gwałtownie, zdając sobie sprawę z popełnionej gafy, zmarszczyła brwi, a po chwili uśmiechnęła się z lekka. - Miło mi panią poznać - powiedziała uprzejmie i spojrzała z niepokojem na syna. - Czy zostanieie na herbatę?

- Pewnie że tak. Może pokażesz Karin dom. Ja przez ten czas wprowadzę wóz do garażu.

Pani Marsden skinęła głową i wskazała ręką granitowe schody. Wielki brylant błysnął na jej palcu.

- Proszę wejść, panno Williams. Ja tylko zadzwonię na Mary.

Karin podążyła za panią Marsden do salonu o brzo-skwiniowo-seledynowej tonacji. W kominku płonął ogień; kunsztowny złoty zegar wybijał akurat godzinę. Wysoki białowłosy mężczyzna z gęstym wąsem, odziany w tweedową marynarkę,

siedział w fotelu i czytał.- Arthurze - powiedziała pani Marsden. - To jest panna Williams. Pracuje w bazie.

Arthur Williams wskazał jej ręką miejsce na kanapie.

- Siadaj, dziewczyno. - Oszacował ją wzrokiem, mruknął coś z zadowoleniem, podczas gdy Karin sadowiła się wśród poduszek. - Pracujesz więc dla mojego syna. Powiedz mi, co myślisz o tym całym przedsięwzięciu?

Karin poczuła znany jej niepokój. Wiedziała już, po kim Rowan odziedziczył brutalną szczerłość. Spod nawisu białych brwi patrzyły na nią bez cienia żenady bladoniebieskie oczy starego Marsdena.

- Czy Rowan cię nie męczy?

Najpierw matka, a teraz ojciec! Karin zawahała się.

- Czy nie zmusza cię do pracy ponad siły? - zapytał.

- N-nie - zająknęła się. - Lubię wyzwania.

- Radzę ci, dziewczyno, nie pozwól, by cię zamęczył. Potrafi być okropnie wymagający. Czasami bywa nieznośnie uparty.

- Zupełnie jak jego ojciec - zauważyła pani Marsden.

- Hm. - Odwrócił się do żony, która zasiadła naprzeciwko. - Gdzie go znowu poniosło?

- Tu jestem, ojcze. - Rowan wszedł do salonu, przytrzymując drzwi przed służącą. - Ja się tym zajmę, Mary. - Postawił tacę na stoliku na kółkach i popchnął go w kierunku matki.

- Nie byłoby źle, gdyby każdy wykonywał pracę, za jaką mu płacą - burknął ojciec. - Gdzieś ty się podziwiał?

Rowan usiadł na kanapie obok Karin.

- Byłem w garażu. Regulowałem gaźnik.

- Znów ten przeklęty samochód! Kiedy wreszcie sprawisz sobie normalny wóz, a nie jakiś antyk, przy którym musisz majsterkować dniami i nocami?

Rowan uśmiechnął się z lekka i nachylił do Karin.

- Dla ojca właściwy wóz to solidny daimler... choć sam takiego nie prowadzi.- Rowan, nie denerwuj ojca - upomniała go pani Marsden, choć w jej oczach zaświeciły wesołe ogniki. Podała każdemu filiżankę z herbatą i podsunęła talerz z ciasteczkami.

Karin z trudnością powstrzymała uśmiech.

Starszy pan Marsden prychnął, biorąc z talerza ciastko.

- Prowadzić? A niby dlaczego miałbym prowadzić? Po to w końcu zatrudniam Cassidy'ego. - Wychylił się do przodu. - Niech mi pani powie, panno Williams, co pani myśli o synu, który ma wszystko w życiu, a jednak upiera się, żeby pracować w jakichś dzikich ostępach?

- Arthurze! - Pani Marsden położyła palec na ustach. Karin zawahała się. Nie lubiła, kiedy brano ją na spytki, ale jeszcze mniej lubiła zakłamanie.

- Dla większości ludzi - zaczęła ostrożnie - życie o jakim pan mówi, przekraczałoby najśmielsze oczekiwania. Ale inni, panie Marsden, i ja się do nich zaliczam, muszą stworzyć coś własnymi rękoma, by poczuć pełnię. Sens istnienia.

- No, no! To się nazywa mówić bez ogródek. Przez kilka chwil Karin słyszała tylko bicie własnego serca.

- Podoba mi się to u kobiety - zagrzmiał pan Marsden. Spojrzał z zadowoleniem na syna. - Rowan, widzę, że znalazłeś sobie kobietę, która potrafi odplacić pięknym za nadobne.

Znów zapadła cisza. Rowan udał, że nie usłyszał słów ojca. Przerzucił parę stron tygodnika *Country Life* leżącego na stoliku, podczas gdy Karin skupiła się na swej herbacie.

- Panno Williams - spytała pani Marsden - czy można wiedzieć, gdzie pani się zatrzymała?

Serce Karin podskoczyło. - **Ja...**

- Karin mieszka... - wtrącił Rowan, wpatrując się w Karin - bardzo blisko mnie.

Karin omal nie zakrztusiła się herbatą.- Tak naprawdę - pospieszyła z wyjaśnieniem - nie za blisko.

- Dość blisko jednak - powiedział Rowan jedwabistym głosem.

Pani Marsden podniosła lekko brwi i przeniosła wzrok z Rowana na Karin.

Karin przelknęła.

- Miałam na myśli...

- Mamo, Karin chciała powiedzieć, że spi...

- Jak suseł - zaryzykowała Karin.

- Po drugiej stronie...

- Obozowiska. - Aż się skurczyła, patrząc na minę Rowana.

- No to w porządku - mruknęła z wyraźną ulgą pani Marsden.

Przez następne pół godziny toczyła się przyjacielska rozmowa, w której państwo Marsden okazywali szczerze zainteresowanie pracą Karin i jej życiem w Kalifornii. Karin rozluźniła się, podobały jej się ich pytania. W końcu Rowan podniósł się z kanapy.

- Przykro mi, mamo, ale musimy już jechać, jeżeli chcemy zdążyć przed nocą.

Marsdenowie odprowadzili ich do samochodu. Burzowe chmury zebrały się w międzyczasie na niebie i Karin zauważyła, że Rowan podniósł dach.

Pani Marsden odciągnęła ją na bok.

- Proszę do nas znów przyjechać - powiedziała z naciskiem.

- Zrobię to. Jeśli tylko będę w pobliżu.

W samochodzie Rowan obrócił się ku niej.

- Przykro mi, że wystawiłem cię na taką próbę. Mój ojciec potrafi być dość niedelikatny.

Obwidła wzrokiem jego profil, spokojny w późno-południowym sierpniowym świetle.

- Po prostu interesuje się tobą jako ojciec. To o tobiemówił, prawda? To ty jesteś tym, który nie chce skorzystać z życia ofiarowywanego mu na tacy?

- Tak brzmi oskarżenie. - Rowan skinął głową.

- Dlaczego?

Dojechał do skrzyżowania i zwolnił. Sięgnął do pudełka z kasetami, wyciągnął jedną i wsunął ją w szczelinę magnetofonu.

- Sama widziałaś. Co oni naprawdę robią? Ich życie to jedno przyjęcie za drugim, jedno polowanie za drugim. To zamożna szlachta grająca w sztuce, która nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. - Uśmiechnął się z przymusem. - Mój ojciec nigdy nie musiał zarabiać na życie. Odziedziczył majątek po swoim ojcu, tak jak jego ojciec przed nim. Żaden z nich nie przepracował w życiu nawet jednego dnia.

Zawahał się. Przez moment patrzył na nią uważnie.

- To jest problem tego kraju. Z jednej strony masz nierobów żyjących z zasiłków, którzy uważają, że rząd ma obowiązek ich utrzymywać. Z drugiej strony masz bogaczy, którzy nie muszą pracować i szukają wyłącznie przyjemności, nie robiąc dla dobra kraju. - Mówił półgłosem, w którym wyczuwało się twardy ton; twarz miał zaciętą. - Chcesz się dowiedzieć, dlaczego wyjechałem? Nie chcę skorzystać z takiego życia.

Karin poczuła, że się z nim zgadza. Byli oboje indywidualistami pragnącymi - a może raczej zmuszonymi - szukać spełnienia. Podjęcie takiej decyzji oznaczało często wstąpienie na samotną ścieżkę.

Zapadła cisza, podczas której wpatrywała się w drogę i zastanawiała nad jego słowami. W końcu Rowan odezwał się.

- Nie zrozum mnie źle. Kocham ich oboje, kocham naszą posiadłość, ale po prostu nie chcę być biernym obserwatorem w życiu. - Zajrzał Karin w oczy, wyciągnął rękę i odgarnął kosmyk włosów z jej czoła. Palce mężczyzny musnęły delikatnie, prawie intymnie jej policzek. Zastygła. Ten gest nie pasował do niego, był taki czuły. Wytrąciło ją to z równowagi. Ale wystarczyło rzucić okiem na Rowana, by zauważyć, że i on był poruszony. Puścił sprzęgło i jaguar wślizgnął się w sznur samochodów. Karin wciągnęła głęboko powietrze, skrzyżowała ramiona i spojrzała na modrzewie migające za szybą. Może popełniła błąd, godząc się na tę wycieczkę.

- Czy naprawdę myślałaś to, co powiedziałaś memu ojcu? - zapytał dziwnie miękkim głosem. - Czy nie chciałabyś żyć tak jak oni?

Karin przymknęła oczy, starając się sobie przypomnieć, po co przyjechała do Anglii, odpychając myśli o wysokim Angliku o czujnym spojrzeniu i niebezpiecznym uśmiechu.

- Nie. Czuję się sobą dzięki pracy.

- Tylko dzięki pracy?

Nie znajdowała odpowiedzi na to pytanie. Dotyczyło prywatnej sfery jej życia, czegoś, co dopiero niedawno odkryła.

Była dobrym inżynierem. Komplementy, jakie otrzymywała od Leonarda i współpracowników, nadawały sens jej istnieniu. Praca była dla niej wszystkim. Nawet Atena nie wiedziała, że zamęczała się w pracy, ponieważ tylko tam wszystko było wymierne, tylko tam oceniano ją według zasług. A poza tym czuła, że musi czymś wypełnić pustkę w życiu osobistym.

- Tak - odpowiedziała w końcu. - Tylko dzięki pracy. Uniósł niedowierzająco brwi.

Jechali dalej w milczeniu. Od czasu do czasu Karin spoglądała na jego prosty profil. W końcu zadała pytanie, które nie dawało jej spokoju od czasu odwiedzin.

- Kim jest Klaudia?

Rowan milczał przez dłuższą chwilę.

- Klaudia była moją żoną - powiedział w końcu neutralnym tonem. Wstrzymała oddech.

- Czy jestem do niej podobna? Upłynęła dłuższa chwila.

- Macie ze sobą wiele wspólnego.

- Nie wiedziałam... Czy ona nie żyje?

- Żyje.

- Rozwiedliście się?

Nie patrząc na nią odparł sztucznie obojętnym głosem.

- Jeśli już musisz wiedzieć, odeszła ode mnie, - Zadrżał mu mięsień szczęki. - Słuchaj. Nie mówmy o tym, dobrze? Nie mam na to ochoty. - Wcisnął gaz, wpatrzył się w drogę.

Karin siedziała w milczeniu, serce biło jej nierówno. Wiedziała już, że nie lubił pracować z kobietami. Ale zaczął darzyć ją szacunkiem, a jeśli nie ją, to przynajmniej jej pracę. To już powiedział. No i przypominała jego byłą żonę.

Przeczesała palcami włosy. Czy dalej kochał Klaudię? Czy dlatego właśnie...? To tłumaczyłoby, dlaczego czuł do niej pociąg, a także jego złość i chłód. I to, że od razu chciał się jej pozbyć. Karin rozluźniła napięte mięśnie pleców, oparła się wygodniej o wyściełane skórą siedzenie. Mój Boże, co za galimatias!

Ale czy tym można było wytłumaczyć wieczór, kiedy grali w strzałki w pubie? Albo jego pocałunek? Coś jej mówiło, że nie do końca o to chodziło.

Rowan zmienił kasetę i *Ognisty Ptak* Strawińskiego wypełnił przestrzeń między

nimi. Przymknęła oczy i spróbowała się skupić. Nie mogła wyjechać, póki budowa nie zostanie ukończona. Co powinna teraz zrobić?

Odwróciła się do okna, za którym pojawiło się stado owiec. Jeśli zdoła przetrzymać jeszcze parę tygodni, jej zadanie zostanie wykonane. Dotrzyma obietnicy złożonej Leonardowi, zabezpieczy przyszłość swoją i firmy. Dokończy pracę bez względu na to, w jakim stopniu jej obecność przeszkadza Rowanowi. Jego problemy z kobietami nie miały z tym nic wspólnego. Jej kłopoty z nim także nie powinny się liczyć. Karin wyprostowała się. Da sobie radę. Bez względu na to, co się jeszcze przydarzy. Wolałaby uwierzyć, że był jej obojętny, ale fala ciepła, jaka ją zalewała, gdy tylko o nim myślała, udowadniała, że tak nie jest. Jej galopujące serce też o tym świadczyło. W tej chwili. Albo kiedy jej dotykał.

No dobrze, nie był jej obojętny. Rowan Marsden był najbardziej uwodzicielskim mężczyzną, jakiego spotkała. Ale od tej pory będzie liczyć się tylko praca.

8

Z wysokości starej drewnianej platformy Karin wpatrywała się w świder ziemny, który wwierał się w granitową skorupę. Wciąż gorące słońce przebijało się przez chmurki zdobiące późnosierpniowe niebo i nie dawało wytchnąć spoconym robotnikom. Wkrótce rozniosło się po całym obozie rytmiczne sapanie koparki, które zagłuszyło nawoływania pracujących.

Cienka strużka potu spłynęła na policzek Karin spod żółtego plastikowego kasku ochronnego. Obtarła wilgoć rękawem flanelowej koszuli. Niedługo skończą i będzie mogła odpocząć. Bolały ją plecy i nogi. Marzyła o prysznicu.

Spojrzała na zegarek. Kiedy przyjadą ciężarówki z drewnem, wynajęta załoga będzie mogła zabrać się za przygotowanie gruntu pod dźwigary. Stoczyła ciężką walkę z Rowanem, nim ten zgodził się w końcu na użycie tubularnego systemu podtrzymującego. Poczula prawdziwą satysfakcję. Wcześniej już zdarzyło się jej zmagać z upartymi inżynierami, ale żaden z nich nie był tak zawzięty jak Rowan. Ale też i żaden nie miał w sobie tyle siły. Przeciwwstał się wszystkim jej argumentom; w końcu wycofał się i dał jej wolną rękę przy zamawianiu materiałów. Złościło ją to, że nawet w dziedzinie, na której się znała, automatycznie kwestionował jej zdanie, i to tylko dlatego, że była kobietą.

Od czasu ich ostatniej wyprawy do Yorku, jaka miała miejsce dwa tygodnie wcześniej, Rowan zachowywał się o wiele bardziej przyjaźnie. Trudno byłoby powiedzieć, że zmienił mu się charakter, ale zrobił się mniej władczy. Po staremu żartował ze swoimi chłopcami, ale wobec niej był uprzedzająco grzeczny. W dwóch przypadkach okazał jej nawet trochę ciepła. Raz wziął jej stronę podczas sprzeczki na techniczne tematy i wykazał się daleko posuniętym obiektywizmem. Może w końcu biło mu w piersi prawdziwe serce! Czy gdyby zdjąć z niego wierzchnie warstwy, odkryłoby się pod spodem miłego, ciepłego i troskliwego człowieka?

Człowieka, którego mogłaby kiedyś pokochać? Na Boga, nie byłoby to bezpieczne dla jej uporządkowanego życia. Może i lepiej, że przez większość czasu chował w ukryciu tę lepszą część.

Parokrotnie złapała Rowana na tym, że przygląda się jej z wyraźnym zainteresowaniem, jak patrzy na nią wzrokiem, w którym było coś więcej niż zwykła ciekawość. Czy interesowała go jej zawodowa sprawność? Czy porównywał ją z byłą

żoną? A może pod tą skorupą kryło się... uśpione pożądanie? Czymkolwiek to było, wprawiało ją w niepokój. Wolałaby, żeby nie myślał o niej jako kobiecie. Była inżynierem. Koniec, kropka.

Ona także, upominała siebie, wołała o nim nie myśleć jako o mężczyźnie z krwi i kości.

Maszyna przestała w końcu wgrzyzać się w ziemię i tylko monotonne brzęczenie prądnicy zakłócało ciszę. W tym samym momencie, kiedy pojawiła się na drodze wypełniona drewnem ciężarówka, Karin zebrała swoje papiery i zeszła z platformy.

Rowan i Thorny zabrali się za rozładowywanie przyczepy. Rowan podciągnął rękawy swetra, odsłaniając potężnie umięśnione przedramiona, równie brązowe jak rękawice z niewyprawionej skóry, które nałożył. Chwytał po dwie kłody na raz i układał je w równy stos, podczas gdy Karin wpatrywała się w jego szerokie ramiona i wąskie biodra. Kiedy wyprostował się i obrócił w jej stronę, Karin uciekła ze wzrokiem. Nie chciała, by zauważył, że mu się przygląda. Zdjął z głowy kask i otarł czoło wierzchem rękawicy; w oczach zapalały mu się błyski,

Rumieniąc się, nagryzmoła w pośpiechu swoje nazwisko w poprzek pokwitowania i oddała je kierowcy.

Rowan przysiadł się do niej w czasie lunchu.

- Wygląda na to, że w przyszłym tygodniu zaczną wylewać cement.

- Na to liczyłam - odpowiedziała między dwoma łykami. - Żeby tylko ze dwa dni nie padało. Będę mogła teraz trochę odsapnąć, zanim będą gotowi.

- Hm. - Potrząsnął przecząco głową. - Jutro wybieramy się na grań na przegląd techniczny anten. Trzeba zbadać ich stabilność, nim nadejdą jesienne burze i droga zrobi się nieprzejezdna. To długo nie potrwa. - Przerwał. - W pobliżu są ciekawe starorzemiejskie ruiny. Thorny mówił mi, że chciałaś je zwiedzić.

Karin zapatrzyła się w swój talerz.

- To prawda, ale nie powinieneś tracić czasu, żeby mi je pokazać.

Uśmiechnął się do niej dziwnym półuśmiechem.

- Zasłużysz sobie na tę wizytę. Dojść do anten nie jest łatwo. Wyruszamy po śniadaniu. - Odsunął się z krzesłem. - Poproszę Thorny'ego, żeby przygotował nam prowiant na drogę. I załóż coś odpowiedniego. - Przesunął powoli wzrokiem po jej kraciastej koszuli i drelichowych spodniach. - Tak jest w porządku. Weź tylko górskie buty. Trzeba trochę się wspinać.

Karin patrzyła, jak się oddalał. Nawet nie zapytał, czy ma ochotę z nim jechać, po prostu przyjął, że tak jest. Ale przynajmniej zachował się przyjaźnie. To już był postęp.

W miarę jak popołudnie zbliżało się do wieczora, czuła, że wbrew sobie coraz więcej myśli o zbliżającej się wyprawie.

Karin opadła na trawiastą łączkę na wprost Rowana.

- Wcale nie, przesadziłeś. To niezłe podejście. - Spojrzała w dół na wąską stromą ścieżkę, którą pieśli się przez ostatnią godzinę. - Jak często sprawdzacie anteny?

Rowan rzucił wzrokiem na białe tarcze sterczące z półki tuż poniżej.

- Raz do roku. Ale co miesiąc przeglądamy generatory, aby mieć pewność, że funkcjonują, zwłaszcza po zimie. - Podał jej kanapkę. - Nie mam pojęcia, co Thorny nam przyrządził, ale po takiej wspinaczce nie jestem wybredny. - Wgryzł się w chleb.

Uniosła górną kromkę. Powąchała oleistą maź i zmarszczyła nos.

- To sardynki?

- Śledzie. Bardzo dobre - wymamrotał z pełnymi ustami. Spojrzała na niego z powątpiewaniem, a on odpowiedział jej szerokim uśmiechem. - Nie jedz, jeżeli nie chcesz - mruknął i sięgnął do plecaka po jabłko.

- W porządku. - Karin wzruszyła ramionami. - Nic nie mam przeciwko śledziom.

Rowan spałaszował resztę kanapki i oparł się o skałę. Słońce rozpaliło jego kasztanowe włosy i wydobyło ciemne złoto twarzy i dłoni, które założył za głowę. Przyjrzał się jej.

- Jesteś silniejsza, niż wyglądasz. Mam nadzieję, że nie jesteś jedną z tych kobiet-kulturystek?

Karin zachichotała, wyobrażając sobie, że jest nasmarowana oliwką, ma napięte mięśnie piersiowe i preży się przed wielkim lustrem.

- Obawiam się, że nie. Po prostu od wielu lat chodzę po górach.

Szare oczy rozbłysły ciekawością.

- Przy pracy czy poza pracą?

- I tu, i tam. - Roześmiała się. - Mam góry tuż przy domu.

- Aha. Dlaczego właściwie zainteresowała cię inżynieria? - spytał, zmieniając temat. Karin przyjrzała się małej czarnej mrówce wędrującej wzdłuż prążkowanego źdźbła trawy.

- Mój ojciec i Leonard Dalkey byli partnerami. Byłam dobra z matematyki, a w czasie wakacji letnich zarabiałam w ich biurze kreślarstwem.

Uśmiechnęła się do wspomnień, patrząc, jak słońce rozjaśnia trawę między obojgiem. To były dobre czasy. Znalazła wreszcie uznanie w oczach ojca. Zawsze pragnął mieć syna, a potem musiało upłynąć wiele lat, nim zrozumiał, że nie da się z niej zrobić porcelanowej lalki. Jeśli nawet nie w pełni zaakceptował ją jako córkę, to nie szczędził jej pochwał jako inżynierowi. Mówił niewiele, ale fakt, że przydzielał jej coraz trudniejsze zadania, świadczył o tym, że nabrał do niej pełnego zaufania. Nigdy jej jednak nie powiedział, że ją kocha, że była dla niego kimś naprawdę ważnym.

Niezależność dała jej siłę, która pozwoliła przetrwać trudne chwile.

Nie zdążyła się dowiedzieć, czy kochał ją po prostu, za to, jaka była. Pewnej deszczowej nocy nieuważny kierowca ciężarówki wpadł w poślizg i zjechał na drugą stronę szosy. Bok czarnego porsche'a wgniół się do środka, zabijając na miejscu ojca i powodując paraliż u matki.

Rowan delikatnie zakaszłał.

- Mówiłaś mi o swoim ojcu. Jeśli przypadkiem dotknąłem bolesnego tematu, to przepraszam.

Boże, gdzież ona była? Zmarszczyła brwi.

- Po śmierci tatusia Leonard zachęcił mnie do kontynuowania studiów i zrobienia dyplomu; okazał się niebywale pomocny.

- W pracy? - spytał od niechcienia Rowan. Podniosła gwałtownie głowę.

- Wcale nie! To wszystko moja zasługa. Zapracowałam ciężko na wszystko, do czego doszłam. Pracowałam ciężiej niż większość inżynierów. - Odgryzła bez przekonania kawałek kanapki. - Właściwie dlaczego? - W jego głosie dało się wyczuć napięcie. Najwyraźniej trafiła na jego czuły punkt. Ale zdała sobie sprawę, że dla niej był to temat niełatwy. Dlaczego wszystko stawało się wyzwaniem? Dlaczego nie mogła sobie po prostu odpuścić?

- Nie chciałam, aby inni myśleli, że dostałam pracę ze względu na ojca - odpowiedziała najspokojniej jak umiała.

- Tylko pytałem.

Schował torbę z resztkami jedzenia do plecaka, wyjął termos z kawą. Odkręcił kubek i nalał doń pachnący ciemny płyn. Przytrzymując plastikowe naczynie wielką dłonią, podał je Karin.

Ich palce otarły się, spięła je na moment siła podobna do łuku elektrycznego.

W oczach Rowana pojawił się zapraszający wyraz. Ujął jej dłoń i wcisnął w nią

kubek, zachowując nieodgadnioną minę. Skinęła mimowolnie głową, na wpół świadomie upiła łyk kawy i oddała mu naczynie.

Wciąż na nią patrząc, dopił resztę i zakręcił termos.

- Czy chciałabyś zobaczyć gniazdo orła?

- O tak! - Uśmiechnęła się. - Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałam.

W piętnaście minut później stanęli na granitowym szczycie. Zdjął z siebie ciężki gruby sweter i upchał go w plecaku. Stał na wzniesieniu nieco powyżej, a ona nie mogła oderwać wzroku od mięśnia pleców prężącego się pod obcisłą czarną bluzą. Opuściła oczy ku wypłowiałym dzinsom opinającym jego pośladki. Był muskularny i zgrabny - bardzo pociągający, jeśli dać upust wyobraźni.

- Spójrz! Tam! - Rowan pokazał w kierunku, skąd przyszli.

Karin wpatrzyła się w czubek gołej turni.

- Nie widzę żadnego... - Urwała w połowie zdania, bo Rowan stanął za nią i obrócił ku wschodowi. Znów pokazał ręką. Karin poczuła jego długie palce na ramionach; serce zaczęło jej szybko bić. Nagle nad skałą pojawił się orzeł. Słońce wyłocilo pióra na jego grzbiecie, wydobyło rysunek skrzydeł. Ptak złapał schodzący prąd powietrzny i poszybował na nim w dół doliny.

- Widzę go! - krzyknęła. Odwróciła uwagę od ciepła jego ciała i skupiła się na pięknie wspaniałego ptaka.

Przywiódł jej na myśl Rowana. Czyż nie był jak orzeł - zuchwały, drapieżny, nieuchwytny? Tylko na co polował? I dlaczego krył się na odludziu?

- Ludzie myślą, że prawie nie sposób zobaczyć złotego orła. A przecież wystarczy wiedzieć, gdzie szukać - szepnął. - Jego oddech owiał policzek Karin.

Wbrew sobie odchyliła się, póki nie poczuła potężnego, twardego ciała i przymknęła oczy. Usłyszała, jak gwałtownie wciąga powietrze, poczuła, jak drży mu ręka. Odsunął się od niej powoli i odstał do tyłu.

Przygryzła dolną wargę i schyliła się, by strzepać kurz ze spodni. Nie chciała, żeby zobaczył jej twarz. Poczuła zimno w miejscu, gdzie trzymał rękę.

Przez dłuższy czas Rowan wpatrywał się w horyzont.

- Jesteś gotowa? - Mówił z udawanym spokojem.

W godzinę później zajeżdżali do Cairnbeck. Rowan zaparkował range rovera przed sklepem z osobliwościami na skraju miasteczka. Czerwony szyld nad drzwiami ogłaszał: PENNYWORTH - ANTYKI. W witrynie mieszały się ze sobą bezładnie stara i podrabiana ceramika, uprzęż i znoszone buty o podeszwach nabijanych ćwiekami. Rowan wyciągnął z tylnego siedzenia zieloną płócienną torbę.

- Ja tylko na chwilę. Chodź ze mną, jeśli chcesz.

Znów brał w nim górę profesjonalista, którego zupełnie nie obchodziło to, co stało się na szczycie. Był naprawdę nieodgadniony. Wzruszyła ramionami i weszła za nim do sklepu, zamykając za sobą zniszczone dębowe drzwi.

Pod jedną ze ścian stał wielki stół, z tych, jakie spotyka się w refektarzach. Stały na nim bez ładu i składu dzbanki, rozmaite drobiazgi i butelki. Na jednym końcu leżał stos wypolerowanych drewnianych przedmiotów o metalowych końcówkach, przypominających kształtem miniaturowe łodzie. Karin podniosła jeden z nich i przejechała palcami po gładkiej powierzchni.

- Stare czółenka tkackie. - Stanął przy niej zasuszony, zgarbiony właściciel sklepu. - Dawniej, w krosnach, takie właśnie podawały osnowę. Dzisiaj wszystko jest z plastiku. - Oczy małego człowieczka zapaliły się, gdy poprawił na nosie pince-nez. - Co też ma dziś pan dla mnie, panie Marsden?

Karin stłumiła śmiech. Staruszek stał, zacierając w oczekiwaniu dłoń. Rowan wypróżnił zawartość torby na kontuar i ostrożnie odwinął z papieru parę glinianych skorup.

- To mój łup spod Ravenglass - powiedział. - Znalazłem w starych chałupach. - Podniósł do góry kawałek uzdy, z której została głównie srebrna część; skóry zachowało się niewiele. - To już starszy kawałek... Z całą pewnością hiszpańska robota. Proszę zwrócić uwagę na wędzidło i na rytowanie.

- Ale cacko - wymruczał właściciel, patrząc zachłannie na piękną sztukę. - Dogadujemy się po staremu?

Rowan skinął głową.

- Niech mi ustalą wiek wędzidła. Sądząc z ryty, to schyłek osiemnastego wieku. - Spojrzał ostro na anty-kwariusza. - Niech pan nie zapomni, że ma trafić do muzeum. - Zwinął torbę i wsunął ją do kieszeni kurtki. - Reszta mnie nie interesuje.

- Jak pan sobie życzy, panie Marsden. Rzeczoznawca wypowie się jeszcze w tym tygodniu. Z reszty dostanie pan zwyczajowe pięćdziesiąt procent. - Zaczął zawijać z powrotem ceramikę.

- Wpadnę znów przy najbliższej wizycie w miasteczku. - Rowan rzucił okiem na Karin. - Idziemy obejrzyć ruiny? Za miasteczkiem Rowan skręcił ku zachodowi, w kierunku morza. Karin zastanawiała się nad rozmową Rowana z handlarzem starociami.

- Coś cię martwi? Spojrzała na niego.

- Czy rzeczy, które znalazłeś, nie powinny trafić do jakiegoś towarzystwa historycznego?

- Nie mają właściciela. Tylko wędzidło ma jakąś wartość. Ceramika liczy sobie najwyżej dwadzieścia do trzydziestu lat. - Mówił wymijającym tonem, patrzył wprost przed siebie.

- Ale... bierzesz za to pieniądze. Przecież ich nie potrzebujesz?

Zaśmiał się niepewnie.

- Oczywiście, że nie potrzebuję pieniędzy. Moja umowa z Pennyworthem polega na tym, że daję mu rzeczy na sprzedaż. Połowa z tego co dostaję, moja połowa, trafia do Towarzystwa Starych Tkalni w Cairnbeck.

Karen milczała.

- Dalej nie rozumiesz, prawda? Wzruszyła ramionami.

- W końcu to twoja sprawa, co robisz ze znaleziskami. Jego oczy rozblęskły złością, zmęł w ustach przekleństwo.

- To cios poniżej pasa. Towarzystwo, o którym mówię, zbiera fundusze na odtworzenie miasteczka... ze starych czasów, kiedy len tkalo się jeszcze ręcznie. - Odetchnął głęboko. - Pewnie to cię nic nie obchodzi, ale parę osób finansuje całe przedsięwzięcie. Włócząc się po okolicach, znajduję ciekawe okazy i nie widzę powodu, dlaczego nie miałyby one trafić do muzeum.

Gorąco napłynęło jej do twarzy. A więc działał z pobudek altruistycznych. Powinna była na to wpaść.

- Przepraszam. Myślałam...

- Wcale nie pomyślałaś! - warknęła. - Za szybko osądzasz innych. Powinnaś zastanowić się nad rzeczywistą wartością drugiego człowieka, zanim wyciągniesz pochopne wnioski.

- Czy sam tak ze mną nie postąpiłeś? - Obróciła się ku niemu. - Zamykasz drzwi od stajni po tym, jak ogień już się wydostał na zewnątrz.

- Koń - poprawił ją. - Chciałaś powiedzieć: koń.

- Nie! - uparła się. - Chodzi mi o ogień. - Zawahała się. - Czy to nie ogień?

Usta Rowana wykrzywił uśmiech.

- Z całą pewnością nie w stajni. Gdzie indziej tak, ale nie w stajni! - Jego uśmiech przerodził się w śmiech.

Karin wpatrzyła się w drogę, policzki jej płonęły. Dlaczego przy tym

mężczyźnie język odmawiał jej posłuszeństwa? Zwykle nie przejęzyczała się aż tak często. Ale teraz w ogóle zachowywała się inaczej niż zwykle. Gdyby była sobą, nigdy nie zgodziłaby się mu towarzyszyć. Tak naprawdę wszystko się w niej zmieniło od przyjazdu do Anglii, od pierwszego spotkania z Rowanem. Od pamiętnej nocy w pubie ani razu jej nie dotknął. Teraz jednak, na szczycie, zdała sobie sprawę, że jej pragnął. Poczula, jak wilgotnieje między udami. Przez dłuższy czas siedziała nieruchomo, ścisnąc razem kolana. Zerknęła na jego profil, zazwyczaj twardy jak kamień, a tym razem pogodny, z radosnymi błyskami w oczach. Jakim cudem ta kobieta go zostawiła?

Rowan nagle zwolnił.

- Zobacz! Po prawej stronie. - Z mgły wyłaniały się ruiny muru. Rowan wyhamował za rozjazdem i zgasił motor. - Chcesz rzucić okiem?

Karin wpatrywała się z zachwytem w kamienną ścianę wyrastającą na środku rozległego pola. Zawsze ulegała czarowi rzeczy z przeszłości.

- O, tak.

Poszli ubitą ścieżką w kierunku ruin. Większe i mniejsze kamienie leżały pośród gęstej, soczystej trawy. Malutkie niebieskie dzwonki i fioletowe chabry rosływzdłuż dróżki i tańczyły wśród mgły rozwiewanej przez wiatr od gór. To był naprawdę inny świat.

Za pierwszym murem zaczynał się następny fragment: zachowane łuki rysowały się na tle majestatycznych zboczy. Karin patrzyła w milczeniu, jak przepływa pod nimi mgła i czekała, aż ruiny obudzą się do życia. Wokół słychać było tylko świst wiatru. Przymknęła oczy i zobaczyła rzymskie legiony maszerujące w kierunku wzgórz.

- Nie tylko w górach można spotkać samotność - rozbrzmiał za nią miękki głos Rowana. - Jesteśmy zaledwie o parę mil od miasteczka, a jednak w tym miejscu ma się wrażenie, że świat się skończył.

Karin zadrżała na dźwięk jego głosu i nagle zapragnęła, żeby czas się zatrzymał.

- Ten spokój jest złudny, wiatry często zamieniają się w burze. Jak dojdzie do tego deszcz... - Jego głos zapadł się w dziwną ciszę, którą przerywało tylko pojękiwanie wiatru. - Sama nigdy tu nie przychodź.

Głos Rowana stał się nagle twardy, władczy i Karin drgnęła.

- Zastanawiam się, jak Rzymianie radzili sobie z zimnem i wiatrem?

Rowan trącił czubkiem buta muchomor.

- Wcale nie musieli sobie radzić. Rzymskie władze nie wysyłały swoich ludzi. Ci, którzy zarządzali Brytanią w imieniu zdobywcy, byli Celtami i nie urodzili się nad Morzem Śródziemnym.

- Czy to oni budowali forty? Albo zamki?

- Forty tak. W czasach wczesnej okupacji rzymskiej większość fortyfikacji służyła tylko przez pewien czas, a potem je porzucano. - Roześmiał się. - Odnosimy wrażenie, że dysponujemy dość dokładnym obrazem Brytanii z pierwszych pięciu wieków, a przecież to tylko domysły.

- Thorny mówił prawdę, rzeczywiście dużo wiesz o historii tych miejsc. - Przeszedł ją dreszcz, kiedy zastanowiła się nad jego słowami.

Rowan pokazał jej teraz obramowane murem prostokątne zapadlisko.

- To pozostałości rzymskiej łaźni. - Przejechał palcem po ścianie. - Zobacz no. Zaprawa, która wytrzymała dwa tysiące lat kapryśków miejscowej pogody, powinna przyciągnąć uwagę dzisiejszych technologów. - Odwrócił się do niej. Oczy lśniły mu w złotym świetle popołudnia.

Myśli Karin oderwały się od archeologicznych ciekawostek. Gdyby tak znaleźć się z nim... w rzymskiej łaźni, pomyślała. Ciekawa jestem, co by się stało, gdyby mnie

dotknął... gdyby mnie rozebrał, posiadał mnie...

Założyła za ucho niesforny kosmyk, czując, jak drżą jej palce. Czy coś zauważył?

- To nie takie częste widzieć inżyniera, który interesuje się starożytnością - powiedziała nieswoim głosem.

- Być może. - Spojrzał na nią uważnie. - Zanim zainteresowałem się aerodynamiką, myślałem o geologii. Dalej zresztą się nią pasjonuję. Ta część kraju jest fascynująca, wszystko co wydarzyło się od epoki lodowcowej, można tu odkryć. - Wskazał w kierunku ruin. - Tam dalej są schodki, którymi można zejść na niższy poziom. Ornamenty robią wrażenie.

Ruszyła za nim, starając się stawiać stopy tam gdzie on, w obawie przed osuwającymi się kamieniami. Zeszli do piwnicy, głęboko pod ziemią. Czuli się niebezpieczeństwo. To nie było miejsce, które zwiedzało się o zmierzchu albo samemu. Zadrżała i postawiła kołnierz kurtki.

- Zimno ci?

- Trochę.

- Zaraz idziemy. Popatrz tylko tutaj. - Obrócił ją w stronę ściany, otaczając jednocześnie połą kurtki.

Zanurzyła się w czystym, piźmowym zapachu. Serce podskoczyło jej w piersi. Przyciągnął ją bliżej do siebie, poczuła, jak przenika ją bijące od Rowana gorąco. Stali tak nieruchomo jakiś czas, słychać było tylko jego urywany oddech.

Karin czuła, jak tętni w niej krew. Pragnę go! pomyślała. Wypełnił ją omdlewający ciężar. Zdawała się wrastać w ziemię, nie mogła się poruszyć. Marzyła tylko o tym, by położyć ręce na jego biodrach i złożyć głowę na jego ramieniu.

Trzy tygodnie temu myślała, że będzie szczęśliwa, jeśli Rowan zaakceptuje ją jako współpracownika, jako kogoś równego sobie. Później, już po spotkaniu z jego rodzicami, zapragnęła poznać go jako osobę. Miała nadzieję, że on i ona, podobnie jak Thorny, Derrick i pozostali członkowie załogi, będą mogli zostać przyjaciółmi. Tylko przyjaciółmi, nic więcej.

Teraz wiedziała już, że chciała czegoś więcej.

9

Karin zawahała się, ale po chwili położyła dłoń na jego ramieniu.

- Rowan. - Uśmiechnęła się niepewnie. - Czy nie możemy wszystkiego jeszcze raz spróbować? Czy nie możemy być przyjaciółmi? - Chciała zacząć od nowa.

Odpowiedział chrapliwym śmiechem i zaraz przestał.

- Nie, Karin - odezwał się niskim głosem - nie możemy być „przyjaciółmi”.

Ujął jej twarz rozstawionymi palcami. Zanim zdążyła zareagować, schylił się ku jej ustom. Przejechał po nich wargami, przyciągając ją ku sobie za biodra. Przywarł do niej podbrzuszem. Poczuła twardość pomiędzy nimi i oładnęło ją gorączkowe pragnienie. Wiedziała, że powinna się bronić, ale jej ciało nie chciało słuchać. Drżała, opuszczały ją siły. Rozchyliła wargi.

W tym samym momencie odepchnął ją od siebie.

Otworzyła szeroko oczy. Górował nad nią, jego oczy też zogniły.

- Nie chciałem, żeby tak się stało - powiedział ochryplym głosem. Ścisnął dłoń, aż pobiełały mu knykcie. - Wracajmy.

Obrócił się na pięcie i ruszył do góry, biorąc po dwa stopnie na raz.

Karin poczuła się, jakby ktoś wylał jej na głowę kubel zimnej wody. Co znów się stało? Pięła się za nim z bijącym sercem. Na samej górze poślizgnęła się i uderzyła gołenią o ostrą krawędź kamienia. Wyprostowała się szybko i pobiegła dalej mimo tępego bólu w nodze. Usiadła na przednim siedzeniu i udała, że ma kłopoty z zapięciem pasa, podczas gdy Rowan mozolił się z kluczykiem. Twarz jej płonęła. Nie chcąc, by widział ją w takim stanie, odwróciła się.

Dlaczego pocałował ją tak gwałtownie i tak raptownie przestał? Czy dlatego, że pracowali razem? Czego naprawdę chciał? pomyślała ze złością. Wpatrzyła się nie-ruchomo w drogę i siedziała, milcząc jak zaklęta.

On też nie wypowiedział słowa, póki nie ujechali paru mil.

- Jeśli przejmujesz się tym, co się stało - powiedział obojętnym głosem, nie odrywając wzroku od szosy, niepotrzebnie. Więcej się to nie powtórzy.

- Czy mam z tego powodu się cieszyć? - rzuciła mu wyzwanie.

Odwrócił się ku niej gwałtownie.

- Co u diabła masz na myśli?

- Żeby się rozłączyć, trzeba się najpierw połączyć - odpowiedziała prawie bez namysłu i zaraz zdała sobie sprawę z dwuznaczności wypowiedzi.

- Panno Williams - wycedził - czuję się zaszczycony.

- Nie ma powodu - odburknęła. Rzucił jej szybkie spojrzenie.

- Przyznajesz, że moje... hm... zaloty nie są ci wstętne.

- Nie to miałam na myśli!

- Nie? Mów dalej. - Kącik ust opuścił mu się w krzywym uśmiechu. Przed nimi wyłoniła się baza. Rowan zatrzymał samochód parę metrów przed przyczepami, wyjął kluczyk ze stacyjki, włożył go do kieszeni i oparł się o drzwiczki, patrząc na nią z rozbawieniem. - Czy wolno mi sądzić, że przyjęłaś ofertę, jaką ci złożyłem?

- Ofertę? Jaką znów ofertę?! - prawie krzyknęła.

- Nie masz w końcu aż tylu kochanków, żeby zapomnieć? - Usta wygięły mu się w uśmiechu, ale oczy pozostały poważne. Żar napłynął jej do twarzy. Przypomniała sobie słowa Rowana.

- Jeśli potrzebujesz kochanka, dlaczego mnie nie weźmiesz? - powtórzył.

Był na tyle beczelny, żeby znów jej to powiedzieć! I to tym samym, lekceważącym tonem. Krew w niej zawrzała.

- Idź do diabła! - Prawie wyrwała pas bezpieczeństwa, otworzyła gwałtownie drzwi i pobiegła do przyczepy, nie oglądając się za siebie. Wiedziała, że Rowan siedzi dalej w samochodzie.

Cyril zajrzał do biura i skinął na Karin pracującą przy kreślarskim stole.

- Telefon do ciebie. Ze Stanów. Leonard. Czekala, kiedy zadzwoni.

Przez cały tydzień Rowan okazywał jej na każdym kroku obojętność i ograniczał się do ściśle zawodowych kontaktów. Rozmowy na temat pracy też były pełne napięcia. Trudno, mówiła sobie, trzeba jakoś z tym żyć. Od początku właściwie oceniła swoje siły. Rowan okazał się natomiast o wiele trudniejszy, niż przypuszczała.

Przepełnęła przez nią fala ciepła. Zrzuciła sweter i podniosła słuchawkę telefonu stojącego na jej biurku.

- Halo - powiedziała, przyglądając pospiesznie ręką włosy.

- Karin. - Głos Leonarda zabuczał wśród trzasków na linii. - Wszystko w porządku?

Zawahała się. To zależy, co miał na myśli mówiąc „w porządku”.

- Ekipa budowlana będzie jutro robić wylewkę cementu, jeśli tylko nie spadnie deszcz. Zeszliśmy do trzech i pół metra. Grunt jest stabilny. Wszystko idzie zgodnie z planem.

Wszystko poza jej relacjami z Rowanem.

- A jak ci się układają stosunki z Marsdenem? - spytał Leonard, jakby czytał w jej myślach. - Nie sprawia ci kłopotu?

Kłopotu? pomyślała. Gdyby tylko wiedział, co tu się dzieło.

- Prawdę mówiąc... no... daje mi w pracy wolną rękę.

- Tak też i mnie powiedział. Wygląda na to, że przekonałaś go do swoich umiejętności. Ale - Leonard zawahał się - czy nie masz z nim problemów osobistych? Marsden nie bardzo chciał mi powiedzieć, jaką właściwie masz tam pozycję.

- Jest tak - powiedziała Karin - że Rowan okazał się bardzo skupiony na sobie. I nie bardzo jest przyjazny.

- Miałem nadzieję - Leonard westchnął - że będzie inaczej. Nie przejmuj się - dodał - wkrótce przybędzie wybawienie.

Karin spojrzała na telefon.

- Co masz na myśli?

- Żona Geoffa zmarła dwa tygodnie temu. - Przez chwilę słychać było tylko trzaski na linii. - Wysłałam go z pomocą. Poza tym musi się zająć czymś innym. Bądź taka dobra i okaż mu trochę serca, dobrze?

Leonard podrzucał jej bombę z opóźnionym zapłonem. Wśród mężczyzn zatrudnionych u Dalkeya Geoff Ellis najbardziej chyba dawał jej do zrozumienia, że jest kobietą. Opadła na krzesło. Nie tylko był przeciętnym inżynierem, ale na dodatek nie stronił od kieliszka. Wstrząśnięty śmiercią żony mógł się stoczyć, dlatego zapewne Leonard postanowił go wysłać.

Potrzebowała teraz kogoś takiego jak Geoff niczym zakaźnej choroby. Ale jak wytłumaczyć to wszystko Leonardowi? Karin zamknęła oczy i wzięła głęboki wdech.

- Czy powiedziałaś Rowanowi o jego przyjeździe?

- On uważa, że to świetny pomysł. Mówi, że brakuje mu rąk do pracy.

Cholerny Rowan! Dlaczego nagle przyszło mu do głowy, że potrzebna jest jej pomoc? Dawała sobie doskonale radę i na pewno nie potrzebowała takiego mężczyzny jak Geoff Ellis. Od pierwszych dni u Dalkeya Geoff zaczął podlizywać się Leonardowi i robić wszystko, by osłabić jej pozycję. Ledwie mogła go ścierpieć, a teraz jeszcze miała troszczyć się o niego? Gdyby nie dbała o siebie, Geoff zająłby jej miejsce. A tu, biorąc pod uwagę sytuację z Rowanem, groziło jej, że Geoff ją wykopie.

- Kiedy przyjeżdża? - spytała w końcu.

- Za parę dni. Zawiadomię cię, Karin. - Ton głosu Leonarda zmienił się. Wiesz, jak bardzo mi zależy na współpracy z tobą. Jest tu ktoś, kto chciałby podzielić się dobrymi wieściami.

Na linii znów coś zazgrzytało.

- Karin, kochanie - popłynął ku niej głos Ateny. - Leonard mówił mi, że wspaniale dajesz sobie radę. Zawsze w ciebie wierzyłam - głądziła, póki Karin jej nie przerwała.

- Leonard powiedział, że masz dla mnie dobrą wiadomość.

- To prawda. Raczej mamy. - W słuchawce rozbrzmiał śmiech Ateny. -

Leonard w końcu przekonał mnie, że łatwiej nam będzie, jeżeli będziemy ze sobą przez cały czas. Mamy zamiar się pobrać.

Ślub! Leonard i Atena? Karin ogarnęły wątpliwości. Czy matka potrafi być szczęśliwa po utracie niezależności? Atena zawsze podkreślała, jak ważna jest dla niej wolność. Darzyła gorącym uczuciem Leonarda i Karin wiedziała, że on ją kocha, ale cóż takiego się stało, że matka zmieniła zdanie?

Głos Ateny przerwał tok jej myśli.

- Karin?

- Tak, mam?

- Nawet nam nie powinszujesz? - W jej miłym głosie dała się słyszeć nutka

wyrzutu.

- Och, wybacz mi, mamó - poprawiła się pospiesznie. - Cieszę się waszą radością. I wiem, że Leonard musi być zachwycony.

- Chciał już zrezygnować. - Atena roześmiała się. Taka jestem zadowolona, że tego nie zrobił - powiedziała półgłosem.

- Ja też, mamó - odpowiedziała echem Karin. Nie było w jej głosie wielkiego entuzjazmu. Czy matka to zauważyła?

Po odłożeniu słuchawki Karin długo jeszcze zastanawiała się nad słowami matki. Najwyraźniej niezależność też miała swoje wady. Trzeba będzie jeszcze to przemyśleć.

Ale czyż nie czuła dokładnie tego samego w stosunku do własnego życia? Że niezależność miewała zbyt wysoką cenę?

A wszystko to z powodu Rowana. To on był przyczyną jej frustracji.

Ach, do licha. Wszystko musiało wydarzyć się w tym samym momencie. Kiedy doszła do wniosku, że Rowan jest najbardziej nietykalnym człowiekiem na ziemi, tenże roztoczył przed nią swoje wdzięki i rozpalił ją do białości. Wiedziała, że go pociąga, ale równocześnie wabił ją ku sobie i odpychał. Kiedy poddawała się pożądaniu, utrzymywał ją z daleka od siebie. A teraz, choć niby był zadowolony z jej pracy, cieszył się z przyjazdu Geoffa. Trudno było się w tym połapać.

Spojrzała na deskę kreślarską. Nagle poczuła, że nie jest w stanie dłużej wysiedzieć w środku. Podeszła do drzwi i spojrzała w kierunku gór. Potrzebowała spaceru. Długiego spaceru.

W przyczepie nałożyła drugą parę skarpet i naciągnęła wysokie sznurowane buty. Wzięła ciepły sweter z półki w łazience i założyła na bluzę. Należał kiedyś do jej ojca i, choć nieco znoszony, dobrze grzał. Objęła się ramionami, czując pod palcami szorstkość wełny. Jaka szkoda, że nigdy nie dzieliła z ojcem bliskości, jaką czuła w stosunku do Leonarda. Leonard miał w sobie dużo miłości. Ojciec na pewno pochwaliłby decyzję Ateny co do ożenku z Leonardem.

Schodząc ze schodków, spotkała się twarzą w twarz z Rowanem.

Zmarszczył brwi i spojrzał na zegarek.

- Dokąd idziesz?

- Na spacer.

- Nie za wcześnie? - Jego oczy zwięzły się. - A gdzie dokładnie masz zamiar iść?

Zatoczyła luk ręką.

- W tamtym kierunku.

- W stronę gór? - zapytał ostro. - Nie ma mowy! Powiedziałem ci już, że to niebezpieczne. - Wyprostował się i spojrzał jej prosto w oczy. - Jadę teraz do miasteczka. Kiedy wrócę, porozmawiamy.

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się na pięcie i zniknął za drzewami.

- O nie, panie Marsden - prychnęła Karin, patrząc za oddalającą się figurą. - Nie będziesz mi mówił, gdzie wolno mi chodzić. W ogóle nie będziesz mi rozkazywać! - Zatrzasnęła drzwi przyczepy i ruszyła w stronę biura.

Stała u podnóża schodków i kipiąc ze złości patrzyła, jak czerwony jaguar mknie drogą wzniecając chmurę kurzu. Czy Rowan naprawdę uwierzył w to, że ona go posłucha? Że zostanie w przyczepie jak grzeczne dziecko, podczas gdy on będzie sobie jeździć, gdzie chce?

Prędzej szlag ją trafi. Miała dosyć tego szaleńca.

Patrzyła za jaguarem, póki nie zniknął, a potem ruszyła w stronę gór. Potrzebowała porządnej, długiej przechadzki.

Karin szła szybkim krokiem, póki nie uszła na tyle daleko, że nie było już jej widać z bazy. Szła jeszcze przez dwadzieścia minut i wtedy dopiero zatrzymała się i rozejrzała wokół.

Stała na wąskiej ścieżce, nie dalej niż dwadzieścia metrów od nasypu. Z jednej strony widoczne były strome piaskowce skały; po lewej, za granią, ziała przepaść. Posępne szczyty wznosiły się przed nią, niebieskofioletowe w świetle popołudnia. Łagodny wietrzyk strzępił chmury.

Ruszyła dalej, pnąc się mozolnie coraz wyżej. Zwężająca się ścieżka biegła teraz ponad stawem otoczonym turniami. Lustrzana powierzchnia wody odbijała nagi granit ściany strzelającej ku niebu. Zdawało się, że ma pod sobą księżycowy krater, który raz ciemniał, raz srebrzył się pod groźnym niebem. Zdjęta nabożnym lękiem Karin zwolniła kroku.

Szła dalej. Droga schodziła teraz w dół, w następną dolinę i zrobiła się łatwiejsza. Gąbczasty mech kładł się jej pod stopami, mokra trawa owijała wokół kostek. Zbocze zdobiły złote modrzewie i czerwone głogi. Gdzieś poniżej przerywał ciszę szmer strumyka. Poczula ból mięśni nóg i próbowała je rozluźnić. Jeszcze tylko kawałek, a potem zawróci.

Ścieżka rozwidlała się. Po prawej rozciągał się łagodny pejzaż płaskich skał; poszła w ich stronę. Osunęła się na jeden z głazów i oparła plecami o drugi. Dysząc ciężko, położyła głowę na kolanach, żeby odpocząć. W głowie wirowały jej myśli, których nawet wspinaczka niezdolna przegonić. Za dużo pytań pozostawało bez odpowiedzi.

Położyła dłonie na uszach, by lepiej wsłuchać się w wewnętrzny głos. Dlaczego Rowan bywał czasami tak ostry? Cóż takiego w niej było, że zmieniał mu się przy niej bez przerwy nastrój? Jutro zażąda przeprosin. I porozmawia z nim na temat Geoffa. To ona odpowiadała za konstrukcję. Geoff Ellis mógł najwyżej być jej asystentem.

Atena? Karin westchnęła. Jej matka wychodziła za mąż za Leonarda. Może była niezależna, ale jednocześnie samotna? Karin musiała jednak przyznać, że Leonard był dobry dla Ateny. Nie traktował jej z pobłażaniem, jak to czynił jej ojciec. Leonard dawał Atenie siłę tam, gdzie jej potrzebowała. Dziwne, że do tej pory nie przyszło jej na myśl, że matka może chcieć czegoś więcej niż niezależności.

Wyrwała z ziemi źdźbło trawy i przygryzła je. Tyle było rzeczy, o których dawniej w ogóle nie myślała. Czy była samotna? Nigdy nie stawiała sobie takiego pytania przed przyjazdem do Anglii, a przez pierwsze tygodnie pracy była zbyt zajęta, by oddać się podobnym rozważaniom. Udowadnianie Rowanowi, że jest coś warta, pochłaniało cały jej czas.

Teraz jednak, zamknięta w maleńkim pokoiku w przyczepie, skazana na lektury i myślenie, zaczynała odczuwać niepokój. Owszem, wszystko co związane było z pracą, nie sprawiało jej kłopotu. Ale rozwiązywanie problemów technicznych nie mogło jej rozgrzać podczas zimowych nocy. Po wykonanym zadaniu nie następowało miłe odprężenie, leniwy błogostan. Czyżby wypełniła swoje życie jedynie równaniami i książkami? Praca, powiedziała sobie z nagłą jasnością, nie była czułym kochankiem.

Może odczuwała głód czegoś innego. Może był to głód... Wielki Boże, czy to było możliwe? Czyżby pragnęła być z mężczyzną? Z Rowanem? Przestała prawie oddychać, siedziała nieruchomo, wpatrując się w trawę. Los obchodził się z nią okrutnie. Po latach samotności, kiedy zdobyła już pozycję, trafiła w końcu na męż-

czynną, przy którym mogłaby się wreszcie poczuć sobą i tenże mężczyzna okazał się największym w świecie szowinistą. Rowan zachowywał się czasem tak, jakby w ogóle jej nie lubił! A jednak była pewna, że jej pragnie.

I, do licha, ona też go pragnęła. Pragnęła jak nikogo dotąd.

Nigdy jeszcze nie dała sobą nikomu tak ować. Rowan urzekł ją wyszukanymanierami i zniewalał siłą charakteru. Jakże podobało jej się to, co powiedział o konieczności zaangażowania się w śmiałe projekty. Patrzył na świat podobnie do niej.

No i cóż z tego! Z powodów znanych tylko jemu samemu Rowan nie brał pod uwagę własnych uczuć. Wytręcało ją to z równowagi; postanowiła, że porozmawia z nim o tym jutro.

Karin usiadła wygodniej, odchyliła głowę do tyłu i przymknęła oczy. Wciągnęła w płuca orzeźwiające powietrze. Jeszcze chwila i ruszy z powrotem.

Karin podniosła z wysiłkiem głowę. Wokół pełzła szara, mroczna ciemność; wiatr jęczał i zawodził wśród kołyszących się drzew. Przetarła oczy i rozejrzała się dookoła. Jak długo spała? Sweter i dzinsy przemokły całkowicie od mżawki. Poczwała przejmujące zimno.

Nagle chmury otworzyły się i lunął deszcz.

Zerwała się z kamienia, zaczęła przedzierać się między drzewami do ścieżki. Ledwie było ją widać przez ścianę wody.

Gałęzie chłostały ją po twarzy. Ostry koniec skaleczył ją w policzek. Wyjący wiatr przyniósł strugę deszczu, która spłynęła jej za kołnierz, zmierzwił włosy, oślepił.

Trudno było cokolwiek zobaczyć. Ciemność gęstniała z minuty na minutę, a ona nie miała pojęcia, gdzie jest. Gorzej, nikt nie wiedział o jej wyprawie. Jeśli nie znajdzie schronienia, groziło jej, że zamrze.

Strach dodał jej siły. Rzuciła się pędem przed siebie, przewróciła o pień leżący w poprzek drogi. Ostry ból przeszył jej ramię.

Dławiąc szloch, próbowała oczyścić dzinsy z liści i błota, a potem zaczęła sprawdzać, czy nic jej nie jest. Głowa pulsowała, ramię rwało.

Karin podniosła się i stanęła na chwiejnych nogach. Ruszyła w kierunku bazy, zmagając się z sztormowym wiatrem. Musiała zwolnić; zewsząd spadały na ścieżkę gałęzie.

Głowa pękała z bólu jak od uderzenia młotem; poczuła słony smak na wargach - krew. Błyskawica rozpałała niebo, na jej oczach piorun rozszczepił uschłe drzewo. Odskoczyła do tyłu przed padającym pniem, potem obiegła go i znów stanęła.

Nasyp powinien pojawić się z prawej strony, ale nic tam nie było. Nie było żadnego nasypu. O Boże, zgubiła się!

Mokry sweter ciążył na ramionach. Nagle przeszył ją paniczny strach. Było jej zimno, tak zimno jak nigdy dotąd w życiu. Miała silne dreszcze. Czy przetrzyma do rana w takich warunkach? Gdyby nawet inni wiedzieli, dokąd poszła, jakże mogliby ją znaleźć w podobnych ciemnościach? Powinna była coś zrobić, ale co?

Dlaczego była aż tak uparta? Poszła tam, dokąd mogli chodzić tylko wytrawni turyści. Nie miała żadnego doświadczenia z wiatrem, który przechodził w huragan i towarzyszyła mu burza. Rowan miał rację. „Nie chodź w góry sama.” On dobrze wiedział, czym to grozi.

Niebo znów rozbłysło od błyskawicy. Dalej ani śladu nasypu. Gdzie się zapędziła?

Po lewej stronie zobaczyła nagle skupisko skał. Podbiegła do kamiennej ściany, przywarła do niej rozkrzyżowanymi rękoma. Przesuwając się wzdłuż skały, dotarła do zagłębienia. Schyliła się i weszła pod nawis. Jaskinia! Kolejna błyskawica przecięła ciemność; zdążyła zobaczyć szarozielone łupkowe ściany. Przynajmniej było tu sucho.

Na zewnątrz uderzył piorun, wichura chlusnęła wodą na skały. Głowa Karin tętniła, policzek płonął w miejscu, gdzie zraniła go gałąź.

Najbardziej jednak cierpiała z powodu zimna. Dojmujący chłód przenikał ciało, drętwiały jej nogi. Trzęsa się tak, że ledwie mogła ustać na nogach. Wyczerpana do cna, osunęła się na lodowate skalne podłoże i zwinęła w kłębek, opierając głowę na zgiętym ramieniu. Trudno było marzyć o śnie, ale przynajmniej nie zagrażał jej już deszcz. Dzięki Bogu, że trafiła na jaskinię; prawdopodobnie była to pozostałość po starych kamieniołomach.

Znów pomyślała o Rowanie. Jeśli uda się jej w ogóle wrócić, będzie na nią wściekły. Już raz oskarżył ją o to, że działa bez zastanowienia, a ona znów tak zrobiła. Za późno jednak było na jakiegokolwiek rozważania. Musi doczekać końca burzy. Skuliła się jeszcze bardziej. Mimo zimna zmówiła modlitwę i zapadła w sen.

- Kaariin?

W ciemnościach dał się słyszeć zwielokrotniony echem głos.

Karin gwałtownie otworzyła oczy. Ktoś był niedaleko. Natężyła słuch. W oddali błysnęło światło. Znów rozległ się głos.

- Kaar-in!

Rowan. Dzięki Bogu! To był jego głos. Zmusiła się do wstania i powlokła na sztywnych nogach do wejścia.

Światło latarki ciągnęło się wstęgą wzdłuż drzew doliny tuż poniżej. Deszcz ustał; słyszała tylko krople wody opadające ze skał na ziemię i chrzęst liści pod zbliżającymi się krokami.

- Tutaj - wychrypiała. - Tutaj jestem. Snop światła podniósł się.

Rowan wdrapał się po stromym zboczach, osłaniając głowę przed staczającymi się z góry kamieniami. Karin zachwiała się.

- Karin! - Rowan schwycił ją i przyciągnął do siebie. Mocne dłonie zacisnęły się na ramionach Karin.

Rowan powtarzał szeptem jej imię. Nagle odepchnął ją od siebie i zaświecił jej latarką prosto w twarz. - Gdzie u diabła się podziewałaś? - zagrmiał. Jego oczy zwięzły się w pełne złości szparki. Zauważył jej pociętą twarz.

- Karin! Rany boskie, co się stało? Nic ci nie jest? - Odgarnął ciężkie od deszczu włosy z jej czoła i zaczął przesuwać dłońmi po twarzy i ciele Karin, szukając bolących miejsc.

Pod dotykiem palców Rowana opuściły ją siły. Opadła, szlochając, na jego piersi.

Rowan uniósł Karin w ramionach i poniósł w głąb jaskini. Złożył ją delikatnie na ziemi i zaczął kołysać, trzymając duże gładkie dłonie na jej mokrych poplątanych włosach.

Kiedy ustał strumień łez, zaczęła szczerkać zębami.

- Nic mi nie jest - odpowiedziała. - Upadłam, ale nic sobie złego nie zrobiłam. Jest mi tylko strasznie zi-zi-zimno.

- Jesteś cała przemoczona!

Poczuła, jak ściąga z niej sweter, jak mocuje się z guzikami flanelowej koszuli. Nie mogąc jej rozpiąć, szarpnął, aż guziki rozprysły się wokół. Odrzucił koszulę i sięgnął ku jej plecom, szukając zapięcia mokrego stanika.

- Z przodu. Rozpina się z przodu.

Ciepłe dłonie Rowana przejechały po jej ciele, przesunęły się po wypukłościach piersi, gładząc je przy rozpinaniu. Cienki materiał opadł ku bokom, ramiączka się zsunęły. Jak przez mgłę czuła dotyk jego rąk na wrażliwej skórze.

Odsunął się i w sekundę później naciągnął jej przez głowę własny skafander. Otoczył ją kokon bezpiecznego ciepła. Od zapachu przenikającego kurtkę zakreśliło się

Karin w głowie.

- Przełóż ręce - wyszeptał, przytrzymując rękawy. Posłuchała bez słowa, a potem skuliła się, przylgnęła do

bezpiecznego ciepła jego piersi i przymknęła oczy. Przycisnął głowę Karin do siebie, szorstka wełna jego swetra zetknęła się z jej nagim ciałem tam, gdzie zadart się skafander.

Zacząła drżeć, a on otoczył ją ramionami, dotykając gołej skóry. Usłyszała, jak bierze głęboki wdech, poczuła, jak się napina. Żar bijący z jego palców zaczął ją parzyć.

Języki ognia strzeliły w głąb jej ciała. Zalała ją fala namiętności.

Karin schwyciła go za ramię. Położyła swą małą rączkę na jego wielkiej dłoni i pociągnęła ją w dół, ku brzuchowi. Jęknął i wsunął drugą rękę pod skafander, gdzie czekała mała pierś. Druga dłoń zsuwała się niżej.

Stała się jednym wielkim pożądaniem. Chciała czuć jego dłonie na swym ciele, chciała należeć do niego choćby tylko przez chwilę. Chciała... Myśli zaczęły jej wirować, przywarła do niego jeszcze bardziej.

- Karin - wymówił gardłowym głosem. Przesunął ustami po czole dziewczyny. Odjął dłonie od jej ciała, położył na ramionach, pociągnął ku sobie. - Czy wiesz, co robisz?

Podniosła głowę, odchyliła ją do tyłu. Usta Karin spoczęły na brodzie mężczyzny. Delikatna skóra jej warg otarła się o twardą szczecinę. Westchnęła spazmatycznie i jęknęła.

Zawahał się na moment, poszukał jej ust, uwięził jej wargi w pocałunku, który zdawał się trwać wieczność.

Karin płynęła nad ziemią, wolna od zimna i wilgoci, rozplómięta zrodzoną między nimi żądzą. Jego wargi przesuwwały się po jej wargach w zmysłowej litanii. Jego dłonie pieściły, wędrowały znów ku piersiom. Namiętnym ruchem wsunęła ręce pod jego sweter. Zanurzyła palce we włosy porastające jego tors.

Odnalazł szczyty jej piersi, obwiodł je palcami. Ścisnęło ją w gardle. Sutki wyprężyły się, popłynął od nich prąd do samego środka jej ciała. Oblizwała nabrzmiałe pocałunkami wargi, przepłynęła przez nią urzekająca fala ciepła.

- Pragnę cię, Karin - wyszeptał chrapliwie Rowan przy jej policzku. - Pragnę cię. - Znów poszukał jej ust. - I posiadę cię, możesz być tego pewna. - Przejechał koniuszkiem języka po jej wargach, wsunął go głębiej.

Strumień pożądania rozpalił jej brzuch. Chciała Rowana. Pragnęła czuć go obok siebie, w sobie!

Odsunął się. Ujął ją pod brodę, powiedział chrapliwie:

- Nie tutaj. Gdybym cię posiadał w tym miejscu, skorzystałbym po prostu z sytuacji. Chcę, byśmy się kochali w prawdziwym łóżku, tam, gdzie będziemy mogli się sobą nacieszyć.

Przewiał ją zimny wiatr. Pożądał jej, ale to nie stanie się tutaj. Nie teraz. Wyważone czułe słowa przegnały mgłę z jej głowy. Nie tutaj, w łóżku.

Rozejrzała się wokół, przypominając sobie nagle, gdzie są, głupstwo, które popełniła. Zgubiła się z własnej winy, potem ofiarowała mu się w jaskini, jakby nie było innych miejsc.

Zaczerwieniła się i wyswobodziła z jego ramion.

- Zostaw mnie, Rowan. Sama dam sobie radę.

- Oboje wiemy, że kłamiesz. - Wybuchnął krótkim, intensywnym śmiechem.

Karin wstała z podłogi jaskini. Dzięki Bogu nie mógł zobaczyć jej twarzy.

Pragnęła go. Ale jeśli czegoś jeszcze chciała, to tego, by owo uczucie nie opanowało jej bez reszty. Gdyby tak mogła przekonać swoje ciało.

- Czy jesteś w stanie iść? - spytał po chwili.
- Tak - odpowiedziała półgłosem.
- No to chodźmy. Wszyscy chłopcy cię szukają. Nie ma sensu marnować ich czasu. - Zaświecił latarką, podniósł z ziemi jej mokre ubranie i wcisnął do plecaka.
Wysłał ludzi na poszukiwania? W taką noc? Przeprze-si ich później. Ale nie ma mowy, żeby przyznała rację Rowanowi. Zwłaszcza z tym jego „przecież-ci-mówiłem”.
Rowan poprowadził ją ku wyjściu, trzymając za ramię. Kiedy znaleźli się na zewnątrz, Karin odsunęła się. Opuścił rękę, szli dalej w ciszy po wąskiej ścieżce, Karin z tyłu.

O milę od obozowiska napotkali Derricka i Cyrila.

- Hej, hej! - zawołał ten ostatni. - Znalazłeś ją. Dzięki Bogu.

Otoczyli Karin, zarzucili ją pytaniami.

- Derrick - przerwał im Rowan ostrym głosem. - Masz raketnicę?

- Mam.

- No to odpał, do diabła! - nakazał Rowan. - Niech wiedzą, że jest z nami.

Dość już straciliśmy czasu.

Karin usłyszała wystrzał, na niebie wykwitł niebiesko-biały łuk.

- Chodźmy już - warknął Rowan. - Trzeba wrócić do reszty.

Ruszyli w stronę przyczep. Wkrótce dołączyli do nich Paddy, Thorny i Robin.

- Słodki Jezu - wymamrotał Paddy. - Prawie żeśmy się poddali.

Thorny położył jej pocieszająco rękę na ramieniu, kiedy weszli na teren bazy.

- Przyniosę ci coś na rozgrzewkę.

- Wracać do roboty, chłopaki - zarządził Rowan. Odwrócił się do Karin z ponurym wyrazem twarzy. - Czy nie uważasz, że powinnaś pójść do siebie?

Odpowiedziała na jego ostry wzrok dumnym podniesieniem głowy. Rzuciła krótkie „Dobranoc” i odeszła.

Karin opadła na łóżko, zbyt wyczerpana, by wziąć prysznic. Pukanie do drzwi przerwało ciszę.

- Proszę wejść - powiedziała, nie patrząc. Thorny wstawił głowę do środka. - Pomyślałem, że przydałoby ci się coś zjeść. Odgrza-łem trochę rosołu. - Podniósł plastikową przykrywkę. -A tu masz pudding z sokiem na deser. I - dodał, mrugając, podczas gdy wyciągał z kieszeni fartucha piersiówkę -krztynę brandy na lepszy humor.

Uśmiechnęła się Z wdzięcznością.

- Lepszy humor na pewno mi się przyda, ale mam wątpliwości co do brandy.

Thorny opuścił swoje zwaliste ciało na łóżko obok niej.

- Nie przejmuj się Rowanem. On chce dobrze. Czasem jest ostry, ale on tylko udaje obojętność.

- Ja... to była moja wina. Nie powinnam była iść sama, nikogo przedtem nie zawiadamiając. Pokłóciliśmy się wcześniej, a on kazał mi się stąd nie ruszać. - Odwróciła głowę. - Byłam wściekła na niego.

- Wiem o tym, dziewczyno. Wiem więcej, niż ci się wydaje. - Thorny uśmiechnął się i klepnął ją po ramieniu. - Nawet nie domyślasz się, w jakim on był stanie. Myślałem, że nas pozabija, kiedy okazało się, że cię nie upilnowaliśmy.

Karin zadrżała w niebieskie oczy Thorny'ego, ze zmarszczkami w kącikach i odczytała w nich troskę o siebie i szacunek dla Rowana.

- Powiedziałeś mi kiedyś, że gdyby nie Rowan, nie zostałbyś tutaj - powiedziała.

- To prawda.

- Dlaczego? Co miałeś na myśli? Thorny przyglądał siwiejące włosy.

- Opowiem ci, jak zabierzesz się do jedzenia. Karin zdjęła przykrywkę i zaczerpnęła łyżkę rosołu.

- Dorabiałem jako kucharz u Marsdenów, kiedy jeszcze byłem na studiach... studiowałem mechanikę na politechnice - zaczął Thorny. - Rowan był wtedy młodym chłopakiem, włóczył się po okolicy, zaglądał do kuchni, kiedy gotowałem, przychodził do mnie do pokoju, kiedy się uczyłem. Był bardzo samotny i szukał przyjaźni. Zaczęliśmy się kumpłować. - Odgarnął kosmyk z czoła. - Zdałem egzaminy, wyjechałem i przestaliśmy się widywać. Spotkaliśmy się znów osiem lat temu, ale w zupełnie innych okolicznościach. Tym razem to ja potrzebowałem pomocy. Zaszurał butem o podłogę.

- Moja żona i mój syn stracili życie w wypadku na morzu. Byliśmy szczęśliwą rodziną i nagle wszystko się skończyło. Bez śladu. Nigdy nie odnaleziono ich ciał. - Głos Thorny'ego zadrżał. - Znaleźli tylko maszt z *Mary Anne* i nic więcej... - Ucichł, wpatrzył się w podłogę.

Karin przeknęła ślinę, nie chcąc przeszkadzać mu w chwili, gdy znowu przeżywał tragedię. Serce jej się ścisnęło. Thorny ciągnął ściszone głosem.

- ... po tym wszystkim nie potrafiłem niczym się zająć na dłuższą metę. Zmieniałem bez przerwy pracę, zacząłem ostro pić, potem brać narkotyki. Nikt już nie chciał mnie zatrudnić. Stałem na skraju przepaści. I wtedy Rowan zaproponował mi tę robotę. - Zapatrzył się w Karin, wyciągnął przed siebie trzęsące się ręce. - Nie jestem już inżynierem, ale jestem pierwszorzędnym kucharzem. I, dzięki Rowanowi, znów nabrałem do siebie szacunku. Niech go Bóg błogosławi. - Głos znów mu się załamał.

A więc i jego uratował Rowan, pomyślała Karin. Jasne już było, skąd Thorny wiedział o nim tak dużo. Nic dziwnego też, że stali się sobie tacy bliscy. Była zadowolona, że Thorny się zwierzył. Szorstkość Rowana jawiła się jej teraz w innym świetle. Położyła dłoń na jego ręce.

- Tak mi przykro, Thorny.

- Nie musi ci być przykro. - Podniósł się. - Weź gorący prysznic i napij się brandy. Dobrze ci to zrobi. - Zajrzał jej w twarz. - Trzeba będzie założyć opatrunek.

Karin uniosła się, objęła go ramionami i pocałowała w nieogolony policzek.

- Dzięki, że przyszedłeś.

Drzwi otworzyły się nagle i Rowan stanął w progu. - Czy w czymś nie przeszkadzam? - W jego głosie czaiła się jakby groźba.

- Przerwałeś tylko podziękowania od najpiękniejszego inżyniera, jakiego można spotkać - powiedział Thorny, rzucając Karin szybki uśmiech. Zabrał ze stołu tacę i wyszedł.

- O co znów chodzi? - warknął Rowan, gdy drzwi się zamknęły.

Wytrzymała jego świrdujące spojrzenie i westchnęła. Nad wszystkim chciał panować.

- O coś, z czym nie masz nic wspólnego.

- Tak myślałem - odpowiedział - chyba że masz zamiar dołączyć Thorny'ego do listy swoich podbojów.

- Przestań mnie oskarżać - odparła ostro.

- No to nie dawaj mi powodów. A teraz jazda pod prysznic. Przyniosłem opatrunek i maść.

- Zostaw na biurku. Sama się tym zajmę.

- Zaczekam. Wzruszyła ramionami.

- Ty jesteś tu szefem.

Przeszła do łazienki, ściągnęła z siebie dzinsy i skafander Rowana, a potem weszła pod prysznic. Gorąca woda rozgrzała ją natychmiast, twarz, którą poraniła gałąź, zapiekła. Wtarła we włosy szampon, długo je spłukiwała. Ociagała się z wyjściem; obawiała się spojrzeć w twarz Rowanowi. Na pewno był wściekły teraz,

kiedy nic już jej nie groziło. No cóż. Nie będzie się o to martwić. Wytarła się ręcznikiem, naciągnęła przez głowę flanelową koszulę nocną i otworzyła drzwi.

- Nieźle wyglądasz. - Mówił rzeczowo, obrzucając ją jednocześnie wzrokiem, który nie miał nic wspólnego ze złością, jaką jeszcze przed chwilą objawiał. Wcisnął jej w rękę szklankę. - Napij się. - Sam sobie nalał i pociągnął długi łyk.

Usadowiła się na łóżku, podczas gdy on oddzierał ka-wątek gazy z rolki. Podniósł jej głowę ku światłu i odgarnął włosy z policzka.

- Będzie piekło - wymamrotał.

Nasączył alkoholem złożoną gazę i przyłożył ją do policzka. Twarz jej zapłonęła, Karin jęknęła. Czowała, że Rowana cieszy jej cierpienie. Nałożył maść na następny kawałek, przyłożył go do rany i Zakleił końce plastrem. -A teraz do łóżeczka.

Zawahała się.

- Z tym już sobie poradzę.

Niecierpliwym gestem podniósł róg kołdry. Westchnęła i wślizgnęła się pod przykrycie.

- Nie chcę jeszcze spać. - Usiadła, by poprawić poduszkę, a Rowan wyjął ją i ułożył za plecami Karin.

- Chcesz jakąś książkę? - Podeszedł do biblioteczki.

- Nie. Ja... ja... - Głos jej się załamał. Rowan był niczym władczy generał.

- Co znowu? - Stał przy biurku i spojrzał na nią.

- Chcę porozmawiać.

Nie odpowiedział, ale i nie spuszczał z niej oczu. Klębiły się w nich najrozmaitsze emocje. Był na nią zły, że samorzutnie opuściła bazę. Srebrne punkciki w jego tęczęwkach były jak kawałki lodu w morzu wzburzonej szarości. Wiedziała, że jeden głos każe mu odejść, oderwać się od niej, ale w jego wzroku czytało się też i pożądanie. Poczwała w sobie gorąco, które nie miało nic wspólnego z brandy.

Była uparta.

- Nie rozumiem cię.

Ciemne brwi uniosły się do góry.

- Czy to dochodzenie?

- Dla mnie to ważne. - Zignorowała jego sarkastyczny ton.

Obrócił krzesło i usiadł na nim okrakiem, wspierając ręce o oparcie.

- Co chcesz wiedzieć? - Co cię trapi? - Oczy Rowana zaczęły niebezpiecznie ciemnieć. Dorzuciła pospiesznie: - Czy chodzi o mnie? Czy może o coś związanego ze sposobem, w jaki pracuję?

- Nie jesteś czasem przewrażliwiona? - przerwał Karin, patrząc na nią krytycznie.

- Nie! W grę wchodzi moja praca, moje osiągnięcia. -Przeskakiwała z tematu na temat, świadomie unikając najważniejszej kwestii, dlaczego był aż tak zmienny. On zresztą dobrze o tym wiedział. Odetchnęła głęboko i zawahała się, ważąc każde słowo. - A ponadto...

Wychylił się do przodu.

- Nie mam nic do zarzucenia twoim „osiągnięciom”. Skąd wzięła ci się taka myśl? Zauważyłaś chyba, że dałem ci prawie pełną niezależność przy budowie platformy?

- Owszem, ale nie o to mi chodzi. - Spuściła wzrok na kołdrę, ale zaraz podniosła go ku uwodzicielskim oczom pełnym srebrnych błysków. - Chciałam cię spytać...

- Czego naprawdę szukasz, Karin? Co chciałabyś wiedzieć?

- Ja... ja chciałabym wiedzieć, dlaczego mnie nie lubisz -wyrzuciła z siebie. -

Dlaczego...

Złość zniknęła z jego twarzy, zastąpiona czymś w rodzaju rozbawienia. Rumieńce wypłyły na policzki Karin, próbowała znaleźć inne słowa.

- Jeśli rzecz w tym, że wyglądam jak twoja była żona...

- W niczym nie przypominasz Klaudii... - odpowiedział spokojnie. - W niczym.

Spojrzała na niego i siląc się na obojętność zapytała:

- Nie żałujesz, że tak nie jest?

- Nigdy w życiu!

Poczuła, jak zalewa ją fala ulgi. Dzięki Bogu i za to, pomyślała. Ale to jeszcze nie wszystko. Był taki napięty.

- Czy ona też była inżynierem? - nalegała. Potrząsnął przecząco głową.

- Pochodziła z zamożnego domu. Jej ojciec był właścicielem fabryk włókienniczych. Miałem dwadzieścia jeden lat i nie myślałem o studiach, zajmowałem się głównie polowaniami... - Wykrzywił się w uśmiechu, ale jego oczy pozostały poważne. - Spotkałem Klaudię Preston na meczu polo. Miała dziewiętnaście lat. W dwa miesiące później pobraliśmy się. - Jego głos nabrzmiał bólem. Rowan ścisnął szczęki.

- Kiedy minęło pierwsze oczarowanie, dostrzegłem, że nic się za nim nie kryło. Nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego. Klaudia uwielbiała przyjęcia, drogie ubrania i biżuterię. Ja nienawidziłem tego wszystkiego. Zaczęliśmy się od siebie oddalać, gdy zdecydowałem się zrobić coś sensownego ze swoim życiem.

Wychylił szklankę i zapatrzył się w nią, obracając ją w dłoni.

- Skończyłem studia. Kupiłem jaguara i przerobiłem go. - Zaśmiał się ochryple.

- Nie chciała nim jeździć. W tym czasie prawie już ze sobą nie rozmawiali. Zapisałem się na politechnikę, kiedy miałem dwadzieścia trzy lata. Ja uczyłem się, a ona balowała. Czasem wracała do domu, kiedy ja wychodziłem na zajęcia.

Postawił szklankę na biurku, napełnił ją po brzegi i upił łyk.

- Ostrzegałem ją, ale nie zwracała na mnie uwagi. Biegała po przyjęciach, wikłała się w kłamstwa, by wytłumaczyć, dlaczego była wciąż nieobecna, dlaczego nie znajdowała czasu dla mnie, dla nas. W końcu pewnego dnia odeszła. Nie zostawiła nawet słówka, nic. Później dowiedziałem się, że sypiała z większością moich przyjaciół. Wszyscy śmiali się ze mnie za moimi plecami. Zostałem arcyrogaczem. - Zamilkł i zapatrzył się przed siebie.

Karin przygryzła dolną wargę.

- Przykro mi, Rowan.

- Nie ma powodu - odparł. - Mam trzydzieści osiem lat. To wszystko zdarzyło się dawno temu, kiedy głupiozaufałem swojemu sercu. - Podniósł się gwałtownie i odsunął krzesło. - A ja nie mam zamiaru dwa razy popełniać tego samego błędu.

Stał w środkowych drzwiach i powiedział ścisłym głosem.

- To co powiedziałem, nie powinno przeszkodzić nam w zabawie. - Zasunął za sobą drzwi.

Karin zwinęła dłonie w pięści. Dłuższą chwilę wpatrywała się w zamknięte drzwi. Rowan jej pragnął. Może nawet tak mocno jak ona pragnęła jego. Nie mogła jednak seksem nasycić jego pożądanego - albo swojego. Dla niej seks bez uczuć, bez szacunku, wzajemnego zaufania nie istniał. Westchnęła i zgasła lampkę przy łóżku.

Wpatrzyła się w ciemność. Pójście z kimś do łóżka było dla niej czymś więcej niż tylko fizycznym wyładowaniem się. Ileż dałaby za to, by i oh tak czuła!

Rowan zamknął książkę, którą czytał i zgasił światło. Budzik na biurku wskazywał północ. Czuł się potwornie zmęczony, ale sen nie chciał przyjść. Słyszał równy oddech Karin po drugiej stronie, a sam przewracał się z boku na bok i nie mógł nawet zamknąć oczu. Chwilę przedtem zajrzał do jej pokoju i zobaczył, jak śpi przytulona do kota. Patrzył na jej uśpione ciało. Pomyślał, że siniak na jej głowie

rozrośnie się do guza wielkości jajka.

Jeszcze nigdy w życiu nie poczuł takiego przerażenia jak wtedy, gdy wrócił z miasteczka i nie zastał jej w bazie. Durna dziewczynka! Zlekceważyła sobie jego zakaz. Dzięki Bogu, nic się jej nie stało.

Wrócił myślami do tamtej rozmowy. Dziwne, że tak łatwo przyszło mu mówić o Klaudii. Gdyby był uczciwy, musiałby wziąć na siebie większą część odpowiedzialności za rozkład ich małżeństwa. Klaudia nigdy nie udawała, że jest kim innym niż bogatą, całkowicie zepsutą młodą kobietą. On był po prostu zbyt zauroczony, byto dostrzec. A może ludził się, że małżeństwo ją zmieni. Tak się jednak nie stało i pozostało mu tylko wyładowywać złość w pełnych gorzkości oskarżeniach. Nie chciał brać udziału w przyjęciach, które dla niej znaczyły wszystko. Były jeszcze zakupy. No i mężczyźni.

Zaskakujące, że Karin zrozumiała jego ból. Dostrzegł w jej oczach prawdziwe współczucie. Poczł, jak grzeje mu się serce, o którego istnieniu już zapomniał; w jakiejś mierze uśmierzyło to jego pożądanie.

Ale Karin Williams za dużo od niego oczekiwała. Gdyby musiał powiedzieć prawdę, wyznałby, że nie ma już nic do zaoferowania.

11

Karin zwlekła z odejściem od stołu, mimo że śniadanie dobiegło już końca. W przyczepie-stołówce było sucho i przytulnie, ponętnie pachniały świeżo pieczone bułeczki. Derrick, Cyril i reszta załogi dawno już poszli do pracy i tylko Thorny hałasował w kuchni przy myciu naczyń. Ziewnęła i dopiła resztkę letniej herbaty.

Przez ostatnie dwa tygodnie pracowała do późna w nocy nad korektami projektu i ani razu nie spowodowała opóźnienia prac, ani też nie naraziła się na krytykę Rowana. Nie było to łatwe. Przemęczona, nie mogła czasem zebrać myśli i łapała się na tym, że wpatruje się bezmyślnie przed siebie.

Wyjrzała za okno: z ołowianego nieba lał się nieustający deszcz, który obiecywał morze błota. Thorny postawił przed nią parujący kubek herbaty i usiadł naprzeciwko przy własnej herbacie.

- Jak idzie robota? Rowan powiedział mi, że skończyliście już układać podpory. - W jego oczach palila się ciekawość.

- Tak. - Wróciła już myślami do teraźniejszości. - Powiedziałam już, żeby szykowali kratownice. Niedługo zacznie się szalowanie. - Rzuciła okiem na zegarek i westchnęła. - Lepiej już pójdę, zanim Rowan zobaczy, że się objam.

Thorny wsypał łyżeczkę cukru do herbaty.

- Nie ma go. Pojechał rano do Manchesteru po jakiegoś faceta, chyba od ciebie, z Kalifornii.

Serce Karin podskoczyło.

- Geoff Ellis? - Nabrała w usta parzącego płynu skrzywiła się. Do diabła. Wciągnęła zimne powietrze. Jutro będzie bolał ją język.

Zmarszczyła brwi. Nikt jej nie powiedział, że Geoff dzisiaj przyjeżdża. Co prawda niewiele miała okazji do rozmowy z Rowanem na ten temat. Od czasu pamiętnej burzy unikał jej i czasem tylko zaglądał do biura, by zobaczyć, jak sobie daje radę z robotą. Choć dzielili tę samą przyczepę, rzadko wiedziała, czy jest w swym pokoju.

Poza ostatnią nocą.

Było już dobrze po północy, kiedy Karin obudziło skrobanie do drzwi. Pomarańczowy kot należał niby do Rowana, ale kiedy przyjechała, wybrał jej sypialnię.

Karin wysunęła się z ciepłego gniazda pod kołdrą, podeszła na palcach do drzwi i uchyliła je na tyle, by kotka mogła wślizgnąć się do wnętrza. Potem cichutko zasunęła zasuwkę.

Marmolada jednym susem skoczyła na środek łóżka. Karin uśmiechnęła się, przesunęła zwierzątko na bok i znów ułożyła się pod ciepłym przykryciem.

- Gdzie cię diabli nosili. - Głęboki głos Rowana zadudnił po drugiej stronie środkowych drzwi.

Karin podniosła się gwałtownie.

- O czym ty mówisz? - zawołała. - W ogóle się stąd nie ruszałam. Na dodatek spałam już, zanim...

- Gdzie byłaś?

O co mu chodzi? Spuściła stopy na podłogę i w tym momencie drzwi od łazienki otworzyły się z łoskotem. Słowa zamarały jej na wargach.

Stał potężny, wsparty niedbale o framugę, obnażony tors błyszczał w świetle. Na umięśnionej klatce kłębiło się ciemne owłosienie zbiegające się w warkocz znikający w czarnych jedwabnych spodniach od piżamy. Oczy pały mu dziwnym blaskiem.

Karin zmusiła się do uśmiechu.

- Grałam z Derrickiem w szachy do dziewiątej. - Rzuciła okiem na budzik na biurku. - Potem już się stąd nie ruszałam. Wzrok Rowana przeszył ją na wskroś.

- Nie udawaj niewiniątka, Karin. Nie ze mną takie numery. - Ruszył do przodu, potykając się o krzesło, które przewróciło się na podłogę.

Karin jeszcze go nie widziała w takim stanie. Był zniewalający i budził lęk. Skoczyła ku drzwiom. Wyrzucił przed siebie rękę i schwycił ją.

- Nigdzie nie pójdziesz. Nie teraz. - Zakołysał się do tyłu, ciągnąc ją za sobą.

Piersi Karin napotkały twardą ścianę jego torsu. Przestała oddychać i na długą, cudowną chwilę poddała się. Rowan był gorący i pachniał whisky.

Stała nieruchomo, potem odstała do tyłu.

- Piłeś.

- A jakże - wychrypiał. - Postanowiłem się upić.

- To nie jest najlepszy pomysł. Wymamrotał coś niezrozumiałego, znów wyciągnął

ku niej rękę i przewrócił się na podłogę, omal nie rozbijając sobie głowy o róg biurka. Karin przyklękła przy nim i uniosła mu głowę.

- Rowan, słyszysz mnie?

- Doskonale - wybełkotał.

- Rowan, na litość Boską, wstań.

Usiadł, a potem stanął na chwiejnych nogach.

- Połóż mi rękę na ramieniu - nakazała.

Ruszyli niepewnie w stronę jego pokoju. W połowie drogi potknął się. Chwycił się mocniej jej ramienia, poczuła, jak ciepłe palce wędrują po jej skórze. Spojrzał w dół. Wielki Boże, jej szlafrok był całkowicie rozpięty! Zasunęła nerwowo poły.

Dokuśtykali do samego łóżka i Rowan opadł na posłanie. Naciągnęła na niego kołdrę i już chciała odejść, kiedy jego ramiona zwały się wokół niej.

- Karin? Nie odchodź, Karin. Nie... - Wymamrotał coś, czego nie mogła zrozumieć. Próbowała się oswobodzić, ale trzymał ją mocno.

- Rowan, puść mnie. Proszę.

Rowan obrócił głowę, ocierając się o naprężoną sutkę.

- Chcę cię - jęknął, przywierając do miękkiej piersi. Stała się bezwolna, płonąła. Nagle zapragnęła, by nie

ustawał, by uśmierzył tkwiący w niej głęboko ból.

Odwróciła się ku niemu.

Leżał spokojnie, oddychając przy jej gołej skórze, kosztując wilgotnym językiem jej ciała. Piersi zaczęły jej drżeć. A ona chciała jego, chciała, by poszedł dalej, by jej dotykał. Wszędzie. Nie przerywaj, chciała krzyknąć. Nie przerywaj.

Ale on zatrzymał się.

Jakimś cudem nagle wytrzeźwiał, obrócił się na bok i wsparł na łokciu. Spojrzał ku niej wzrokiem ciemnym od emocji.

Strach i jakieś nienazwane uczucie walczyły w nim z pożądaniem. Poczuli, jak się oddala, nim jeszcze otworzył usta.

- Karin - powiedział ochryplym głosem. - Wracaj do łóżka. Już.

Serce w niej zamarło.

- Ale... - Zatchnęła się. Walczyła z kłębiącymi się uczuciami.

W jego głosie rozbrzmiał proszący ton.

- Trochę wypilem, Karin. Whisky, najpierw z Thor-nym, a potem sam, w pokoju. Za dużo tego było jak na mnie. Nie zostawaj tutaj... to nie... - Obrócił się ku ścianie.

- To nie co? Jęknął.

- To nie jest właściwe. Jeszcze nie. Chcę być całkowicie trzeźwy, kiedy będziemy się kochać.

Drżąc, pochyliła się nad nim; czuła ćmienie w brzuchu. On dobrze wie, co się ze mną dzieje, pomyślała. Wie, że go pragnę. Następnym razem... Na Boga, co ona zrobi następnym razem? Odsunęła się i szybko zgasła światło, by uniknąć jego wzroku.

Już w drzwiach odwróciła się i spojrzała na łóżko, gdzie leżał z ramieniem zarzuconym za głowę, oddychając głęboko i nierówno. Serce Karin tłukło się głośno w ciemnościach. Znalazła drogę do łóżka i zwinęła się w ciasny kłębek pod kołdrą. Uwiła sobie w końcu ciepłe gniazdko, ale sen nie nadchodził.

Karin upiła ostrożnie kolejny łyk.

- Thorny, czy Rowan mówił ci, kiedy wraca?

- Późnym popołudniem - odrzekł kucharz. - Powiedział, że zostawił ci instrukcje w biurze. Jeśli potrzebujesz pomocy...

- Nie - odparła wstając. - Dam sobie ze wszystkim radę. Ze wszystkim poza wszystkowiedzącym panem Ellisem, pomyślała.

- Dzięki za herbatę, Thorny.

Zebrała ze stołu talerze i zaniosiła je do kuchni, a potem zeszła zamyślona po schodkach i ruszyła w kierunku biura.

Na kreślarskiej desce znalazła notkę z typową dla Rowana bazgraniną. Informował w niej, że jedzie po Ellisa do Manchesteru i że znalazł mu już miejsce w jednej z przyczep. Pytał też, jaką część projektu gotowa była oddać Geoffowi...

Poczuli, jak zalewa ją złość. Wspaniale! Nie: w której części projektu Geoff ma jej pomóc, tylko: którą część projektu mu odda.

Przerzuciła fiszki w szufladzie biurka, wyjęła obliczenia dotyczące głównej platformy i rzuciła je na szary blat biurka. Niech sobie bierze. Wszystko co dotyczyło obciążeń, już zrobiła. „Nawet gdyby chciał, to nie spieprzy mi już projektu”, mruknęła.

Zawahała się. Czy aby czasem nie przesadza? W końcu Geoff nie narobił żadnych szkód u Dalkeya i Williama. Nie zrobił też niczego wyjątkowego. Jakoś się zawszewywijał. Zawsze wsadzał nos w jej projekty i wiedziała, że dybie na jej posadę.

W południe wyjrzała na zewnątrz. Ściana deszczu zasłaniała sosny - pierwszy raz tak padało od jej pamiętnej wyprawy w góry. Przeszedł ją dreszcz. Gdyby Rowan nie znał wszystkich ścieżek...

Wiatr zawył i wstrząsnął małą przyczepą. Chwyciła za gałkę u drzwi i ta omal

nie została jej w ręku przy następnym podmuchu. Zatrzasnęła drzwi. Burze nie przynosiły jej szczęścia.

Karen burczało już w brzuchu, ale postanowiła odczekać, aż nieco się rozjaśni przed kolacją. Thorny na ogół odkładał jej porcję, jeżeli nie pojawiała się na czas.

Usiadła z powrotem na stołku i zabrała się za dalsze szkicowanie pokrycia. Diamentowa płyta będzie odpowiednia i zapobiegnie poślizgom, zgodnie z wymogami Rowana. Próbowwała skupić się na pracy, ale wiatr tłukł deszczem o ścianę przyczepy. Myślami była gdzie indziej.

Rowan był zimny na zewnątrz, ale to tylko chroniąca go fasada. Czy było możliwe, że za tą wyniosłością kryje się serce równie wrażliwe jak jej?

Zresztą wrażliwość ta nie dotyczy tylko serca, pomyślała. Pod warstwą brawury wyczuwała smutek i ból. Intrygowało ją to, przyciągało do niego jak ćmę do płomienia. Co jeszcze zdarzyło się w jego życiu? To z powodu byłej żony nie chciał dopuścić kobiet do pracy w bazie. Nic dziwnego, że był przeciwny jej przyjazdowi.

Ale teraz zaczęły działać między nimi siły przyciągania. Piersi Karin zaczęły się przeżyć na samo wspomnienie gorących rąk na jej ciele, jego palców pobudzających ją owej nocy w jaskini. A ostatniej nocy...

Ołówek wypadł jej z ręki i stoczył się do szuflady. Zapominała o jego chłodzie i obojętności, gdy tylko objawiał swoje prawdziwe ja.

Co miała robić? Jak tu spać spokojnie, kiedy dzieli ichtylko cienkie przepierzenie z płyty pilśniowej? Mniejsza jednak o ściankę, prawdziwą przeszkodą była barykada, jaką wznosił wokół swojego serca. Wiele wskazywało na to, że nic się już między nimi nie zdarzy.

O piątej Karin przestała udawać, że pracuje, zakryła kreślarską deskę i narzuciła na siebie żółty deszczowiec z kapturem. Puściła się pędem przez polanę; zdążyła zauważyć, że czerwony jaguar Rowana stoi na swoim miejscu przy drzewach.

Już wrócił.

W pokoju nałożyła na policzki odrobinę koloru, potem wciągnęła przez głowę kremowy wełniany sweter i przyczesła gęste włosy. Przed samym wyjściem cofnęła się do łazienki i pociągnęła błyszczkiem naturalnie różane wargi.

Stołówka cała się trzęsła od kroków wchodzących po schodkach mężczyzn, którym Rowan wręczał zamówione sprawunki i listy. Geoff Ellis siedział u końca stołu. Wyglądał starzej o dziesięć lat. Pod oczami miał czarne cienie, sieć czerwonych żyłek pokrywała mu nos i zapadłe policzki. Skinął jej głową, kiedy weszła do środka.

Rowan wcisnął jej w rękę szarą kopertę.

- To z domu? - zapytał uprzejmie.

Przyjrzała się starannie wykaligrafowanemu pismu. Atena. Kiwnęła głową i spojrzała w stronę Geoffa. Wyglądał strasznie. Śmierć żony dotknęła go w znacznie większym stopniu, niż przypuszczała.

Geoff wyciągnął papierosa z pomiętej paczki i zapalił go od niedopałka, który wciąż trzymał w ręku. Potem podniósł się i podszedł do niej powłócząc nogami.

- Karin - powiedział trzęsącym się głosem. Przyciągnął ją wolną ręką i wycisnął na jej policzku mokry pocałunek. Jechało od niego whisky.

Odsunęła się, nie mogąc opanować niechęci.

- Cześć, Geoff.

- Jeśli dobrze rozumiem, będziemy razem pracować. - Geoff dmuchnął w górę papierosowym dymem. - Jak za dawnych dobrych lat.

Nie, gdyby to ode mnie zależało, pomyślała. Zmarszczyła brwi patrząc na papierosa.

- Czy mógłbyś go zgasić? Nie wolno nam palić w bazie. Wydał wargi.

- Do diabła! No trudno. - Z nadaśaną miną przysunął do siebie kubek z herbatą

i wrzucił doń papierosa.

Rowan odciągnął ją na bok.

- Bądź dla niego miła. Przechodzi ciężkie chwile. - Mówił zwięźle, twarz miał posępną.

Uśmiechnęła się ostrożnie.

- Bardzo mu współczuję z powodu tragedii - powiedziała cicho. - Nie mogę natomiast zaakceptować jego metod pracy ani tego, że usiłuje zagarnąć mi moją robotę.

Usta Rowana zwały się.

- Zachowujesz się jak dziecko.

- A ty jesteś arogancki. Raz jeszcze.

Obróciła się na pięcie i wróciła do stołu, zostawiając go samego w drzwiach.

Opadła na krzesło, które podsunął jej Derrick.

Rowan spojrział na nią spode łba, potem usiadł u końca stołu, obok Geoffa.

Po kolacji Karin przyjęła szachowe wyzwanie Derricka, podczas gdy Rowan wyszedł z Geoffem, by pokazać mu, gdzie ma złożyć bagaże.

W godzinę później laufer Karin zmiótł z szachownicy pionka broniącego króla Derricka i Karin z rozbawieniem przyglądała się, jak Derrick obraca w palcach ostatniego skoczka, niepomny na całkowicie odsłonięty bok.

Rowan wrócił do stołówki, przeszedł do kuchni i wyszedł po chwili z piwem w ręku.

- Gdybyś nie był głupi, to byś przesunął króla - upomniał Derricka, zerkając na szachownicę. Na sekundę podniósł oczy i zmierzył się wzrokiem z Karin. Derrick poczerwieniał i szybko przestawił królewską figurę w bezpieczniejsze miejsce.

Karin zacisnęła usta i skupiła się na grze. W dwa ruchy później zagnała bezradnego króla w róg bez wyjścia.

- Rewanż? - spytał Derrick, spoglądając na nią brązowymi, pełnymi nadziei oczyma.

- Jutro wcześniej wstaję. Innym razem. - Podniosła się i pożegnała z Derrickiem. Spojrzała wyzywająco na Rowana i wyszła szybkim krokiem.

Następnego ranka Karin wstała przed świtem i włożyła zielone sztruksy i ciepły, wełniany sweter. Pobiegła do stołówki czując klucie zimnego powietrza. W kuchni nie było nikogo; postawiła czajnik na gazie, a potem naląła wodę do kubka. Wsypała łyżeczkę neski z puszki i, trzymając w ręku kubek z kawą, wyszła się przejść.

Ziemia nasączona była wilgocią po wczorajszym deszczu, ale powietrze było czyste i świeże. Dno doliny zakrywały pierzaste białe chmurki, pale ogrodzenia wystawały z mgły i znikwały w chmurach. Szczyty gór na zachodzie wyglądały jak czarne wysepki w białym morzu. Sielski krajobraz kontrastował ze wzburzonymi myślami Karin.

Platforma wkrótce będzie gotowa, a ona wróci do Kalifornii i swojej pracy. I samotności. Myśl o opuszczeniu Anglii - i Rowana, przyznała z nieoczekiwaną męką - sprawiła, że poczuła się prawie osierocona.

Karin spojrzała przed siebie. Góry stały przed nią dzikie i piękne ze swymi omiecionymi wiatrami szczytami i małymi jeziorkami w zielonych dolinach. To był świat Rowana, kraina równie wyjątkowa i nieujarzmiona jak on sam. I prawie tak samo fascynująca. Pobiegła wzrokiem ku przepaści.

Nagle wydało się jej, że nie jest sama.

- Małe sam na sam? - zapytał Rowan, wyłaniając się obok niej jak spod ziemi.

Wystraszona nagłym pojawieniem się mężczyzny, mimo-wolnie zapatrzyła się w pięknie rzeźbione rysy jego twarzy. Górował nad nią, włosy miał zmierzwiłone, wyglądał, jakby ubrał się w pośpiechu. Miał na sobie świeżo wypraną koszulę i dzinsy,

bił od niego czysty zapach pizma i sosny. Na ramiona zarzucił czerwono-niebieski pled z madrasu, w wycięciu którego widać było czarne owłosienie podchodzące pod szyję. Znowu poczuła się przytłoczona jego siłą.

Pełne srebrzystych malutkich błysków oczy błyszcząły prowokująco w półświatle.

- Wcześniej wstałaś, Karin. Spojrzała na zegarek.
- Właśnie miałam wracać.
- Zostań. - Powstrzymał ją. - Chcę z tobą porozmawiać.

Zesztywniała.

- Co znowu zrobiłam?
- Nie chodzi o to, co zrobiłaś - powiedział sucho - a o to, co możesz zrobić.
- Jeśli mówisz o Geoffie - wyrzuciła z siebie - to strata czasu. Zdaję sobie

doskonale sprawę z jego sytuacji i dopilnuję, by przejął część moich obowiązków. - Wylała resztkę kawy na ziemię. - Ale prędzej mnie szlag trafi, nim zacznę go niańczyć. - Od napięcia ochrypl jej głos.

Rowan patrzył jak przedtem, nie reagując. Zdawał się nie zauważać jej wybuchu. Byłby dobrym graczem w pokera, pomyślała, zazdroszcząc mu trochę sztuki opanowywania się.

- Nie lubisz go, co? - przemówił w końcu. - Nie.
- Możesz mi powiedzieć dlaczego?

- Nie. Ja... ach... to są osobiste sprawy. - Nie miała zamiaru poniżać siebie ani Geoffa, choćby nawet na to zasługiwał. Odwróciła się, żeby odejść.

- Nie tak szybko. - Chwycił ją za ramię i obrócił. - Jeszcze nie skończyłem. Patrzył na nią z góry płonącymi oczyma.

Nagle usta wykrzywił mu dziwny uśmiech i przyciągnął ją do siebie, szukając jej ust. Pocałunek, który zaczął się delikatnym pocieraniem warg, przerodził się w wybuch namietności. Rozwarł jej wargi głodnymi, władczymi ustami.

Mogłaby mu ulec, zakochać się w nim bez pamięci. A to byłoby najniebezpieczniejszą rzeczą, jaką mogłaby zrobić. On nie odwzajemniłby jej uczuć. Chciał tylko przelotnego romansu. Szybkiej miłości gdzieś na sianie. Prawie przestała oddychać.

- Wiem, że mnie pragniesz, Karin - wyszeptał tuż przy jej ustach. - Powiedz mi to.

Jego słowa paliły jak ogień. Pragnęła go? Tak, chciała go, ale... chciała czegoś więcej niż samego seksu. Wyzwolili się z uścisku.

- Ty to powiedz, Rowan - rzekła/powoli. - Powiedz to. Powiedz, że mnie pragniesz, że...

- Przecież już to wiesz - wyszeptał. - Nie muszę ci chyba tego mówić, nieprawdaz? - Pochylił się ku niej, oczy miał ciemne i rozumiejące.

- Tak, ale nie to miałam na myśli. Chciałabym, żebyś... - Przerwała. Jego twarz pokrywała maska. - A idź do diabła! - Wróciła do przyczepy.

Ten człowiek doprowadzał ją do kresu wytrzymałości. Z jednej strony najwyraźniej jej pragnął, a z drugiej nie pozwalał sobie na najmniejsze zaangażowanie. Dla niego nie istniał żaden związek; szukał partnerki zainteresowanej samym seksem.

Ona jednak chciała czegoś więcej. Była już tego pewna. Mógłby się z nią przespać i ją porzucić, ale gdyby tylko się do niego zbliżyła, złamałby jej serce. Teraz ona bała się zaangażowania. Chciała więcej, niż on mógł jej dać.

Tydzień zdawał się nie mieć końca. Karin przydzieliła zadania Geoffowi, ale ten narzucał się przy każdej okazji. Odpowiadała na jego pytania najgrzeczniej, jak umiała. Któregoś dnia Rowan wpadł, by wyjaśnić Geoffowi pewne problemy techniczne; wdali się w dyskusję i Rowan z wyraźnym zainteresowaniem wysłuchał uwag Geoffa na

temat projektu. Karin miała ochotę powiedzieć im, żeby przejęli po prostu od niej pracę i zapewнили sobie święty spokój. Nie chciała jednak, by oskarżono ją, że nie wywiązała się z zadania i zdecydowała się nie reagować. Była coś winna Leonardowi. Nie miała jednak zamiaru grać roli bezbronnej owieczki. Musiała też dbać o siebie.

W połowie tygodnia matka zadzwoniła z Ripon. Ślub, krótka ceremonia w biurze sędziego Thompsona, odbył się gładko i młoda para wyruszyła w podróż poślubną do Yorkshire. Czy nie mogliby spotkać się w sobotę na kolacji w Cairnbeck?

Mimo jej sprzeciwów Rowan uparł się, że odwiezie ją do hotelu. Zajechali na miejsce o siódmej i poszli prosto do restauracji, całej w ciemnym drewnie i szklach. W kącie przy kominku siedziała na wózku Atena, a przy niej Leonard.

- Mamo! - Karin pocałowała ją w policzek. - Wyglądasz wspaniale.

Piękna w każdych okolicznościach, Atena promieniowała teraz wewnętrznym światłem. Na wpół świadomie obracała na przegubie dużą złotą bransoletkę.

Leonard podniósł się, gdy za Karin pojawił się Rowan.

- Pan Marsden, jeśli się nie mylę. - Wyciągnął rękę. - Jestem Dalkey.

- Dalkey - powtórzył pod nosem Rowan, chwytając wyciągniętą dłoń i kiwając głową. - Pani zaś jest panią Dalkey? Karin nie potrafiła pani docenić w swej opowieści.

Karin odwróciła się gwałtownie. Nigdy nie opisywała matki Rowanowi, powiedziała mu tylko, że przyjeżdża do Anglii. Czy zaczynał już ją emablować?

Atena zaśmiała się. Karin uśmiechnęła się z wysiłkiem i położyła rękę w ochronnym geście na ramieniu matki.

- Dziękuję za podwiezienie - powiedziała wymownie do Rowana.

Atena spojrzała na niego.

- Bardzo to miło z pańskiej strony. Z uśmiechem obróciła się do męża.

- Nie zostanie pan z nami? - zapytał nagle Leonard. - Chciałbym zasięgnąć pańskiej rady w pewnej kwestii.

Serce Karin zatrzymało się.

- Nie ma sprawy. - Rowan rzucił jej spojrzenie tyleż grzeczne, co ostrzegawcze. - Będzie mi bardzo miło.

- Proszę - zwrócił się do Karin jedwabistym głosem. Podprowadził ją do miejsca obok Leonarda, sam usiadł przy Atenie.

- Państwo przyjechali na wakacje? - spytał Rowan.

- Coś w tym rodzaju. Właściwie to nasza podróż poślubna. Chyba pan zresztą już o tym wie od Leonarda. - Atena spojrzała poprzez stół ku mężowi.

- Mówił coś o ślubie podczas naszej ostatniej rozmowy. Leonard pogłaskał dłoń Ateny.

- Myślałem o tym, żeby pokazać Ate... żonie kraj, gdzie wyrosłem - powiedział z dumą. - Ma słabość do zamków.

Karin patrzyła, jak oczy Rowana wracają do matki.

- Karin mówiła mi, że pani maluje - powiedział. - Projektuje pani okładki, prawda?

Leonard wtrącił się rozpromieniony.

- Projektuje okładki do powieści. Pięknie to robi. Atena spojrzała na Leonarda, później na Rowana.

- Oczywiście przesadza. Ale to prawda. W tej chwili pracuję dla wydawnictwa Columbine i szukam średniowiecznego dworku, żeby go sfotografować.

Rowan popatrzył ciepło na Atenę.

- Znam miejsce, jakiego pani szuka. Jeśli nie ma pani żadnych planów na jutro, może zechciałaby je pani obejrzyć?

O czym on do licha mówi? zdziwiła się Karin. Wie przecież doskonale, że jutro mają wzniesć pierwszą antenę.

Atena schwyciła dłoń męża.

- Leonardzie, co ty na to?

- Nie widzę żadnych przeszkód - odparł wesołym tonem. Karin wyczytała zadowolenie w oczach Rowana.

- Świetnie. Poczynię niezbędne przygotowania.

- A... gdzie jest ten dom? - spytał Leonard.

- W Knaresborough.

O nie, jęknęła Karin w duchu. Obraz posiadłości Marsdenów mignął jej przed oczyma. Przecież ich tam nie zawiezie. A jeśli to zrobi? Poprawiła się na twardym krześle. Choć bardzo była zadowolona z wizyty u Marsdenów, nie chciała spędzić z nimi kolejnego popołudnia, nie chciała ich nadmiernie polubić.

- A niech to. Wyrosłem przecież w tych okolicach. - Leonard podrapał się z namysłem w głowę. - Pamiętam piękną posiadłość nad rzeką. Kiedyś wdrapałem się na mur, żeby narwać sobie jabłek. Była tam wspiana kaplica z witrażami.

- O tym właśnie mówię.

- Zna pan właściciela?

- Nie najgorzej. - Rowan wykrzywił twarz w uśmiechu.

- Mamo - wtrąciła się Karin - ta posiadłość jest własnością jego rodziców.

Rowan podniósł się.

- Przepraszam, pójde zadzwonić.

Kiedy odszedł, Leonard nachylił się do Karin i wyszeptał:

- Jak ci się wiedzie z Geoffem?

- Jako tako.

- Przykro mi, że cię o to pytam, Karin. Wiem, że Geoff potrafi być trudny.

Uśmiechnął się, w oczach miał coś ciepłego, ale krył się w nich smutek. Karin poczuła ulgę. Leonard zawszetroszczył się o swych pracowników. Coś jakby wyrzuty sumienia ukłuły ją w serce.

Leonard ciągnął dalej, wciąż z uśmiechem.

- W głębi duszy Geoff nie jest złym chłopakiem. Jeśli ktokolwiek może mu pomóc, to właśnie ty. - Wskazał głową w stronę, w którą oddalił się Rowan. - Przystojny facet. Słyszałem, że ma bogatą rodzinę.

- Rowan nie chce po nich dziedziczyć. Powiedział, że chce osiągnąć coś w życiu bez pomocy ich pieniędzy.

- Nie sądzisz, że to głupio z jego strony?

- Wręcz przeciwnie! Uważam, że to... szlachetne. - Karin zaczerwieniła się, zdając sobie sprawę z tego, jak bardzo broni Rowana.

- O czym wy znów plotkujecie? - wtrąciła się Atena.

- O niczym - mruknęła Karin. - Zawodowe sprawy.

- Mam wrażenie - Leonard roześmiał się - że w twojej córce dojrzewają uczucia do... wszystkiego *co* angielskie. I wcale jej za to nie winię. - Rzucił Karin porozumiewawcze spojrzenie.

- To chyba genetyczne. - Atena mrugnęła do niego konspiracyjnie.

- Mamo, na miłość boską! Rowan wrócił z zadowoloną miną.

- Załatwiłem transport. Bądźcie gotowi na dziesiątą. Odwrócił się do Karin. -

Coś jeszcze. Matka prosiła, żebyś też przyjechała.

Serce ruszyło jej galopem na widok jego bezradnych oczu. Chciała go zapytać, czy to był właściwie pomysł: jego czy matki? Ale wymamrotała tylko:

- Dobrze. Będę gotowa.

Następnego dnia, parę minut po dwunastej zajechali przed dom Marsdenów. Rowan, Leonard i Atena ruszyli na zwiedzanie posiadłości i Karin została z tyłu z państwem Marsden. Rowan pchał wózek po wyłożonej pły-tami ścieżce, zabawiając

jednocześnie Atenę i Leonarda rozmaitymi dykteryjkami. Mój Boże, jakże ten człowiek potrafi być czarujący, jeśli tylko zechce, pomyślała Karin. A na dodatek wyglądał, jakby szczerze się bawił.

Gdy ścieżka urwała się, Rowan wziął Atenę w swoje potężne ramiona i poniósł ją przez miękką, soczystą trawę. Leonard przepchał wózek przez trawnik. Zagadnął o coś Rowana, ale słowa zagłuszył perlisty śmiech Ateny, akompaniujący śpiewom ptaków.

Zatrzymali się przed ogrodzeniem okalającym niewielką kamienną budowlę, Rowan otworzył furtkę, a potem ostrożnie usadowił Atenę na wózku, który podsunął Leonard. Obaj mężczyźni stanęli z boku, czekając, aż Atena zrobi zdjęcia.

Przypatrując się z daleka scenie, Karin prawie przestała oddychać. Rowan dalej sprawował nad wszystkim kontrolę, ale był zarazem tak miły, tak uważający. Czy innych też tak oprowadzał? Inne kobiety? Kochanki? odezwał się w niej cichy głos. Czy był wobec nich równie czuły i troskliwy, gdy szedł z nimi do łóżka?

Poczuła przenikliwe zimno. Ile kobiet przewinęło się przez jego łóżko? Nagle zaschło jej w ustach i zawróciła w kierunku dworku.

Podczas podwieczorku Rowan dalej okazywał Atenie względy, a to sugerując ciekawe ujęcia fotograficzne, a to zadając wnikliwe pytania na temat rynku wydawniczego. Od czasu do czasu spoglądał ukradkiem na Karin, ale gdy tylko ich oczy spotykały się, natychmiast odwracał się do Leonarda lub Ateny i ciągnął dalej rozmowę.

A niech go licho! Ręka jej zdrząła i herbataomal nie przelała się przez brzeg talerzyka wprost na elegancki stół pokryty materiałem w kolorze wina. Rowan obdarzył ją niewyraźnym uśmiechem i ponownie zwrócił się do Ateny.

- Jeśli panią to interesuje, mamy tu też stylowe stajniez siedemnastego wieku. - Zakołysał lekko filiżanką, zwierając smukłe palce wokół delikatnej porcelany.

- Mam tu wartego grzechu Wordswortha i oryginalnego Malory'ego - powiedział Arthur Marsden do Karin. Ich oczy spotkały się.

- Mój syn bardzo przejmuje się rolą przewodnika - wyszeptał z uśmiechem. - Chodźmy, warto je zobaczyć.

Karin podążyła za panem Marsdenem do biblioteki, zostawiając Leonarda i matkę pograżonych w rozmowie z Rowanem.

- Muszę ci powinszować, dziewczyno. Od dawna nie widzieliśmy Rowana w tak dobrej formie. - Pan Marsden spojrział na nią z miłym uśmiechem na bladej twarzy. -Przez lata nie mogliśmy znaleźć wspólnego języka. Dopiero ostatnio zaczął przejawiać zainteresowanie starą posiadłością. - Starszy pan Marsden popatrzył na nią uważnie. -Mam wrażenie, moja droga, że to po części twoja zasługa.

Karin zawahała się.

- Ja tylko dla niego pracuję. Nie mam z nim żadnych kontaktów poza pracą.

- To wielka szkoda, bo moim zdaniem mogłabyś wiele zrobić, by mu pomóc.

Nie żyje mu się łatwo od czasu... od czasu kiedy jest sam.

- Panie Marsden, nie sędzę, aby... Starszy pan uśmiechnął się do niej smutno.

- Może to i tylko starcza paplanina, ale upieram się, że możesz - już tak się dzieje! - zrobić dużo dobrego dla mojego syna. Jeśli nie zaprzestaniesz, będę ogromnie wdzięczny.

Pan Marsden zatrzymał się przed dwuskrzydłowymi drzwiami, pchnął jedno ze skrzydeł i odstał na bok, by przepuścić Karin.

- Chcę ci pokazać moją prywatną kolekcję. Jedna tylko jeszcze rzecz, nim wejdziemy. Niech to, co powiedziałem, zostanie między nami.

Przez resztę dnia Karin obserwowała Rowana i powtarzała sobie słowa jego ojca. Gdyby tak on zachowywał się wobec niej... Rzuciła okiem na Leonarda, który

pochylał się uważnie nad jej matką. Mój Boże, pomyślała z rozpaczą. Gdyby tylko Rowan troszczył się o nią tak jak Leonard o jej matkę.

Późnym popołudniem zasiedli w bawialni. Atena zwróciła się do pani Marsden.

- Spędziliśmy z Leonardem cudowny dzień. Tak jesteśmy państwu wdzięczni.

- Droga pani - pani Marsden uśmiechnęła się - cała przyjemność po naszej stronie. Było nam bardzo miło móc państwa poznać i szczęśliwi jesteśmy, że znów zobaczyliśmy Karin.

Atena odwróciła się do Rowana.

- Mam wszystkie zdjęcia, jakich potrzebuję. Wielkie dzięki za pomoc. To niezwykle piękna posiadłość. A już kaplica to prawdziwa perła. Przeniosła wzrok na Karin. - Nie zgadzasz się ze mną?

- Nie widziałam. - Głos Karin zabrzmiał ponuro. - Kiedy byliśmy tu ostatnim razem, spieszyliśmy się, żeby wrócić do bazy.

Rozbrzmiały za nią kroki Rowana.

- Teraz się nie spieszymy - powiedział. - Chodź ze mną, jeśli cię to interesuje.

Karin rzuciła okiem na starszego pana Marsdena, który skinął głową. Poszli brukowaną alejką na tyłach domu, wzdłuż muru. Wyłoniła się przed nimi kaplica otoczona wysokim, starannie przystrzyżonym żywopłotem z ligustru. Stare, zaokrąglone na szczycie kamienne nagrobki chyliły się ku ziemi na maleńkim cmentarzyku, rozjaśnione słońcem ostrołukowe okno nad ołtarzem zdawało się żyć czerwienią, niebieskością i zielonością. W zagłębieniu grubej, kamiennej ściany, zaraz za dębowymi drzwiami, kryła się chrzcielnica.

- Czy to katolicka kaplica? - spytała Karin. - Myślałam, że żadna nie przeżyła Henryka VIII. - Większość istotnie znikła, ale kilka liczących się rodzin dochowało wierności Kościołowi Świętej Marii Panny. W wielu domach odprawiano po kryjomu msze. Kaplica służy naszej rodzinie od dobrych sześciuset lat.

Wprowadził ją do środka.

- Kiedy tylko skończyłem studia, zaraz przystąpiłem do renowacji wnętrza. Zobacz, jak trudno odróżnić stare od nowego. - Wskazał palcem ołtarz zbudowany z ciężkiego ciemnego dębu i na stół przykryty ręcznie haftowaną serwetą.

Rowan wszedł na stopień.

- Drewno na ołtarz pochodzi z wraku statku, który rozbił się u wybrzeży Grimsby. Całe urzeźbienie to dzieło rzemieślników z epoki mego pradziadka.

- Piękna robota - powiedziała. - I co za obrus.

- To ślubny prezent od dziadków dla moich rodziców.

- Tutaj? Skinął głową.

- Wszystkie śluby i chrzty w mojej rodzinie odbywały się właśnie tutaj.

- Ty też tu brałaś ślub? - Serce Karin podskoczyło. Przybrał nieprzeniknioną minę.

- Nie, nie tutaj. - Odwrócił się nieco od niej. - Mimo całego zauroczenia myślę, że zawsze wiedziałem, że ona... - Zwrócił się ku Karin, wzrok miał ciemny, intensywny. - Ożenić się z nią w tym miejscu byłoby... byłoby świętokradztwem. - Urwał raptownie, jego głos odbił się echem w pustej kaplicy.

Karin otworzyła usta, żeby coś powiedzieć i przejechała językiem po wysuszonych wargach. Nagle zapragnęła go dotknąć, pogłodzić po włosach jak małego chłopca. Wysunęła rękę w jego stronę.

- Nie - powiedział, odsuwając się. - Nie zniosę twojej litości. Ale jeśli chcesz dotknąć mnie z innego powodu - wyszeptał - to nie jest to właściwy moment ani właściwe miejsce.

Dzień chylił się już ku wieczorowi, kiedy dojechali do Cairnbeck, Przez dobrych pięćdziesiąt mil Karin przysłuchiwała się ożywionej konwersacji, jaką Rowan wiódł z Leonardem i Ateną, słuchała cichej melodii słów przepływających między mężem i żoną, którzy siedzieli z tyłu i rozgrzewała się pod szybkimi spojrzeniami Rowana. Zdawał się rozbierać ją wzrokiem. Piersi Karin przeżyły się pod koszulą. Czula się jak wędrowiec na pustyni, który trafia wreszcie na oazę, ale nie wolno mu tam pić wody. Dzięki Bogu, było już ciemno i Leonard i Atena nie mogli dostrzec wyrazu twarzy Karin ani odczytać jej myśli.

Stanęli pod hotelem i Karin uściskała Atenę i Leonarda.

- Bawcie się dobrze w Szkocji.

Rowan podniósł maskę i wciągnął Leonarda w ostatnią rozmowę, a Karin przysiadła się do matki.

- Taka jestem szczęśliwa, że ci dobrze, mamó. Teraz naprawdę widzę, że ty i Leonard powinniście być razem.

- Tak. To prawda. - Oczy Ateny rozbłysły. - Ty też powinnaś. - Spojrzała na Rowana, który pokazywał akurat coś Leonardowi w silniku jaguara. - Podoba mi się ten twój Rowan. Bardzo go lubię.

Karin odgarnęła niecierpliwym gestem kosmyk włosów z czoła.

- Mamó, to nie jest „mój” Rowan. Ja tylko dla niego pracuję.

Atena spojrzała jej prosto w oczy.

- Może to tak dla ciebie wygląda, ale zaręczam ci, że ten facet kocha się w tobie.

147- Oszalałaś, mamó. Rowan nie wierzy w miłość.

- Wytłumacz mi więc, kochanie - ciągnęła dalej Atena rzeczowym głosem - dlaczego cały dzień tak się starał, by wyrzucić na mnie jak najlepsze wrażenie? Wiem, jak zachowuje się zakochany mężczyzna.

Świat zawirował w głowie Karin. Czyżby rzeczywiście tak było?

Nagle zadudnił przy nich głos Leonarda.

- Czas zwierzeń, co? - Oparł się o drzwiczki, patrzył na obie panie ciepłym wzrokiem. - Twojej matce bardzo tego brakuje.

Karin wysiadła z samochodu i objęła ojczyma.

- Wygląda na to, że przy tobie niczego jej nie brakuje.

- Staram się. - Leonard uśmiechnął się. Chwytał dłoń Rowana. - Miło mi było pana poznać, panie Marsden. Porozmawiamy jeszcze o pańskiej propozycji.

- Będziemy w kontakcie. - Rowan spojrzał na Karin. - Gotowa?

Skinęła głową i obróciła się do matki.

- Życzę ci szczęśliwej podróży poślubnej, mamó. Wpadła w otwarte ramiona Leonarda i cmoknęła go w policzek. - Tobie też. - Raz jeszcze objęła mocno matkę. - Dziękuję ci za... wszystko - wyszeptęła.

Kiedy wsiadła do jaguara Rowana, miała wrażenie, że wszystkie nerwy jej wibrują. Jeśli tylko mnie dotknie, chyba się rozlecę, pomyślała. Jeżeli Rowan ją kocha, jak to sugerowała Atena, jakże będzie mogła dokończyć pracę, nie angażując się uczuciowo? Zalała ją fala gorąca. Kogo miała oszukiwać? Przecież już się zaangażowała.

- Twoja matka to niezwykła kobieta - powiedział Rowan, podczas gdy samochód piął się pod górę.

- Tak - odparła Karin. - Atena to nieprzeciętna kobieta. Tyle w niej ciepła i

odwagi.

- I czegoś jeszcze - powiedział Rowan ochryplym głosem.

- Tak? - Karin spojrzała na niego. Palce pobieleły mu, gdy ścisnęła kierownicę. - Ma w sobie miłość.

Zdumiona Karin wpatrzyła się w jego profil. Nigdy jeszcze nie widziała go w tak melancholijnym nastroju.

Wielki Boże, może Atena miała rację. Mimo udawania Rowan też wydawał się zaangażowany. Puls zaczął jej szybko bić u nasady szyi. No dobrze, przyznała, jest. Ale to nie znaczy, że gotów jest cokolwiek z tym zrobić, to nie znaczy, że chce się do czegoś zobowiązać.

Odwróciła się w stronę okna, za którym błyskały światła w dolinie.

- Karin - zagadnął ją Geoff w tydzień później. - Muszę z tobą porozmawiać.

- Jestem do twojej dyspozycji.

- To rzecz... osobista. Czy moglibyśmy się spotkać w miasteczku?

- Rowan powiedział mi jasno, żebym nie spoufalala się z nikim z załogi.

- To nie to samo. My dwoje jesteśmy w innej sytuacji niż reszta. Proszę cię.

Chodzi o pracę. To bardzo ważne.

Widząc błaganie w oczach Geoffa, uległa.

- Niech będzie. Mam wolną sobotę, a Rowan będzie zajęty. Wezmę rovera w piątek wieczorem i spotkam się z tobą w knajpie u Maggie. Nie będziemy rzucać się w oczy.

- Cudowna jesteś. - Geoff ujął jej dłonie i przytrzymał je.

W tym momencie drzwi otworzyły się i do środka wpadł Rowan. Stał jak wryty, spojrzął na Karin, na Geoffa, znów na Karin. Wpatrzył się w nią ciemnym, nieodgadnionym wzrokiem. Po dłuższej chwili skinął powoli głową, odwrócił się i szedł ciężko po schodkach przyczepy.

Niebieskofioletowe cienie kładły się na szosie, kiedy Karin zatrzymała range rovera przed restauracją Maggie. Cairnbeck otuliła cisza, którą przerywało tylko dzwonienie na Anioł Pański. W oknach zasuwaly się firanki, witryny sklepów ciemniały. Karin szła przed siebie, nie patrząc, widząc przed sobą twarz Rowana z chwili, gdy ten spojrział wczoraj na nią i Geoffa.

Wiedziała, że Geoff już na nią czeka. Gdyby posłuchała intuicji, nie przyjechałaby na spotkanie. Ale jeśli Geoff potrzebował pomocy, musiała mu jej udzielić z uwagi na Leonarda. Nawet Geoff zasługiwał na to, by dać mu szansę. Rowan nie powinien mieć o to pretensji. Czowała jednak w sobie niepokój, gdy pchnęła drzwi pubu.

W środku Geoff zwiślał ze stołka u końca kontuaru z ciemnobrązowego drewna. Stała przed nim butelka whisky, w której brakowało jednej trzeciej i prawie pusta szklanka. Jedno spojrzenie na jego umęczoną twarz wystarczyło. Geoff naprawdę był u kresu. Zobaczył jej odbicie w lustrze za barem i obrócił się ku niej z rozdrażnioną miną.

- Nie można powiedzieć, żebyś się spieszyła. Karin zacisnęła usta. Zawsze pierwszy ją atakował.

- Wyobraź sobie, że miałam pełno rzeczy do roboty przed wyjazdem. I jeżeli masz zamiar mnie się czepiać, to siedź sobie i baw się sam ze sobą. To ty mnie prosiłeś, żebym przyjechała. - Ruszyła z powrotem do drzwi.

Geoff stracił kontenans. Podniósł szklankę i upił łyk.

- Cholera, Karin, przepraszam. Ale siedzę tu już od trzech godzin.

Jej wzrok spoczął na butelce whisky i na popielniczce wypełnionej niedopałkami.

- To widać. Ale żeby wziąć samochód, musiałam zgodzić się zrobić zakupy dla

Thorny'ego. I reszta też sobie zażyczyła różnych rzeczy.

- Szczerze mówiąc ja przyjechałem tu w podobnej misji. - Dolał sobie szczerze bursztynowego płynu.

- Geoff!

Odstawił butelkę i nałożył zakrętkę.- Spokojnie. Dam sobie radę. Nie musisz mnie upominać - odparł podnosząc obie ręce. - Oparł się o bar. -Zamówić ci coś?

Potrząsnęła głową.

- Sama sobie zamówię. - Powiedziała coś do barmana, a potem nachyliła się do Geoffa. - Chciałeś ze mną porozmawiać.

Przebiegł salę wzrokiem.

- A może byśmy tam usiedli? Nie będą nas słyszeć.

- Jestem pewna, że wszystko, co chcesz mi powiedzieć, może być powiedziane w tym miejscu.

- Mylisz się.

Zapłaciła za drinka i ociągając się, poszła za nim w słabo oświetlony koniec sali.

Geoff wychylił szklanekę, wyciągnął papierosa i podniósł go do ust. Zatrzymał się w pół gestu, kiedy zobaczył wzrok Karin.

- Och, przepraszam. - Schował niezapalonego papierosa z powrotem do paczki. Ręce mu się trzęsły, dłuższą chwilę nic nie mówił, najwyraźniej zbierając myśli. -Wiem, że za mną nie przepadasz.

Przerwała mu.

- To nieprawda. - A przynajmniej nie do końca, pomyślała. - Co mi się natomiast nie podoba, to że kopiesz pode mną dołki, kiedy przydzielają nam wspólne zadanie.

- Czy ja kiedykolwiek...

- Nie udawaj świętoszka, Geoff. Od kiedy pracujesz u Dalkeya, kombinujesz, jak by mi tu odebrać pracę.

- Wcale tak nie jest. - Geoff spojrział na nią żalonym wzrokiem. - Ja tylko chciałem, żeby traktowano nas jednakowo. Leonard zawsze cię wyróżniał. I dalej to robi. Ale jeśli zrobiłem coś, co cię uraziło, to przepraszam.

- Mniejsza o to. - Uśmiechnęła się do niego z wysiłkiem. - To już przeszłość. A poza tym Leonard cię ceni, sam mi o tym mówił. Wpatrzył się w nią jasnyniebieskimi oczyma.

- To prawda, Leonard dba o ludzi... teraz zdałem sobie z tego sprawę. Wysłał mnie tutaj, bo wyobrażał sobie, że w ten sposób szybciej zapomnę o śmierci Alicji. Z dała od rzeczy, które ją przypominają. Ale - oczy Geoffa zamglily się - on nie wie - jego głos przeszedł w szloch - nikt nie wie.

Karin patrzyła na cierpiącą twarz Geoffa, czuła, jak jej samej zbiera się na płacz. Nigdy nie wyparła z siebie tej okropnej pustki, jaką zostawiła po sobie śmierć ojca, nigdy nie zapomniała ogromnego pustego domu, do którego wróciła z matką na inwalidzkim wózku. Najgorsze były pierwsze dni po wypadku. Bezsilna, patrzyła, jak matka walczy o przetrwanie, podczas gdy przerażająca płatanina rurek doprowadzała do jej ciała życiodajne substancje.

Wzięła głęboki oddech i powiedziała cichym głosem:

- To wszystko wymaga wiele czasu. Geoff nalał sobie kolejną porcję whisky.

- Starczy tego, Geoff. - Wyjęła mu z ręki szklanekę. -Picie niczego nie załatwia. Musisz chcieć sobie pomóc.

Twarz wykrzywiła mu się bólem.

- Nic nie rozumiesz, Karin. Ja ją zabiłem... zabiłem Alicję. To wszystko moja wina.

- Nie, Geoff. - Karin podniosła głos. - Ona była chora. To co robiłeś, nie miało już żadnego znaczenia. Nie powinieneś o tym zapominać.

- Zdradzałem ją - ciągnął dalej otepiałym głosem. -Wiele razy. Dowiedziała się o tym i miała ode mnie odejść. I wtedy właśnie zachorowała. - Zakrył twarz rękoma. - To ja powinienem być na jej miejscu. Była jedyną jasną stroną mojego życia.

Karin wpatrzyła się w Geoffa z konsternacją.

- Dlaczego mi o tym wszystkim mówisz?

- Potrzebuję twojej pomocy, Karin. Ja... chciałbym, żebyś pomogła mi w pracy, póki nie wezmę się w garść. Już jest lepiej, ale potrzebuję jeszcze czasu. - Spojrzał na nią bezradnie.

Powiedziała łagodnie:

- Musisz uwolnić się od alkoholu.

- To nie jest wielki problem. Dam sobie z tym radę. - Usta wykrzywił mu uśmiech i cień starego Geoffa przemknął przez jego wycieńczoną twarz. - Pomóż mi, Karin. Proszę.

Nie myśląc, Karin sięgnęła przez stół i przykryła jego dłonie swoimi. Błagał ją; nie mogła odmówić osobie przepojonej tak wielkim bólem. Choć wciąż się uśmiechał, zauważyła, ile rozpaczy kryje się w jego oczach.

- Dobrze. Daję ci słowo. Będę przeglądać wszystkie twoje obliczenia, zanim je oddasz.

Rzucił jej spojrzenie pełne niewymownej ulgi.

- Dziękuję ci, Karin. Wiedziałem, że mnie nie zawiedziesz. - Schwycił jej dłoń oburącz i ścisnął z uczuciem.

- Czy to prywatna schadzka? - rozbrzmiał nagle za nimi głęboki chłodny głos.

Karin zamarła. Zobaczyła wpatrzone w siebie zwięzione szare oczy.

- Rowan! - Wyrwała rękę z uścisku Geoffa i opuściła ją pod stół.

- Nie wiedziałem, że wybierasz się do miasteczka - powiedział Geoff, niezręcznie próbując ukryć rozczarowanie. - Gdybym wiedział, pojechalibyśmy razem.

- Gadaj zdrów - mruknął pod nosem Rowan. Geoff przełknął ślinę i wskazał krzesło obok siebie.

- Siadaj.

- Dziękuję, nie. - Rowan badał Karin wzrokiem. -Mam wrażenie, że chcecie być sami. Czy to z tego powodu poprosiłaś o wolny dzień? Żeby się z nim spotkać? - Wskazał głową Geoffa. Jego twardy wzrok ześlizgnął się ku jej piersiom, przebił miękką tkaninę koszulki i znów wrócił do twarzy. - Kiedy godziłem się, żebyś wzięła samochód, nie przypuszczałem, że jedziesz na randkę. Rumieńce wystąpiły jej na policzki.

- Wyciągasz zbyt pochopne wnioski.

- Czyżby? - odpowiedział jedwabistym głosem.

- Rowan, tu chodzi o coś zupełnie innego. Uśmiechnął się krzywo.

- Wiem od Maggie, że zarezerwowałaś pokój na dzisiejszą noc.

- Miałam zamiar przespać się tutaj - najeżyła się - żeby móc rano zrobić zakupy dla Thorny'ego.

- Nie potrzebuję twoich wyjaśnień. Nie interesują mnie. Zgłosisz się do biura w poniedziałek rano. I proszę się nie spóźnić. - Odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

- Do diabła. - Karin opadła bezwładnie na krzesło.

- Przykro mi, Karin - wyszeptał Geoff.

- To nie twoja wina - powiedziała znużonym głosem. Nie miała nic do ukrycia.

Gdyby nie te jego głupie ograniczenia, nie byłoby o czym gadać. Tak naprawdę to był jego problem. Powie mu to, kiedy wróci. I tak musiało kiedyś do tego dojść.

Wstała.

- Jestem zmęczona. Idę na górę się położyć. Zobaczymy się w poniedziałek.

Karin przewracała się z boku na bok, sny rwały się na kawałki. W jednym z nich rozkoszowała się rzymską łaźnią. Wokół niej wirowała uperfumowana woda, a nasycona ciężkim, słodkim zapachem para skraplała się na jej twarzy.

Nagle, jakby odsuwając welon, Rowan wstąpił w mgłę i spojrzał na nią z góry. Luźna, jedwabna karmazynowa szata spowijała jego kształtne ciało. Tors miał obnażony. Przebiegła wzrokiem wypukłą klatkę piersiową i płaski brzuch. Puls przyspieszył, zalało ją uczucie tak zmysłowe, tak intymne, że przestała prawie oddychać. A więc tak się czuł człowiek, którego pochłaniała namiętność. Ustaje oddech, ustają myśli. Odurzająca umysł, jakże słodka ekstaza bólu... Niczym ktoś, kto podgląda parę kochanków, zapatrzyła się na Rowana spijącego wzrokiem jej ciało, małe, jędrne piersi z brzoskwiniowymi obwódkami sutek, węże rdzawych włosów wijących się w wodzie wokół głowy, ciemny trójkąt na podbrzuszu. Jedną ręką rozwarł szatę, która spłynęła na ziemię.

Jakże piękny był nagi. Zszedł po stopniach do wody, idąc powoli w jej kierunku. Oddech jej zamarł. Wyciągnęła ku niemu rękę. Podeszedł blisko, chwycił jej wyciągnięte palce i pociągnął ku sobie. Nachylił się ku niej, ale gdy tylko zwały się ich usta, dziwna rytmiczna muzyka rozbrzmiała w powietrzu. Nigdy jeszcze czegoś podobnego nie słyszała, to było zmysłowe tętnienie, mieszanie się pierwotnych żywiołów, brzęk strun lutni, zawodzenie starego rogu, dudnienie bębna i tamburynów.

Rowan zastygł, cały wsłuchany w muzykę. Cofnął się, puszczając ją i zaczął powoli wychodzić z wody, ani na moment nie odrywając od niej wzroku. Wyszedł z basenu i zanurzył się w mgłę. Czekala, aż wróci, ale on nie nadchodził. Muzyka w końcu przeszła w kakofoniczny finał. Napłynęło zimne, nocne powietrze i ochłodziło jej błyszczące od wody ciało.

Karin rozwarła powieki. Na zewnątrz padał deszcz, przez otwarte okno obok łóżka wiatr wiewał mokrą mgielkę, która opadała na posłanie, jej ramiona i twarz. Trzęsąc się, wstała i zamknęła okno. Gdzieś w oddali rozdarła ciszę policyjna syrena.

Sen odpłynął; zaciągnęła story, żeby odciąć się od jęczącego wiatru.

Mój Boże, jakże była samotna.

13

Robienie zakupów w Cairnbeck nie dostarczyło Karin szczególnej uciechy. Po rozmowie z Geoffem i nieoczekiwanym pojawieniu się Rowana w knajpie u Maggie opadło jej zainteresowanie sprawunkami. Zaglądała do różnych sklepów i cały czas zastanawiała się nad znaczeniem snu.

Rzecz jest prosta, pomyślała z nagłą jasnością. Zachowanie się Rowana w tym śnie było odbiciem realnej rzeczywistości. Kiedy miała już pewność, że jej pragnie, a może nawet troszczy się o nią, wycofywał się, prawie okazując złość. Jego reakcja w pubie, poprzedniej nocy, była jeszcze silniejsza. Wyobrażał sobie, że ona sypia z Geoffem. Jeśli jest zazdrosny, pomyślała, to znaczy, że zależy mu na niej. Czy z tego powodu był aż tak zły? Poczula przypływ nadziei.

Tak czy owak, tej nocy postanowiła wszystko rozstrzygnąć.

W antykwariacie pana Pennywortha sięgnęła po starą drewnianą szpulkę, wrzuciła ją do koszyka, a potem dorzuciła szalik w szkocką kratę dla Leonarda. Dla Ateny wybrała sztuch przedstawiający opactwo Fountains o zmierzchu.

W pobliskim sklepiku zakochała się natychmiast w koszuli nocnej z delikatnego

białego batystu. Tańczyły na niej jasnożółte motylki, z przodu była zapinana na małe guziczki. Wyobraziła sobie siebie w tej koszuli, zobaczyła, jak ręce Rowana powoli odpinają guziki; palce mężczyzny ocierały się o jej piersi, które próbował wyswobodzić.

Zalala ją fala gorąca. A niech to, jeśli nie zaczniesz kontrolować swoich myśli, po prostu się roztopi. Podniosła wzrok i napotkała spojrzenie sprzedawcy. Karin położyła koszulę na ladzie.

- Wezmę ją. - Ze spuszczonego oczyma zaczęła przeszukiwać torebkę. Czy sprzedawca domyślał się, dlaczego kupuje koszulę nocną? Czy wszystkie zakochane kobiety są tak... czytelne?

Przeszła się po miasteczku. Zwróciła jej uwagę księgarnia, gdzie kupiła ostatni kryminał Toma Clancy'ego dla Derricka. Potem zaszła do sklepu ze słodyczami i nabyła słoik jeżynowej galaretki. To był ulubiony przysmak Thorny'ego. Kupowała wszystko niespiesznie, zdając sobie sprawę, że opóźnia swój powrót do bazy. Tej nocy postanowiła przecież zmierzyć się z Rowanem. Odwagi, powiedziała sama do siebie.

Zrobiła jeszcze zakupy dla Thorny'ego w sklepie spożywczym, załadowała sprawunki do bagażnika rovera i wróciła do pubu, żeby napić się herbaty z Maggie.

Od czasu pierwszego spotkania z właścicielką pubu Karin spotkała ją wielokrotnie, kiedy tylko zajeżdżali do miasteczka. Teraz, w przytulnym pokoju Maggie na górze, całym w koronkach i haftach, zdjęła buty i usadowiła się wygodnie, podczas gdy Maggie przyniosła sandwicze z sałatką z kury i ciastka ponczowe. To była forteca Maggie, miejsce, gdzie mogła dać upust swemu zamięłowaniu do dekoracji.

Karin zapadła się w miękką kanapę i próbowała nie myśleć o powrocie do bazy. Popiły jedzenie mocną słodką herbatą, wyczytywając przy muzyce Mozarta.

Maggie oparła obute w pantofle stopy na skórzanej otomanie.

- Jakże miło znów cię ujrzeć - powiedziała, gdy Karin zakończyła opowieść o nieoczekiwanym spotkaniu z Rowanem. - Nie przejmowałabym się zaledwie panem Mars-denefn. Tak się już zachowuje i tyle. Trochę z niego sztywniak. Ale jutro znowu będzie sobą. - Przerwała, zamysliła się. - Przysięgam na Boga, że jeszcze go tak napiętym nie widziałam. Wyglądał, jakby miał ochotę rozszarpać tego typu, z którym byłaś. - Roześmiała się i dołała herbaty. - Myślę, że jest zazdrosny.

Karin podniosła brwi. W środku poczuła jednak przyjemne ciepło.

- Zazdrosny? Doskonały Kontroler Wszystkiego? Dla Rowana jestem tylko najemnym pracownikiem, który przeciwstawia się rozkazom. - Westchnęła i nadgryzła ponczowe ciastko. - Nie ukrywa przede mną faktu, że budzę w nim tylko najniższe instynkty.

Maggie rzuciła jej dziwne spojrzenie.

- To podważa teorię o „doskonałej kontroli”. Przybrała poważny wyraz twarzy i zapytała. - A ty? Lubisz go?

- Tak. Ale nie tyle jako przyjaciela - wyrwało się jej. - Chciałam powiedzieć... - Odwróciła wzrok. Czy znów się rumieniła? Zrobiło się jej gorąco, wiedziała, że na policzki wystąpił jej wiele mówiący szkarłat. - Nie jest łatwo go lubić... przez większość czasu. A jednak - pochyliła się do przodu - jestem nim zafascynowana mimo całej jego rezerwy. Czasami okazuje zaskakującą wrażliwość.

- Tak? - Teraz Maggie uniosła brwi. - Wolisz, kiedy trzymają się na dystans czy kiedy są wrażliwi?

Karin obróciła się gwałtownie w stronę Maggie, która uśmiechnęła się z rozbawieniem.

- Ja... od czasu kiedy skończyłam szkołę, nigdy nie miałam czasu na nic poza nieznaczącymi randkami. Nie przeżyłam niczego poważnego. Tak naprawdę niewiele wiem o mężczyznach - wyznała.

- Dlaczego nie? Przecież jesteś normalną, zdrową, młodą kobietą.
Karin wzruszyła ramionami.

- Poświęciłam się robieniu kariery. A poza tym nikt mnie do tej pory nie zainteresował. Nikt nigdy... - Urwała raptownie. Dziwne, że tak łatwo opowiadała o sobie tej kobiecie, którą знаła od tak niedawna. Dotąd zwierzała się wyłącznie Atenie. Od czasu kiedy jej matka zdecydowała się dzielić życie z Leonardem, rzeczy uległy zmianie.

- W twoim życiu nie było jeszcze mężczyzny? - powiedziała Maggie ostrożnie.

- Ciekawe. Ale coś mi mówi, że chcesz to zmienić. - Wsunęła kawałek ciastka do ust i żując, zapatrzyła się na Karin wielkimi niebieskimi oczyma. - Czy jesteś w nim zakochana?

- Zakochana? - Karin aż podskoczyła. - Ja... nie wiem. Z pewnością coś czuję. - Opuściła wzrok na wykrochmalony biały obrus. - Pragnę go jako mężczyzny, ale - głos jej osłabi - nigdy do tej pory tak się nie czułam... nigdy nie pragnęłam czegoś więcej niż przyjaźni. A teraz... Och, sama nie wiem! To wszystko jest tak skomplikowane.

- Gdybym nie miała Cyrila - Maggie uśmiechnęła się - chyba stanęłabym ci na drodze. Rowan to facet z ikrą.

- Z lodem w żyłach.

- Z żadnym lodem, dziewczyno. Nie patrzysz tam, gdzie trzeba.

Kiedy Karin zajęła miejsce na parking obozowiska, była już dziewiąta i nic nie mąciło ciszy poza nocnym pohukiwaniem sowy. Z przyczepy-stołówki dochodziło światło.

Wysiadła z rovera i wniosła sprawunki do pokoju, zamykając drzwi jak najciszej umiała. Wypakowała rzeczy z torby, ułożyła ją równo pod łóżkiem, a potem poszła do stołówki. Zostawiła zakupy dla Thorny'ego, postawiła słoik z galaretką na kontuarze. Potem wróciła do siebie.

Rowan stał w środkowych drzwiach.

- Wcześniej wróciłaś. Czy Ellis ci nie odpowiada? Zadrżała, patrząc na jego kamienną twarz.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Trudno cię zrozumieć, Karin. Czyżby ci się nie podobał?

Narastała w niej złość. - To moja sprawa.

- A ja uważam, że i moja. - Postąpił krok w jej stronę, a ona cofnęła się. - Ostrzegałem cię: żadnego spoufalania się z załogą. To dotyczy także Ellisa.

- Rowan, między mną a Geoffem nic nie ma. A poza tym, nie będziesz mi mówił, co mam robić w wolnym czasie.

- Wręcz przeciwnie. W tej robocie to ja decyduję o wszystkim. Nie jesteśmy w Kalifornii. Tutejsi mężczyźni bywają nieokrzesani. - Popatrzył na nią błyszczącymi oczyma. - Mogą być bardziej brutalni, niż to sobie wyobrażasz.

- A może ja to właśnie lubię - wypaliła podniecona do granic wytrzymałości. Szarpnął się.

- Tak? Chcesz, żeby było na ostro? - Pociągnął ją ku sobie, aż uderzyła o jego masywny tors.

Zaczął bębnić weń pięściami póki nie złapał ich mocnymi dłońmi i nie wykręcił do tyłu, przygważdżając Karin do ściany.

- To nie w moim stylu, ale jeśli ci się tak podoba, będę ostatnim, który cię zawiedzie. - Zaśmiał się ochryple.

Karin skurczyła się pod jego ciemnym spojrzeniem, wystraszył ją jego ciężki oddech. Czyżby znowu pił? A może, jak to sugerowała Maggie, był tylko zazdrosny? Serce zaczęło się jej tłuc w piersi, gdy na nią spojrział. Spuścił głowę, od której

padł na nią cień, przywarł do niej ustami. Rozwarł jej wargi, wsunął między nie język, uczynił ją bezwolną.

Przestała się opierać. W uszach jej dudniło. Zalała ją fala gorąca, nogi zaczęły się trząść.

Uwolnił jej ręce, wsunął dłoń pod jej sweter, obwiodł palcami sutkę. Ustami przejechał po jej ustach, chwycił zębami jej dolną wargę, przebiegł językiem wnętrze ust.

Zjechał ustami niżej, do pulsującej miękkości piersi; Karin jęknęła. Podciągnął jej sweter i przywarł ustami do wypukłości kremowego ciała nad czarnym stanikiem koronki. Oddech Rowana ogrzewał skórę, ale ją przeszedł dreszcz.

- Czy założyłaś to dla Ellisa? - spytał podstępnie, zsuwając jedno ramiączko z ramienia. Podłożył dłonie pod jej piersi, uchwycił każdą sutkę kciukiem i wskazującym palcem.

- Ubieram się dla siebie - powiedziała chrapliwym szeptem. Kolana jej zmiękły, u zbiegu ud zebrała się wilgoć, gdy przycisnęła się do niego. - Rowan, ja nie lubię Geoffa Ellisa.

Rowan wyprostował się, spojrzał na nią z wysokości, spojrzenie mężczyzny paliło. Wciśnięta między ścianę i twarde mięśnie jego klatki piersiowej, nie myśląc już o żadnym oporze, Karin zadrżała, wiedząc, że on to czuje. O Boże, jakże pragnęła, by jej dotykał... jakże pragnęła, by...

Podniosła ręce i przyciągnęła do siebie głowę mężczyzny. Jęknął i zmiażdżył jej usta dzikim pocałunkiem, wędrując po jej wargach z rosnącą pasją. Karin znów zabrakło tchu.

- Nie jestem Ellisem - wyszeptał.

- Przecież wiem - tchnęła. - Rowan, nie chcę żadnego Geoffa. Chcę... - Słodkie gorąco popłynęło od jego palców.

- Co chcesz, Karin? Powiedz!

- Chcę ciebie - wydyszała.

- Karin - szepnął - O Boże, Karin.

Objął ją ramionami i zaniósł na wąskie łóżko. Siedziała, drżąc, z oszalałym sercem, czekając na jego ruch. Bała się na niego spojrzeć.

Ściągnął jej sweter przez głowę i nachylił się, by uwolnić ją od stanika. Odpiął go trzęsącymi się palcami i odrzucił na bok. Piersi tak się jej napreżyły, że aż bolały.

Delikatnie pchnął ją do tyłu i pochylił się nad nią, pokrywając jej policzek, szyję i piersi pocałunkami równie lekkimi jak muśnięcia ptasich skrzydeł.

- Pokaż mi, Karin, czego pragniesz - szepnął. - Pokaż mi. Znów ją pocałował, łącząc się z nią językiem.

Serce Karin podskoczyło. Narosło w niej pierwotne pragnienie, którego istnienia nawet nie podejrzewała. Przywarła do niego mocno, bardzo mocno. Chciała poczuć jego nagie ciało i sięgnęła dłońmi ku guzikom koszuli, które zaczęła nerwowo rozpinąć.

Mruknął coś; odsunął jej ręce. Jednym szarpnięciem otworzył koszulę i rzucił ją na podłogę. Pochylił się nad nią i wziął ją w ramiona. Poczula owłosioną skórę na swych piersiach. Zsunął się w dół, przykrywając wpierw dłońmi sterczące piersi, a potem złożył na ich szczytach pocałunki. Ciepły oddech owiał delikatną skórę Karin; w jej głębi coś zaczęło słodko zakwitać.

Położył ręce na jej dzinsach, rozpiął je, objechał palcami płaski brzuch Karin. Szeroką dłonią nakrył wzgórek, a potem wsunął palce za gumkę fig.

Instynktownie wyniosła się ku gorze, dysząc pod jego poszukującymi palcami. Była w pełni rozbudzona, wilgotna i gorąca. To, co płynęło w niej jeszcze przed chwilą cienką strugą, buchnęło nagle rwącym nurtem, który chwycił ją w swój wir. Usłyszała

jęk Rowana, gdy zagłębił w niej palec i zaczął pieścić z nieopisaną czułością.

- Tak - wydyszała, poruszając się razem z nim.

- Karin... czy tego właśnie chcesz? - Głos miał napięty. Pieścił ją koniuszkiem palca. Nie mogła opanować drżenia. Przepływały przez nią fale gorąca, nakładały się jedna na drugą, aż poczuła, że bliska jest szaleństwa.

- Kochaj mnie - szepnęła.

- O Boże - powiedział ochryple. - Nawet nie wiesz, jak długo czekałem na te słowa. - Sięgnął ręką do zamka błyskawicznego, zsunął suwak i ściągnął dżinsy z figami wzdłuż jej gładkich nóg. Wstał, zrzucił z siebie buty i spodnie, i postawił ją na nogi. Zdziwiona, podniosła ku niemu oczy.

- Chodźmy do mnie, najdroższa. Moje łóżko jest większe.

Usta Karin rozwarły się same, zwilżyła językiem wyschnięte wargi. Stał przez moment, patrząc oniemiały. Potem uniósł ją w mocarnych ramionach i poniosł przez wąskie przejście do drugiego pokoju.

Karin objęła go za szyję i przylgnęła do niego, słuchając chrapliwego oddechu i nierównego bicia serca mężczyzny. Biło od niego gorąco. Serce dudniło jej w piersi. Karin zachłysnęła się oddechem, bojąc się, że zabraknie jej powietrza. Nigdy przedtem nie pożałowała mężczyzny. Ale nawet gdyby tak było, wiedziała, że z Rowanem zawsze byłoby inaczej. On był inny. A może teraz to ona była inna.

Złożył ją ostrożnie na wielkim łóżku, a ona przesunęła się na środek. Pierwszy raz przyjrzała mu się. Przeszedł ją dreszcz, gdy oddał jej spojrzenie. Był wysoki i muskularny. Ciemna opalenizna karku kończyła się wyraźną linią i przechodziła w jasne złoto. Czarne owłosienie pokrywało mu nogi i ramiona i rozlewało się na piersi; cienka linia niknęła w szortach. Oczy Karin przykleiły się do bawełnianej tkaniny, którą napinała jego męskość.

Drżącą ręką zgasił lampę na biurku; materac ugiął się pod ciężarem jego ciała. Oddychając nierówno, przyciągnął ją do siebie, umięśniony, twardy, dotykając jej podbrzusza nabrzmiałą żądzą.

Poczuła nagle przerażenie. Nigdy jeszcze nie była z mężczyzną. A jeśli nie zechce tego, co mogła mu zaoferować? On był doświadczony, ale ona nie. Zabłąkana myśl o tym, że mógłby to robić z inną kobietą, doprowadziła ją do szaleństwa.

- Coś nie tak? - wyszeptał.

- Rowan, ja... się boję. Opuścił niżej głowę.

- Tak długo na to czekałem... Ja też się trochę boję. Zaczął bawić się językiem z jej nabrzmiałymi sutkami,

chwycił je lekko w zęby, aż przepełniło je pożądanie. Potem wyznaczył pocałunkami ścieżkę przez brzuch aż do mechatej miękkości między udami. Obwiodł wskazującym palcem najwrażliwszy punkt, aż zaczęła się zwijać wyginać łukiem ku niemu, oddychając spazmatycznie. Rowan, Rowan, krzyczało coś w niej. Ciało Karin zatrzęsło się gwałtownie, gdy przeszedł ją spazm rozkoszy.

Rowan nagle znieruchomiał. Wciągnął urywany haust powietrza.

- Karin. Na Boga, Karin, od tak dawna cię pragnąłem. Nawet nie wiesz, jak bardzo pragnę... - Przykrył ją swoim ciałem, rozsunął jej nogi kolanem i opuścił się ku wilgotnej świątyni między jej udami. Wszedł w nią szybko i gładko, na moment zachłysnął się oddechem.

Ona też przestała oddychać, gdy poczuła przez chwilę ból. Krzyk zamarł jej na wargach zduszony jego ustami, które wędrowały teraz po policzkach, powiekach. Rowan poruszał się w niej coraz gwałtowniej, zdawał się nie panować nad oddechem, głowę Karin wypełnił wir.

Niech to się nie kończy, pomyślała. Proszę, niech to się nie kończy. Krzyknął wraz z gwałtownym ruchem. Czowała, jak Rowan zagłębia się do dna w jej miękkości.

- Karin - wychrypiał. - Karin... Karin.

Ze zdumieniem usłyszała coś jakby szloch. Znów zaczął się w niej poruszać, tym razem powoli, zmysłowo, z rozkoszą, jakby delektując się jej ciałem. To mną się cieszy, pomyślała w chwili jasności.

Słodkie, potężniejące napięcie narosło u szczytu jej ud. Przepeliła ją rozkosz, która rozwinęła się spiralą pochłaniającą wszystkie zmysły i Karin instynktownie otoczyła mężczyznę nogami, by poczuć go jeszcze głębiej.

- Jesteś moja, moja! - wycharczał. - Karin! - I zaraz, już poza wszelkim rozumieniem, wpuścił w nią swą substancję, ściskając Karin spazmatycznie. - O Boże! - krzyknął.

Leżał długo kołysząc ją w ramionach, z twarzą zanurzoną w jej włosy. W końcu podniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

Łzy perliły mu się na rzesach. Karin zatrzepotała powiekami i otworzyła oczy, gdy promień słonecznego światła przebił wąskie okienko i rozświetlił jej twarz. Zaraz znów je zamknęła, pozwalając swobodnie płynąć myślom, rozkoszując się sennym ciepłem, które przepeliślało jej członki. To ciepło nie pochodziło od miękkiej kołdry przykrywającej ciało Karin, ale od nagłego, cudownego odkrycia.

Rowan kochał ją.

Nie wyraził tego słowami; nie było takiej potrzeby. Przemawiały za niego czyny. Wyniosły, wszechmocny pan Marsden równie mocno przeżył ich kochanie się co ona! To on jednak był władny rozpalic ją jedną pieszczotą. Pamięć o jego ochryplym głosie wymawiającym jej imię zalała ją i poczuła, jak twardnieją jej sutki. Później wziął ją raz jeszcze i jeszcze raz, a ona podążała za każdym jego ruchem.

Wyczerpani namiętnością, spleceni ze sobą zapadli w omdlewającą poświatę i powoli odpłynęli w sen. Teraz wspomnienia wróciły z całą siłą i Karin, cała drżąca, przesunęła się ku środkowi łóżka, szukając jego ciepła.

Ręką przejechała po chłodnym prześcieradle.

- Rowan?

Nie było go.

Karin otworzyła szeroko oczy. Wgłębienie w puchowej poduszce świadczyło o tym, że Rowan niedawno tu leżał, ale pokój był pusty. Spodnie, które zrzucił na podłogę w jej pokoju ostatniej nocy wisiały teraz na krześle, środkowe drzwi były zamknięte. Najwyraźniej zadbał o to, by jej nie obudzić.

Uśmiechnęła się do siebie z zadowoleniem. W przeciwieństwie do większości mężczyzn Rowan dbał o porządek. Musiała pucować wspólną łazienkę, by nie narazić się na krytykę. W tej mierze zasługiwał na najwyższą ocenę. Zaś jako kochanek...

Karin zaczerwieniła się na samo wspomnienie. Z nikim nie mogła go porównać, ale czuła, że jest poza wszelką konkurencją. Wciąż uśmiechając się, zstąpiła lekko na zimne linoleum. Budzik na biurku wskazywał siódmą. Zasnęła! Ciekawe, czyja to wina, pomyślała przekornie, zapominając o swych skłonnościach do pośpiechu. Weszła pod ciepły prysznic i skrzywiła się, gdy zapiekło ją między udami.

Wytarła się, nałożyła nowe spodnie i niebieską koszulę, a potem otworzyła drzwi do swego pokoju. Dzinsy i sweter, które zostawiła na podłodze, leżały teraz równiutko złożone na łóżku, razem z majteczkami, jak gdyby nic się nie zdarzyło.

Czy Rowan wstał, ubrał się, złożył jej ubranie i wygnał z umysłu kochanie się

ubiegłej nocy, jak to czynił z innymi wydarzeniami swego życia? Cień zwątpienia zagościł w jej umyśle. Nie, pomyślała. Nie mógłby robić tego, co robił, mówić tego, co mówił ostatniej nocy i nic zarazem nie czuć. Karin weszła do pustej stołówki. Gdy tylko zasiadła za stołem, w okienku pojawiła się głowa Thorny'ego.

- Nareszcie jesteś. - Postawił przed nią miseczkę z muesli i przyniósł dzbanek z mlekiem. - Nie byłem pewien, czy wrócisz na śniadanie, ale rano zobaczyłem zakupy, jakie zrobiłaś. Rowan powiedział, że przyjechałaś wczoraj wieczorem. - Poczłapał do kuchni i wrócił z kubkiem kawy, tostem i słoikiem jeżynowej galaretki.

Machnęła ręką w przeczącym geście.

- To dla ciebie.

- Wiem. - Wokół oczu pojawiły mu się zmarszczki. - Ale dzielę się z przyjaciółmi... No, dawaj - ponaglił ją, kiedy nałożyła małą łyżeczkę galaretki na tost. - Weź jeszcze.

- Już nie mogę, dziękuję, po prostu pękam. - Odsunęła talerz i wstała.

W tym momencie wszedł Rowan. Odpowiedział na nieśmiały uśmiech Karin krótkim skinieniem.

- Widzę, że wstałaś. Poszedłem sprawdzić. - Zawrócił do drzwi. - Chodźmy się przejść.

Rowan poprowadził ścieżką w kierunku gęstego zagajnika za obozowiskiem. Karin szła za nim. Zatrzymał się nad strumieniem, tam gdzie woda przepływała z gulgotem między dwoma wielkimi płaskimi głazami. Rowan uklęknął na jednym z nich i wskazał ręką miejsce na drugim.

Popatrzył z obojętną miną na kipiącą wodę.

- Przykro mi za to, co stało się ubiegłej nocy. Gdybym wiedział, że jesteś - wziął głęboki oddech - niedoświadczona, nigdy by do tego nie doszło.

Serce Karin zamarło.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zmusiła się do spokojnego tonu, patrząc mu prosto w twarz. Dławiący ciężar siadł jej na piersi.

- Nie mam w zwyczaju deflorowania dziewczyn. - Oczy mu pociemniały. - Gdybym wiedział, trzymałbym się z daleka.

Wpatrywała się w niego osłupiała. - To znaczy, że chciałeś ze mną się przespać, bo szukałeś kogoś z doświadczeniem? Oszukałeś mnie!

- Nie bądź naiwna, Karin. - Zaśmiał się z wysiłkiem. - Oczywiście, że cię chciałem. Chyba było widać.

Zalała ją złość.

- A co miało znaczyć... co miało znaczyć to, co mówiłeś mi ostatniej nocy?

- Wszyscy mężczyźni mówią takie rzeczy. - Przemknął oczyma po jej twarzy. - Na Boga, Karin, nie myślisz chyba, że ja...? - Zerwał znad głowy pokrytą porostem gałązkę, popatrzył na nią przez chwilę i rzucił ją do wody. Trudno było cokolwiek odczytać z jego twarzy. - Uważam, że jest nam ze sobą całkiem dobrze. Następnym razem...

- Następnym razem? Chwileczkę. Czy chcesz powiedzieć, że ponieważ jest nam - jak to powiedziałaś? - całkiem dobrze ze sobą, masz po prostu ochotę na przelotny romans? - Wstała i cofnęła się chwiejnie.

- Siadaj, dobrze? - Wskazał ręką na miejsce, z którego wstała.

Karin nie ruszała się, zacisnęła szczękę.

- No to postoiimy. - Podniósł się, stanął twardo na nogach, popatrzył na nią z wysokości. Usta zwęziły mu się. - Czy nie wyrażasz się nieco staroświecko? Jesteśmy w latach dziewięćdziesiątych. Kiedy dwoje ludzi czuje do siebie pociąg, co z pewnością nam się przydarza - omiół jej ciało szarymi oczyma - nie należy się zaraz tego wstydyć.

Karin cofnęła się o kolejny krok.

- Niczego się nie wstydzę. Po prostu nie interesują mnie przelotne przygody. I od kiedy to bycie osobą tradycyjną stało się „staroświeckie”? - Zaczęło ją nagle szczytać pod powiekami i z trudem powstrzymała łzy.

Rowan schwycił ją za przegub i pociągnął ku sobie. Głębokim, aksamitnym głosem spytał:

- Nie sądzisz, że są rzeczy wybiegające poza tradycję? Takie jak te? Wciąż trzymając jej przegub, wolną ręką przyciągnął ją i pocałował gwałtownie. Jego usta przesunęły się po ustach Karin, pospieszne, żądające, aż rozwarła wargi. Puls u nasady szyi zatętnił jej nierównym rytmem. Oddech Rowana, ogrzewający jej skórę, kazał zapomnieć o wszystkim poza nim. Rzeczywistość odpłynęła i Karin splótła dłonie na karku mężczyzny, by mieć go bliżej.

Z gardła Rowana dobył się niski, dziki pomruk; przywarł do jej podbrzusza nabrzmiałą męskością. Zachwiali się. Karin poddała się naglemu, obezwładniającemu doznaniu. Pragnęła jego ust na swoich ustach, jego pieszczącego ciała... jego miłości. Chciała, by w nią wszedł.

Rowan podniósł głowę i odsunął ją drżącymi rękoma. Gorący, nierówny oddech omiatał jej skroń. Wyglądał na zmęczonego, ale i tryumfującego.

- Mam przestać? - wyszeptał. Nie mogła powstrzymać drżenia. - Nie.

- Czy możesz zaprzeczyć, że mnie pragniesz, Karin?

- Znasz już przecież odpowiedź. - Trzymała *oczy* szeroko otwarte, wpatrując się w guzik jego koszuli, by nie stracić całkiem równowagi.

- Czy czegoś ci w tej chwili brakuje? - zapytał, gładząc jej policzek palcem.

- Nie.

Oczy mu rozblęły.

- Nie ma więc powodu, byśmy nie mogli się sobą cieszyć.

Znów zwarł wokół niej ramiona i przyciągnął do siebie. Położył chciwe ręce na jej pośladkach, przywarł do niej. Dysząc, całował jej policzek miękkimi, wilgotnymi wargami, a potem przesunął ustami wzdłuż delikatnej miękkości jej podbródka.

Zaczęła szukać powietrza, zapadać się w czeluść, ziemia zakołysała się jej pod nogami. Wsunął język głęboko w usta Karin, zapraszając i torturując. Przesunął rękę do przodu, znalazł guzik u spodni i zanim zdołała zareagować, rozpiął je. Palce mężczyzny zaczęły gonić po jej brzuchu.

Zrobiła się mokra u styku ud. Wsunęła dłonie pod jego sweter i koszulkę, zanurzyła je w mierzwę na jego piersi, oparła o nią czoło. Zgrzytliwe kreks kreks cykad dy rozbrzmiało niby echo jej oddechu.

- Karin, ja... o Boże, Karin... - Uspokoił swoje dłonie, przytrzymał ją przez chwilę i złożył lekki pocałunek na jej nabrzmiałych wargach. - Poczekajmy do nocy. Jeśli teraz nie przerwę, to... - Ucichł.

Nic nie miałabym przeciwko temu, pomyślała. Kocham go. I on mnie kocha, choć nie chce się do tego przyznać. Nie wszyscy mężczyźni zdolni są do wyznań. Uśmiechnęła się do siebie; nabyta wiedza niosła ze sobą ciepło i dziwny rodzaj opuszczenia. Naprawdę ją kochał, ale bał się swoich uczuć.

Podniosła się na czubkach palców i pocałowała go namiętnie w usta.

- No to może wracajmy lepiej do pracy.

- Słusznie, wracajmy. - Uśmiechnął się zaskoczony. Karin odwróciła się, zapięła szybko spodnie i ruszyła

w kierunku bazy, wiedząc, że za nią patrzy.

Resztę poranka spędziła, sprawdzając rozkład obciążeń dwóch dużych anten. Kiedy zajechała ciężarówka z płytami na podstawę, podpisała rachunek i pokierowała rozładunkiem, a potem wróciła do biura, by dokończyć obliczeń. Gdy tylko jednak

udawało jej się skupić, wpadał do środka Geoff albo ktoś inny i odrywał jej uwagę pytaniami.

Po piątym razie odsunęła laptopa i zapatrzyła się w ścianę, wspierając łokcie o deskę i podtrzymując twarz dłońmi. Przestała myśleć o pracy i pozwoliła myślom płynąć swobodnie.

Od początku była we władzy Rowana, od pierwszego dnia na grani, kiedy wziął ją w ramiona, aż do nocy w jaskini, kiedy ją całował, przyciągał ku sobie, pragnął. Tak, Rowan pragnął jej równie silnie jak ona jego. Od zawsze tak było, pomyślała. Od zawsze.

A ostatniej nocy... tak, była pewna. Żywił do niej uczucia. Może i tego nie chciał i z pewnością nie miał zamiaru tego wyznaczyć, ale tak było. I wiedziała, że on to wie.

Uśmiechnęła się z rozmarzeniem. Nawet kiedy go nie lubiła, pragnęła go. Nawet kiedy obchodził się z nią szorstko, wiedziała, że jej pożąda. Nie potrafił ukryć zdenerwowania, kiedy przebywała w towarzystwie innego mężczyzny dłużej niż kilka chwil. Po prostu był zazdrosny. Myśl o tym sprawiła jej przyjemność.

Zanurzona w marzeniach podskoczyła, kiedy Geoff wszedł do środka i zaczął objąć buty o framugę, by oczyścić je z błota.

- Karin, możesz rzucić na to okiem? - Podeszedł do niej i położył na biurku kartkę.

Przebiegła wzrokiem cyfry.

- Przecież zamknęliśmy już obliczenia dotyczące głównej platformy. Co to za nowe dane?

- Wprowadziłem zmiany na północnym odcinku - wyjaśnił. - Rowan chce mieć dodatkową antenę.

- Nie było zgody na trzecią paraboliczną. - Zmarszczyła brwi.

- Już jest.

Zagłębiła się w obliczeniach.

- Wielkie nieba. Obciążenie wzrasta trzykrotnie. Co ty chcesz tam postawić, wieżowiec?

Geoff wyszczerzył zęby.

- Zgadłaś.

- Ale dlaczego...?

- Nie możemy pracować na niskich częstotliwościach - zadudnił w pokoju baryton Rowana. - Mamy za duże zakłócenia. - I dlatego chcecie iść do góry? - Karin obróciła się na stołku. - Na jaką wysokość?

- Podstawa ma sześć stóp, do tego trzeba dorzucić pięćdziesiąt trzy cale obrotnika.

- Ale to zmienia całkowicie problemy wytrzymałości. Zwiększa się obciążenie wiatrem.

- Zmniejszamy antenę wiązkową. Przy starej większość przekazu się gubi. - Otaksował ją spojrzeniem. - Jeżeli nie chcesz się pobawić, może Geoff to zrobi za ciebie.

Geoff uśmiechnął się, wyraźnie z siebie zadowolony.

- Już to zrobiłem. - Podniósł żółty wydruk z biurka i wręczył go Rowanowi. - Masz tu wszystkie dane. - Rowan przejrzał je szybko. - W porządku. Zaraz dostaniesz materiały. Ostatnia rzecz... - przeniósł wzrok z Geoffa na Karin - data oddania obiektu została przesunięta na dwunastego października. Mamy jeszcze trzy tygodnie.

Wszystko musi być gotowe do testu na tydzień wcześniej.

Ruszył do drzwi, chowając wydruk do teczki.

- Porozmawiamy później, Karin. - Zatrzymał się na górnym schodku, obrócił

się i popatrzył na nią oczyma palącymi się ciemnym światłem. - Wieczorem.

Karin odwróciła twarz, by ukryć rumieniec, który poczuła na swych policzkach. Spojrzała w końcu na Geoffa i westchnęła.

- Koniec z wolnością. Musimy ostro pracować, jeżeli chcemy zmieścić się w czasie.

Wzruszył ramionami i nie odpowiadając, poczłapał w kierunku drzwi.

- Geoff! - zawołała Karin tonem ostrzejszym niż zwykle. Obrócił się w drzwiach, spojrzał na nią ponurym

wzrokiem. Minę miał desperacką, wodniste oczy tonęły w skurczonej twarzy. Zmieniła ton na miękki.

- Geoff, proszę cię. Wiem, że cierpisz. Rozumiem, co się z tobą dzieje - obniżyła głos - i ja nie byłabym inna w takich okolicznościach. Ale musisz wziąć się w garść. Musimy skończyć w terminie. Leonard liczy na nas oboje. - Geoff wyszedł bez słowa.

Przyszła pierwsza do stołówki na kolację, po chwili pojawił się Derrick.

- Słyszałem, że zawalili cię nowymi obliczeniami - powiedział. - Jak ci leci?

Zmusiła się do uśmiechu.

- W porządku. Płyty montażowe są już przygotowane. Jutro zaczną je mocować.

- Nawet pod nową antenę?

- Pod nową nie. Muszę o tym porozmawiać z Geof-fem, bo to teraz jego działka. - Obrzuciła wzrokiem stołówkę. - Nie wiesz czasem, gdzie on jest?

- Nie widziałem go od obiadu. - Derrick rozejrzał się. - Powiedział, że jedzie na grań, żeby coś sprawdzić.

Karin zmarszczyła brwi.

- Nic tam nie ma do sprawdzania. - Czy znów coś przesadziła z Geoffem?

Chyba nie, ale wyszedł bez słowa. Coś go najwyraźniej nurtowało.

- Już jest, popatrz. - Derrick odwrócił się do drzwi, przez które wchodzili właśnie Geoff i Paddy. Oczy Geoffa błyszczały, nos i uszy były czerwone.

Pił, pomyślała Karin. Podeszła do niego, odciągnęła go na bok.

- Musimy porozmawiać. Jutro robotnicy zaczynają instalację.

- No to zaczekajmy do jutra. - Geoff spojrzał na nią powiększonymi źrenicami.

- Łeb mi pęka.

Karin pociągnęła nosem.

- To dżin, tak?

- O czym ty mówisz?

- Piłeś dżin. I nie patrz tak na mnie. Myślisz, że jak Rowan nie poczuje, to się nie domyśli. Ale ja wiem, jaki jesteś na trzeźwo, a w tej chwili na pewno trzeźwy niejesteś. - Dotknęła jego ramienia. - Geoff, weź się w garść. Robisz sobie tylko krzywdę.

- Pilnuj własnego nosa - warknął. - Czepiasz się o byle co. Przesadzasz ze wszystkim.

Ruszył w stronę drzwi, omal nie spadł ze schodków.

Karin poszła za nim z bijącym sercem. Był kompletnie pijany.

Zatrzymał się przy sosnach przed swoją przyczepą, ramiona zwiślały mu bezwładnie.

- Geoff - powiedziała Karin stanowczym tonem. - Nie możesz jednocześnie pić i pracować. Gra idzie o wielką stawkę. Pomyśl o swojej przyszłości. - Dobry Boże, pomóż mu się ocknąć, nim będzie za późno.

Geoff oparł się o wątłą sosenkę.

- Wiesz, kim ty jesteś? Cholerną, wścibską samicą. Nikt cię nie prosi, żebyś mi

urządzała życie. Albo pracę. - Usta mu się zwężyły. - Rowan mi ufa. To mnie przydzielił główną platformę, nie tak? To znaczy, że nie potrzebuję twojej pomocy.

Rzucił jej spojrzenie pełne pogardy.

- Zupełnie jak Alicja. Zawsze musicie się w coś wpięprzać - wymamrotał.

Odwrócił się od niej i odszedł w noc.

Karin westchnęła. Geoff pozostawał Geoffem. Już tego doświadczyła. Jeśli sam nie widział problemu, ona nic nie mogła zrobić. Ale jeśli spartoli robotę - jej robotę - będzie musiała o wszystkim powiedzieć Leonardowi.

Zawróciła w stronę stołówki. Rowan stał w drzwiach.

- Coś nie tak? - zapytał. Patrzył to na Karin, to na przyczepę Geoffa. -

Słyszałem, że rozmawiałaś z Ellisem.

Zawahała się.

- Nie, nic złego się nie dzieje. Geoff po prostu nie najlepiej się czuje, boli go głowa. Powiedział, że nie będzie jadł kolacji. - Karin skrzywiła się przy kłamstwie. Weszła po schodkach, ocierając się o Rowana. - Wchodzisz? - spytała. Spojrzał ku ciemnym drzewom, skinął głową i wszedł za nią. Usiadła naprzeciwko niego. W chwilę później Thorny wniósł parujący półmisek z plastrami jagnięciny i smażonymi ziemniakami. Nałożyła sobie na talerz, wbiła widelec w kartofel i odegnęła od siebie zmartwienia. W jednym punkcie zgadzała się z Geoffem - nie mogła decydować o jego życiu. Tym niemniej...

Przestań o tym myśleć, odezwał się w niej głos. Westchnęła i powróciła myślami do stołkowej konwersacji.

Podniosła głowę i napotkała płonące spojrzenie Rowana. Oczy mężczyzny przemknęły po jej ciele, rozbierając ją potajemnie. Coś zapulsowało jej w brzuchu, popłynęło ku piersiom. Załapa ją fala gorąca. Odsunęła od siebie talerz i podniosła do ust filiżankę z herbatą.

Po drugiej stronie stołu Rowan słuchał uprzejmie wywodów swego przyjaciela Jacka, ale uśmiech, jakim obdarzył Karin, i błyski w srebrnych oczach zagotowały w niej krew.

Zgodziła się zagrać w szachy z Derrickiem, ale nie była w stanie skupić się na grze. Zamiast pomyśleć o strategii, przywoływała w myślach palce Rowana błądzące po jej ciele.

Zastanawiała się jednocześnie nad tym, co ich łączyło.

Czy miała pójść na ryzyko? A jeśli Rowan nigdy nie przyzna się, że jest mu bliska? Czy tak bardzo bał się zaangażować, że pozwoli jej wrócić do Kalifornii, pozwoli jej zniknąć ze swego życia? Spróbowała się skoncentrować.

- Szach i mat - zaśmiał się Derrick, podnosząc do góry jej króla.

- Trudno - powiedziała. - Wygląda na to, że nie nadaję się dziś do walki. -

Wstała i ruszyła w stronę drzwi. - Dobranoc panom.

W pokoju oparła się o drzwi. Robiło się coraz ciemniej, a ona zdała sobie sprawę, że cały wieczór czekała na Rowana, na to, by ją otoczył ramionami, całował jej ciało. Twarz zrobiła się jej gorąca, poczuła, jak drżą jej i słabną uda.

Rozebrała się i złożyła ubranie na krześle. Nie chciała już więcej myśleć, chciała tylko, żeby to się stało. Pozbyła się wątpliwości.

Wzięła prysznic, wtarła w ciało lawendę i nałożyła nową koszulę nocną. Spływała gładką falą od kibici ku stopom. Prężące się piersi napinały materiał i uwidaczniały rząd maleńkich perłowych guzików. Leniwymi ruchami przeciągnęła szczotkę przez włosy, a potem uperfumowała kark i przeguby shalimarem. Nie miała ochoty na lekturę. Wyciągnęła kartkę z biurka i zaczęła pisać list do Ateny. Przynajmniej miała jakieś zajęcie.

Nim zdążyła napisać trzy linijki, usłyszała, jak otwierają się i zamykają drzwi po

stronie Rowana. W minutę później strumienie wody zaczęły bić o metalową ścianę kabiny. Zmusiła się do pisania, póki nie otworzyły się drzwi.

Zobaczyła Rowana w spodniach od piżamy i ciemnoczerwonym szlafroku luźno ściągniętym paskiem. Na jego wciąż wilgotnej piersi błyszczało czarne owłosienie. Zaciał się przy goleniu - na szczęce miał mały plasterek. Zapach piżma rozszedł się po pokoju. Poczwała, jak ogarnia ją podniecenie.

Podszedł blisko, wyciągnął ręce i pociągnął ją ku sobie.

- Gotowa do łóżka? Otoczyła ramieniem jego kibić.

- Myślałam, że nigdy o to nie spytasz.

- Ależ jesteś niecierpliwa. - Śmiech zadudnił mu w piersi. - Pamiętaj, że siedzę z chłopakami do końca i nie mogę za tobą pobiec, nie wzbudzając podejrzeń. - Spuścił wzrok. - Włożyłaś to dla mnie?

- Może. Podoba ci się? - Opuściła ręce, cofnęła się o krok i obróciła na czubkach palców.

Wziął ją w ramiona, wyrażając uznanie gardłowym pomrukiem. Potem uniósł jej podbródek i nachylił się ku ustom. Językiem objechał jej miękką dolną wargę. Podłożył dłonie pod jej piersi i uniósł je, aż poczuł ich pełnię. - Pragnąłem tego przez cały dzień. Boże, nie mogłem o niczym innym myśleć.

Nagle poderwał ją z ziemi, przeniósł przez próg i złożył na swoim łóżku. Od razu zabrał się za rozpinanie guziczków.

- Czarująco w tym wyglądasz, ale lepiej ci bez tego. - Udało mu się rozpiąć trzy guziki, zatrzymał się przy czwartym. - Do diabła. - Zniecierpliwiony, ściągnął jej koszulę przez głowę i cisnął w kąt pokoju.

Rozbawił ją ten pośpiech, poczuła nagle słodycz władzy w obliczu głodu mężczyzny. Koniuszki piersi zdrętwiały jej od zimnego powietrza, ale już po chwili poczuła na nich język Rowana i przepłynęło przez nią pożądanie. Chwyliła za pasek od szlafroka.

- Nie ruszaj się.

Poły rozwarły się. Ściągnęła z niego okrycie, powoli, patrząc, jak ciemnieją mu oczy. Karin musnęła palcami, a potem wargami jego małe sutki.

Rowan zadrżał, wciągnął głęboko powietrze. Pachniał sosnowym mydłem i piżmem. Karin drażniła go dalej językiem.

- Nie przerywaj. - Jęknął. - Gdzieś się tego nauczyła?

- Od ciebie. - Uśmiechnęła się. - Czekam na nową lekcję. Zachłysnął się oddechem.

- Nie myślę, żebyś jeszcze miała wiele do nauki. - Chwylił jej dłonie i ściągnął je ku spodniom od piżamy. - Ale jeżeli nie przestaniesz, mogę mieć problemy.

Poczwała go przez jedwabisty materiał, nabrzmiałego i gotowego, i już pulsowała w niej własna żądza. Położyła dłoń na zapięciu.

Odsunął jej rękę, zsunął z siebie spodnie i przeturlał się razem z nią na środek szerokiego miękkiego łóżka.

Uniosła się i przesunęła nad niego. Spojrzał na nią pytająco i po chwili poddał się pieszczocie jej palców, jej ust, jej piersi. Chwylił ją za ramiona szeroko rozwartymi dłońmi.

Dojrzała pod jego dotykiem i siadła na nim, biorąc gow siebie. Narzuciła mu spokojny rytm, sama dziwiąc się swym umiejętnościom, póki jego twarzy nie wykrzywił grymas, dłonie nie wczepiły się w jej pośladki i nie wydobył z siebie, sztywniejąc, krzyku.

Opadł do tyłu, kierując jej palce po wilgotnej skórze.

- O Boże, Karin. Jesteś niezemska. Nie mogę uwierzyć, że to prawda. - Przyciągnął ją do siebie, przewrócił na plecy i narzucił swój rytm, który rozpałił ich

oboje. Zanurzył palce w jej włosy, przyłgął wargami do jej ust, powtarzając coraz szybciej jej imię w miarę, jak przyspieszały się ruchy jego ciała. - Karin - zatchnął się. - O Karin, tak bardzo cię pragnę.

Poczuła się opętana. Umysł opróżnił się, pozostało tylko rosnące napięcie i głód mężczyzny. Za chwilę całe jej ciało eksplodowało cudownym doznaniem.

Zwinęła się w kłębek, przyłgnęła do niego. Ukołysało ją bicie jego serca. Tak dobrze było być z Rowanem.

- O czym myślisz? - zapytał niespiesznie. Zaczerwieniła się, ale nie odpowiedziała.

- Na pewno o czymś przyjemnym. - Napięło mu się ramię. - Powiedz mi.

Pocałowała go tuż nad sutką.

- Zastanawiałam się, czy czulibyśmy się tak samo, gdybyśmy byli małżeństwem.

Otworzył szeroko oczy i odsunął się.

- Skąd taki pomysł?

- Nie sądzisz, że to normalne myśleć o małżeństwie w takiej sytuacji?

- Nie ma żadnej sytuacji, Karin. - Podparł się łokciem i spojrzał na nią z góry. -

Już to przerabialiśmy.

Myśli zawirowały jej w głowie. Usiadła gwałtownie.

- Ożeń się ze mną, Rowan - wyrzuciła z siebie. - Przecież mnie kochasz.

- Wcale nie... - zaczął. Przerwała mu pocałunkiem. - Ależ tak! Tyle że się boisz.

- Tak, Karin, kocham cię. - Popatrzył na nią przez dłuższą chwilę. - Niestety.

Ale to moja sprawa, nie twoja. - Znów odsunął się wpatrzony w jej twarz. - Wydawało mi się, że zgodziliśmy się cieszyć się sobą przez czas, jaki nam pozostał. O niczym innym nie wspominałem.

- Przez czas, jaki nam pozostał? - O czym on właściwie mówił? - Czy ja... mam sypiać z tobą, póki tu jestem, a potem wrócić do pracy, do domu w Stanach, tak jakby... tak jakby to było częścią jakiejś umowy?

- To wszystko co mam do zaproponowania, Karin. Wyraziłem się chyba jasno: nie zwykłem się wiązać. - Przesunął mrocznym spojrzeniem po jej ciele i zatrzymał się na jej twarzy. - Kiedyś się związałem. Dziękuję, to wystarczy. - Okręcił wokół palca kosmyk włosów Karin. - Najzwyczajniej wyraził to Bernard Shaw: zakochani w sobie ludzie nie powinni się ze sobą żenić.

- Bernard Shaw absolutnie nie miał racji - odpaliła. - W miejscu skąd pochodzę, zakochani biorą ze sobą ślub.

- Małżeństwo jest stanem, do którego nie dążę. Pogódź się z tym, Karin.

Pragniesz mnie, a ja pragnę ciebie. Podoba mi się twoja szczerość. Nie tylko dobrze pracujesz, ale jesteś kobietą namiętną. Zdumiewająco namiętną. Dobrze nam razem.

- Mnie to nie wystarcza. Spojrzał na nią.

- Nic innego nie mam do zaoferowania.

Przejechała palcami po kołdrze. Inne kobiety na pewno nie odrzuciłyby takiej propozycji. Ale nie była innymi kobietami. Kochała go i to bardziej, niż mogła sobie wyobrazić. A on właśnie wyznał, że jest w niej zakochany, pomyślała z nagłą jasnością. Raz jeszcze zastanowiła się nad tym, co powiedział. A może rzeczywiście pragnął tylko jej ciała? Nie, to nie była prawda. Kochał ją. Gdyby tylko przestał się przed tym bronić! Napotkała jego płonący wzrok, srebrne błyski w oczach podobne lodowym drzazgom. Wiedziała, że nie sposób było teraz do niego dotrzeć. Jego umysł był zamknięty.

Mój Boże. Co miała robić?

Odpowiedź przyszła sama.

Wzruszyła ramionami.

- Mam wrażenie, że powiedzieliśmy sobie wszystko, co było do powiedzenia. -

Wyślizgnęła się z łóżka i przeszła zdecydowanym krokiem do swego pokoju.

- Karin, zaczekaj!

Zamknęła drzwi na zasuwkę i spojrzała na budzik. Trzecia godzina. Rozejrzała się wokół, szukając swej koszuli i przypomniała sobie, że Rowan rzucił ją gdzieś w kącie u siebie. Nałożyła inną i położyła do wyziębionego łóżka.

Wiedziała, że gra. I że ryzykuje. I to dużo. Całe jej ciało tęskniło za nim. Przez chwilę zapragnęła wrócić do niego, dotknąć go. Może z czasem coś się w nim odmieni.

A może i nie.

Zegar wybił czwartą, kiedy usłyszała, jak zamykają się drzwi i jak dudnią buty Rowana na zewnętrznych schodkach. Najwyraźniej też nie mógł zasnąć. W porządku. Niech się przejdzie. Może rozjaśni mu się w głowie od zimnego, nocnego powietrza.

Po prawdzie, jej też przydałoby się trochę jasności. Czy powinna pójść na kompromis? Odstąpić od swych zasad w przypadku Rowana tylko dlatego, że go kocha? Ale czy to nie oznaczałoby, że nigdy nie zwalczy strachu przed zaangażowaniem się? Z drugiej strony, cóż takiego traciła, godząc się na krótkotrwały romans?

Wszystko. Zdrowie psychiczne. Serce. A także i Rowana.

Na Boga, czy nie ma wyjścia z tej sytuacji?

Wcisnęła twarz w poduszkę. Spróbuje pospać. Jutro wstanie z czystym umysłem i zastanowi się co dalej robić.

15

Wiatr wyl w gałęziach drzew, trząsał oknami stołówki. Samotna przy stole Karin męczyła się ze śniadaniem, niepomna ciepła bijącego z naftowego piecyka i wizgu wiatru na zewnątrz. Choć jej organizm domagał się solidnego pożywienia, śniadanie nie nęciło jej, podobnie jak sen ubiegłej nocy. Rzuciła okiem na ołowiane niebo za oknem, a potem na zegar ścienny. Za pięć siódma. Załoga skończyła już jeść i rozeszła się do zadań, i tylko Rowana wciąż brakowało.

Na Boga, co miała teraz robić? Tak bardzo go pragnęła, ale potrzebowała czegoś więcej niż jego ciała. On tymczasem, bez względu na swe uczucia do niej, proponował jej tylko przygodny seks.

W ich kochaniu nie było jednak przygodności. Rozkoszny dreszcz przebiegł ją od brzucha aż do głowy na wspomnienie ostatniej nocy. Pożądała go. Całego. W jej uczuciach do Rowana nie było cienia obojętności.

Karin upiła łyk kawy i przywołała ciało do porządku. Popęłniła już rzecz niesłychaną, pozwoliła sobie na zakochanie się w mężczyźnie, który szukał tylko przygody. Ale wciąż tęskniła za jego dotykiem. Chciała być częścią jego życia.

Wiedziała, że chłód i arogancja były tylko fasadą, ochroną własnej wrażliwości. Zdała sobie w końcu z tego sprawę. Ale choć pozwalało to jej lepiej zrozumieć Rowana, w niczym nie pomagało rozwiązać problemu.

Jak miała go przekonać, że nie powinien się bać związku z nią, że w niczym nie przypomina jego pierwszej żony? Niby o tym wiedział, przecież sam jej wyznał, że jest inna od Klaudii. Nie, problem był jeszcze głębszy. Czy tak bardzo przeraził się Klaudii, że nic, nawet jej miłość, nie mogło już go wyleczyć? Czyżby znalazła mężczyznę, którego będzie kochać przez resztę życia, ale do którego nie dotrze, bo odgradził się od niej nieprzekraczalną barierą?

Czuła się zupełnie zagubiona. Jak do niego dotrzeć, co zrobić, by zrozumiał?

Nie miała wielkich szans. Rowan oddalał się od niej, kiedy się bał, a teraz czuł lęk - przed nią. Był wystraszony, ponieważ tak wiele do niej czuł; gdyby był mniej zaangażowany uczuciowo, nie czułby się zagrożony. Prawdziwa ironia losu.

I tak mogła nazwać się szczęściarą; przynajmniej znalazło się dla niej miejsce w kąciku jego serca.

Niewielka to jednak była pociecha.

Thorny zaczął sprzątać ze stołu.

- Nie smakowała ci dzisiejsza owsianka? Może ci zrobić jajko?

- Nie. Dziękuję, nie jestem głodna. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem i dopiła resztkę kawy.

W biurze Rowan i Geoff stali przy kreślarskiej desce i omawiali plany na bieżący dzień. Kiedy Karin weszła, Rowan skinął jej krótko głową, nie przerywając rozmowy.

Usiadła przy biurku i wróciła do obliczeń, nad którymi pracowała poprzedniego dnia. W chwilę później rozbrzmiał pisk hamulców anonsujący przyjazd brygady budowlanej.

Geoff wsunął kartkę pod przycisk tekturowej tabliczki.

- Muszę porozmawiać z majstrem. Zaraz wracam. - Trzasnęły drzwi, na schodkach załomotały kroki.

W zapadłej nagle ciszy Karin spojrzała na Rowana. Ból, nieufność i pożądanie walczyły ze sobą w jego szarych oczach i przez moment miała wrażenie, że zobaczyła jego duszę. Tak, pragnął jej, kochał ją. Ale nie potrafił podjąć ryzyka.

Patrzył na nią przez długi czas bez uśmiechu, a potem odwrócił się do biurka.

Udał, że przegląda jakieś papiery, w końcu położył plik przed Karin.

- Sprawdź to jeszcze raz. Twoje obliczenia nie zgadzają się z wynikami Ellisa.

Ostry ton wzburzył ją. Podniosła głowę, ale znajoma obojętność ponownie zagościła na twarzy Rowana.

- Mam wrażenie, że znów wrócimy do naszych sprzeczności. - Słowa wyrwały się z niej, zanim zdążyła pomyśleć.

- Wcale tak nie musi być, Karin. - Uśmiechnął się zimno. - To do ciebie należy wybór. Wydawało mi się, że po... po ostatniej nocy oboje zorientowaliśmy się, czego pragniemy.

Karin postanowiła zignorować jego cyniczne spojrzenie.

- Mówisz tak... zwyczajnie o ostatniej nocy. Wygląda na to, że niewiele dla ciebie znaczyła.

- Właśnie że była dla mnie strasznie ważna. Tyle tylko, że usiłuję ją ustawić we właściwej perspektywie - odparł z irytującą obojętnością. - To ty robisz z tego problem.

- Do diabła z twoją perspektywą! Rozmawiamy o ludzkich uczuciach, a nie o wykresach.

- Zgadzam się. Tyle że twoje uczucia przybrały postać jakichś damskich fantazji. Taka jest prawda, Karin. - Postąpił gwałtownie w jej kierunku i poderwał ją z krzesła w swe ramiona. - Nie ma niczego innego. - Ujął jej podbródek między kciuk i palec wskazujący i nachylił ku niej swe usta.

Gdy tylko musnął ją wargami, ciało Karin przeszył dreszcz. Szarpnęła się do tyłu, ale trzymał ją w żelaznym uścisku. Poczuła, jak zaciska się wokół niej umięśniony krąg jego ramion, a on przywarł do jej ust, aż rozchyliły się wargi; wtedy wsunął między nie język. Gorąco zawirowało w niej, kiedy przycisnął się do niej biodrami. Potem odstał do tyłu i popatrzył na nią ciemnymi oczyma.

Wszystkie zmysły zdawały się w niej pływać, nie mogła złapać oddechu.

Powinna uciekać, zanim...

- Nie - jęknęła, odwracając głowę od jego szukających ust. - Ja... nie chcę... - Ależ chcesz - powiedział niskim, hipnotycznym szeptem, owiewając gorącym oddechem jej policzek. - Oboje chcemy. - Znów przyłgął do niej wargami, przesunął po jej ustach, aż przestała się opierać. Zapulsował w niej nagły przypływ pożądania i rozwarła wargi, smakując go. Wiedziała, że za chwilę da się ponieść fali...

Wiedziała też, że i on o tym wie.

W jego ustach czuło się pragnienie. Wciągnęła w nozdrza piżmowy, męski zapach, zanurzyła palce w jego ciemne gęste włosy i poddała się swemu ciału. Chwycił ją za ramiona, przycisnął do biurka. Poczła nabrzmienie pod szorstką, napiętą tkaniną spodni atakujące jej podbrzusze, puls ruszył jak oszalały. Odgięła się do tyłu. On jednak gwałtownie odsunął się, ciężko dysząc i spojrzął na nią mrocznymi, niezgłębionymi oczyma.

Bez słowa obrócił się na pięcie i wyszedł.

Cała roztrzęsiona osunęła się na krzesło. Siedziała bez ruchu, słysząc tylko, jak wali jej serce do taktu upływających minut. Znów zrobił to samo, sięgnął po nią, rozbudził w niej pożądanie, a potem odsunął się od swych uczuć. Wiedziała już, że długo tego nie wytrzyma. Wiedziała, że będzie musiała szybko podjąć decyzję - albo kochać go na jego warunkach, albo odejść, zgodnie z własnymi przekonaniem.

Żadne rozwiązanie nie było dobre dla obojga.

W końcu oddech Karin uspokoił się i rozłożyła przed sobą arkusze, które położył przed nią na biurku.

Biały papier zaroił się od tańczących linii, które rozgorączkowany umysł usiłował złożyć w całość. Odzyskała w końcu zdolność koncentracji i zabrała się za weryfikację. Przy drugiej próbie znalazła błąd. Geoff nie uwzględnił wzrostu obciążenia.

W dwadzieścia minut później rozbrzmiały przed drzwiami kroki Geoffa. Wyszła do niego na zewnątrz.

- Przejdź się ze mną do platformy, chcę ci coś pokazać. - Podała mu jedną z kartek. - Nie mam zaufania do tych pionowych wsporników. Nie wytrzymają dużego odchylenia. Geoff wyciągnął ku niej szyję i wykrzywił się.

- Rowan powiedział mi, że nalegasz na czterocalowe rury. Karin westchnęła. Geoff nie znośli, kiedy poddawało

się w wątpliwość jego metody pracy. Traktował to od razu jako osobisty atak. W ostatnich dniach zrobił się nad-wrażliwy i nic nie chciał od niej słyszeć.

- Wszystko rozumiem. - Zachowała obojętny wyraz twarzy i spokojny głos. - Ale to było przed pojawieniem się tutaj Grubej Bertie. - Wskazała na bładozielony reflektor, który dźwig właśnie osadzał na piedestale. Patrzyła, jak Paddy i Jack mocują stu pięćdziesięciokilowy dysk, podczas gdy Cyril podłączał zasilacz. Srebrna antena wydała jej się pojazdem kosmicznym.

- Właśnie dorzuciłeś czterysta kilogramów i poszedłeś w górę o pięć metrów - powiedziała spokojnie. - Czy zdajesz sobie sprawę, co to oznacza przy sztormowym wietrze?

Geoff wzruszył ramionami.

- Wszystko wyliczyłem. Ta konstrukcja oprze się każdej niespodziance, jaką szykuje dla niej Matka Natura. Możesz sprawdzić, jeżeli mi nie wierzysz.

Wrócili do przyczepy i Geoff wydobył plik papierów z poplamionej kawą teczki.

- Masz. Sprawdź sama.

- Zrobię to - mruknęła Karin.

- Zawsze musisz być najlepsza - powiedział Geoff szyderczym tonem.
- Geoff, zapomniałeś już, że prosiłeś mnie o nadzorowanie twojej pracy?
- Dobrze, dobrze. - Podniósł do góry obie ręce w obronnym geście. - Ale to było przedtem. Teraz już jest w porządku. A poza tym, jeśli Marsden akceptuje moje projekty, to nie widzę powodu, byś ty je kwestionowała. - Zaśmiał się krótko, zebrał ze stołu wydruki i wybiegł z biura, zatraskując za sobą drzwi. Karin odprowadziła go wzrokiem. Dobry Boże, najpierw Rowan, a teraz Geoff. Jak dotrwa do końca swojej misji? Czują się, jakby stała na krawędzi przepaści.

Westchnęła i rozłożyła przed sobą kartki z obliczeniami Geoffa. Wyjęła kalkulator z górnej szuflady biurka i zaczęła sprawdzać równania. Z Geoffem mogła się jeszcze uporać za pomocą matematyki i logiki, ale z Rowanem?

Uderzyła ją ironia sytuacji. Nie przypuszczała, że będzie tak wiele dla niej znaczył. Przez lata nie chciała się z nikim wiązać i bez większego wysiłku odchodziła, gdy tylko czuła zainteresowanie drugiej osoby. Teraz ona sama była stroną szukającą, mocno pragnącą związku.

I to nie z byle kim. Z nim. Z Rowanem Marsdenem. Gdyby w grę wchodził ktoś inny, zaprzestałaby swych zabiegów, została sama. Może nawet zgodziłaby się na przelotny romans. Ale nie z Rowanem.

Rowan był inny. Przyciągał ją ku sobie niczym spragniona dusza. Chciała być z nim, chciała go mieć i zachować na resztę życia.

Gra o taką stawkę, o przyszłość, nie pozwalała jej przystać na warunki stawiane przez Rowana. Przygoda miała swój początek, środek i nieunikniony koniec. To nie było to, czego oczekiwała. Romans jej nie zaspokajał.

Kiedy zapadła noc, bolała ją głowa i ramiona. Uprzątnęła biurko i powłócząc nogami udała się do stołówki, żeby zobaczyć Thorny'ego. Tłumacząc się zmęczeniem, wymówiła się od kolacji, a po powrocie zamknęła na zasuwkę dzielące ich drzwi i zwała się na łóżko.

W parę godzin później obudziło ją niecierpliwe pukanie Rowana.

Spróbował otworzyć drzwi, potem w nie załomotał.

- Karin. Otwórz te cholerne drzwi! Nie ruszała się.

Zaklął pod nosem, znów zapukał.

- Chcę z tobą porozmawiać, Karin.- Nie mamy sobie nic do powiedzenia.

- Otworzysz te pieprzone drzwi, czy mam je wyłamać? - krzyknął.

Karin skurczyła się na dźwięk tępego uderzenia, po którym nastąpił trzask pękającego drewna. Jeszcze chwila i rozwali pięścią cienką płytę. Wstała i pokuśtykała do drzwi.

Rowan wypełnił całą przestrzeń. Para buchająca z łazienki wpłynęła do pokoju. Miał zmierzwione włosy, jego oczy płonęły. Twarz miał zaczerwienioną, szczęki zaciśnięte. Czarna koszula była rozpięta na piersi; kropelki wody błyszczały na czarnym owłosieniu. Coś zapulsowało w szyi Karin.

Stała bez ruchu przy łóżku. Przebiegła językiem po suchych wargach, jej wzrok podążył za ciemną linią niknącą w sztruksowych spodniach i wrócił do twarzy. Mierzyli się oczyma czując, jak rośnie napięcie.

- Nie mam zamiaru przeproszać cię za to, co stało się rano - powiedział w końcu.

Poczuła złość wobec jego niewzruszonego uporu.

- Wcale na to nie czekałam.

A niech go łycho. Czego właściwie u niej szukał? Dlaczego nie zostawiał jej w spokoju? Dlaczego, sama na siebie warknęła, nie pchnął jej na łóżko i nie wziął przemocą? Gardło się jej ścisnęło, kolana ugięły pod nią.

- Wracaj do łóżka - rzucił. - Za zimno, żebyś tak stała bez szlafroka.

Prześlizgnął się wzrokiem po jej flanelowej koszuli, zatrzymał na sterczących piersiach. W oczach błyskało mu ciemne światło, ale na napiętej twarzy widniało tylko zmęczenie.

Nie opierając się, posłuchała. Niech wierzy, że jest jej zimno. To ułatwi walkę. Ułożyła wargi w słaby uśmiech.

Zapatrzył się w jakiś punkt przy łóżku.

- Mówiłaś przedtem, że chciałabyś przenieść się do miasteczka. Może to i dobry pomysł, zważywszy na okoliczności. - To było przed ustaleniem terminu testów. Teraz już muszę być w pobliżu. Im więcej czasu poświęcę projektowi, tym szybciej będę mogła wrócić do Stanów. - Ale przecież nie chciała wyjeżdżać. Czy on tego nie widział?

- Jak sobie życzysz. Ale lepiej trzymaj te drzwi zamknięte na noc. - Wskazał ręką w kierunku łazienki. - Będiesz bezpieczniejsza.

Bezpieczniejsza? Jak na razie nic go nie powstrzymywało.

- Przed czym? - zapytała pragnąc, by głośno to powiedział.

- Na Boga, Karin. Jesteś najbardziej podniecającą... - Pochylił się nagle nad łóżkiem, oczy mu rozbłysły. - Przede mną. W końcu jestem mężczyzną, który ma swoje... potrzeby.

Serce jej zatrzepotało i z trudem nadała głosowi normalne brzmienie.

- Potrzeby, które pojawiają się i znikają w zależności od tego, kto akurat jest pod ręką. Potrzeby, które wykluczają małżeństwo. - Poczowała satysfakcję, widząc jego wykrzywioną cierpieniem twarz.

- Już byłem żonaty.

- To nie było dobre doświadczenie. Dlaczego myślisz, że ze mną będzie tak samo? Że uczynię cię nieszczęśliwym, skrzywdzę cię tak, jak ona to uczyniła? - Zamrugowała, żeby powstrzymać nieoczekiwane łzy. - Powiedziałeś sam - zachłysnęła się - powiedziałeś, że w niczym jej nie przypominam. - Podniosła głowę. - Kiedy trzymasz mnie w ramionach, czy dalej o niej myślisz?

Zadrgał mu mięsień szczęki, ale nic nie odpowiedział. Ciągnęła dalej, świadomie skacząc mu do gardła.

- Kiedy jestem z mężczyzną, chcę czuć, że ceni się mnie za to, jaka jestem, a nie dlatego, że przypominam mgliście jakiś odległy ból. Dzięki Bogu wróciłam do siebie, zanim zaangażowałam się uczuciowo.

Zobaczyła, jak drgnął.

Kłamała. Związała się z nim od momentu, kiedy dotknął jej po raz pierwszy. Kolejne dwa tygodnie zlały się w jeden ciąg. Robotnicy przyspawali ostatnią poziomą poprzecznicę. Paddy i Jack przyłączyli się, by zdemontować starą, drewnianą kładkę i na jej miejsce wzniesli porządne schody, które przymocowali do platformy. Posłużyli się w tym celu podnośnikiem hydraulicznym. Za pomocą tego urządzenia wstawili na miejsce ciężkie nastawniki, które osadzili w płytach montażowych. Wszystko doskonale pasowało.

Każdego dnia Karin odfajkowywała kolejną zakończoną fazę roboty na swej liście i patrzyła, czy Geoff robi to samo. Pomimo jej obaw i częstych nieobecności Geoffa na placu budowy udało im się zmieścić w harmonogramie. Jeszcze parę dni koniecznych dla sprawdzenia, czy urządzenia funkcjonują, i będzie mogła wrócić do domu.

Zapatrzyła się w piętnastometrową metalową konstrukcję lśniąca w słońcu październikowego popołudnia i uśmiechnęła się. Każdy element tkwił na swoim miejscu. Jej część, istne spinające przeszło, prezentowała się okazale. Nawet Rowan to uznał podczas pierwszej inspekcji platformy.

Nie miała jednak pewności co do pracy Geoffa. Gdyby chociaż nie był z siebie

aż tak dumny. Poczula dziwny niepokój, wpatrzona w wielki półmisek anteny obracający się na swoim piedestale. A może to tylko moja paranoja, pomyślała marszcząc brwi.

Wyliczenia Geoffa nie zawierały błędu, ale coś jej nie pasowało. Czy powinna o tym porozmawiać z Rowanem?

Nie, westchnęła. Przez minione dwa tygodnie Rowan odpowiadał na jej słowa stoickim milczeniem. Zamknął się w sobie i przekazywał uwagi za pośrednictwem Geoffa. Nawet Thorny był zaskoczony.

Robotnicy uprzętnęli teren i Cyril zaproponował pożegnalną zabawę. Sam Neville Pickering miał przyjechać z centrali na inspekcję. Dlaczego by nie uczcić takiej okazji? „W końcu”, obstawał brodac, „Mac i Pady wyjeżdżają w sobotę i to będzie ostatni moment, by się wreszcie zabawić.” Rowan popatrzył z namysłem na Thorny'ego, a potem spojrzął na datownik zegarka.

- Możesz przygotować wszystko na piątek? Zostały tylko dwa dni.

Szeroki uśmiech zagościł na pobrużdżonej twarzy Thorny'ego.

- Zostaw to mnie. Wiem, jak się to robi. Piątkowym popołudniem Neville Pickering, starszy pan

o uważnych ciemnych oczach i błyszczącej, łysej głowie, przyjechał na czele ekipy z ministerstwa. Anteny, sprawdzone i gotowe do pracy, błyszczały na szarych cokołach, reflektory stały na warcie w jednej linii, czekając na inspekcję.

Rowan przedstawił Geoffa i Karin. Komentarze, które przy tym poczynił, rozweseliły wyraźnie starszego pana i napełniły zdumieniem Karin. Rowan mówił w superlatywach o jej dokonaniach. Bez wątpienia robił to też ze względu na Pickeringa. Serce dudniło jej jednak w piersi.

Kiedy dopełniono formalności, Thorny odkorkował szampana. Słońce zabarwiło chmury na różowo i pomarańczowo, z głośników popłynęła muzyka Mendelssohna i kucharz zaczął roznosić tace z górami kanapek. Rowan zajął się napełnianiem kieliszków.

Neville Pickering odmówił trzeciego szampana i usiadł na krześle przy Robinie i Derricku, którym zaczął opowiadać o początkach firmy. Geoff wychylił szybko trzy kieliszki pod rząd i zniknął.

Karin przyglądała się grupkom rozmówców i od czasu do czasu popatrywała na Rowana, który starał się wszystkich obsłużyć. Dobrze wywiązywał się z roli gospodarza, ale widać było, że nie jest w najlepszym nastroju.

Podszedł do niej z butelką szampana, ale ona odsunęła swój kieliszek.

- Wypiłam już swoje. Pójdę zobaczyć, czy Thorny nie potrzebuje pomocy w kuchni.

Ich oczy spotkały się.- Nie wygląda, byś się dobrze bawiła.

- Nie bardzo. A powinnam?

Usta zwęziły mu się w twardą linię, ale pod napiętą maską czaił się ból.

- Mogłoby być inaczej.

Poszedł dalej, nagle obrócił się i przebiegł wzrokiem po jej jasnożółtym swetrze i spodniach.

- Czy nie możesz na wszystko spojrzeć z mojego punktu widzenia? - spytał niskim głosem. - Mnie już nigdy nic nie zabolilo!

Ale teraz go bolało. Widziała to w jego oczach, w brzdach biegnących od nosa ku podbródkowi, w lekko opadających ramionach. Ale to była jego wina.

Chwyciła pusty kieliszek i postawiła go na tacy.

- To dlatego, że zamknąłeś się w próżni, gdzie nikt nie może cię dotknąć. A wszystko z powodu przeżycia, które miało miejsce piętnaście lat temu.

Wciągnęła głęboko powietrze. Musiała wyrzucić z siebie wszystko, póki ma

odwagę.

- Rowan, jesteś przewrażliwiony na punkcie kobiet i tego, co według ciebie dzieje się w nas. Chcesz widzieć jedynie to, co wydaje ci się słuszne. I robisz to, by siebie chronić. Boisz się, ale nie kobiet, tylko siebie.

Rowan zastygł ze zmarszczonymi brwiami.

- Nie jestem podobna do Klaudii. Jestem sobą i pozostaję wierna swojemu systemowi wartości. Nie zmienię go ani dla ciebie, ani dla nikogo. - Nabrała powietrza w płuca, by nie osłabnąć w obliczu jego ponurej miny. - Jesteś tak arogancki, uparty i wystraszony, że nie chcesz nawet spróbować się zmienić. - Spojrzała na niego. - Żał mi ciebie, Rowan. Nawet nie wiesz, ile tracisz z życia.

Podniosła tacę z kieliszkami i ruszyła przez trawę w stronę stołówki, walcząc ze łzami. Twarz jej płonęła, oddychała spazmatycznie.

Thorny stał przy zlewie, kiedy weszła do małej kuchni. - Postaw tutaj. - Pokazał miejsce z lewej strony. Chwyliła szmatkę i zaczęła wycierać naczynia. Twarz Thorny'ego spochmurniała, kiedy na nią spojrzął.

- Co się dzieje, panienko? - Nic.

Zanurzył kieliszki w wodzie.

- Czy to nie dziwne, że ludzie wymyślają sobie bajki, żeby ukryć prawdziwe uczucia? Nasz Rowan też to powtarza, kiedy zdarzy mu się mówić.

Jasnoniebieskie oczy Thorny'ego szukały jej wzroku.

- To przez niego taka jesteś?

Skinęła głową, spuszczać wzrok na szklanek, którą trzymała w dłoni.

- Jestem dla niego tylko przelotną przygodą. - Z oczu popłynęły jej łzy, znów wytarła suchą już szklanek.

- Tego się obawiałem.

Karin spojrzała Thorny'emu prosto w oczy.

- Od dawna znasz Rowana. Czy zawsze taki był? Thorny zwinął starannie ściereczkę do zmywania naczyń i odłożył ją na bok.

- Z początku nie, kiedy pracowałem dla jego rodziny. Ale po rozpadzie małżeństwa zmienił się. To bardzo skryty człowiek, który nie okazuje swoich uczuć.

- Czy on... czy bardzo był w niej zakochany? Zwalisty kucharz uśmiechnął się smutno.

- Jej odejście zniszczyło go. Nigdy jej nie wybaczył. - Okrył folią półmisek z pozostawionymi kanapkami. - Miałem nadzieję, że znajdziesz klucz i dostaniesz się do jego cierpienia.

- Też tego chciałam, Thorny. Ale on go dobrze schował.

Sobota obudziła się pod ciężkimi, stalowoszarymi chmurami; zimny wiatr przebijał się przez kurtkę, sweter i koszulkę i dobierał do skóry Karin. Otulając się własnymi ramionami, pogadywała z Paddym i Mackiem na parkingu, cze-kając, aż zajedzie Rowan i zabierze ich do miasteczka. Mężczyźni mieli zamiar wziąć pociąg z Cairnbeck do Brora, a stamtąd wyprawić się na dwa tygodnie w góry na połów łososi w strumieniach. Miała już być daleko, kiedy wróca.

Mac wziął ją w swe potężne ramiona i cmoknął mocno w policzek.

- To była prawdziwa frajda móc z tobą pracować, dziewczyno. Teraz co rano będzie mi brakować twojego ślicznego buziaka przy stole.

- Będę za tobą tęsknić, Mac. Bawcie się dobrze. I na-łapcie mnóstwo ryb. - Uściskała go i odsunęła się. - Paddy. - Wyciągnęła rękę. - Tak miło było z tobą.

Irlandczyk podniósł ją z ziemi i okręcił wokół siebie.

- To było coś, mieć cię z nami. Będzie nam ciebie wszystkim brakować. - Skinął głową w stronę platformy, od której nadchodził Rowan z kurtką przewieszoną przez szerokie ramię. - Nawet jemu, choć się do tego nie przyzna. Ale nie poddawaj

się, Karin, walcz o niego - wyszeptał Paddy, nim ją puścił.

- Nie za dużo tych pożegnań? Nie mam tyle czasu. -W głosie Rowana czuło się dezaprobatę. Wsunął się za kierownicę i przekręcił kluczyk w stacyjce.

Paddy usiadł z tyłu za Mackiem.

- Pamiętaj, co ci powiedziałem.

Karin patrzyła za roverem, póki samochód nie zniknął za zakrętem. Słowa Paddy'ego rozbrzmiewały echem w jej głowie. Było za późno; już zrezygnowała. Rowan nie chciał - nie mógł - się zmienić. Ona zresztą też nie. Ukończyła swoją pracę i nic już nie zdoła osiągnąć przedłużeniem swojego pobytu. Wróciła do przyczepy.

O zmierzchu, zziębnięta i zmęczona sortowaniem rozmaitych materiałów, Karin przeszła do inżynierskiej przyczepy. Rowan siedział obok Robina przy komputerze. Pochylony nad ekranem nie zauważył jej wejścia. Zakaszła; wtedy podniósł gwałtownie głowę.

- Zostaję na noc. Nie przejrzałam jeszcze wszystkiego... - Wciągnęła powietrze. - Wyjadę jutro rano.

Nic nie odpowiedział.

- Jeżeli chcesz jechać do miasteczka, mogę zastąpić cię przez ten czas.

Rowan wstał powoli z krzesła i popatrzył na nią szarymi, zachmurzonymi oczyma.

- Nie ma potrzeby. Nie ruszam się stąd. Złapaliśmy prognozę na czwartym kanale: z Północnej Irlandii idzie niezła zawieja. Centrala prosi nas, żebyśmy czuwali. - Spojrzał na Robina. - Chciałbym, żebyś tu był razem z Derrickiem i Thornym, gdyby coś zaczęło się dziać. - Rzucił okiem na Karin. - Gdzie jest Ellis?

- Ostatni raz widziałam go w południe. Rowan zmarszczył brwi.

- Dziwne. No cóż, on też będzie musiał zostać. Powiedz Jackowi i Cyrilowi, że mogą wziąć mój samochód. Jeden z roverów został na dole, a wolę mieć inny, gdyby trzeba było się wynosić. - Rzucił kluczyki Robinowi.

- Dlaczego mówisz „wynosić się?” - spytała Karin.

- O tej porze roku burze bywają paskudne. Jeśli będzie tak, jak zapowiadają, szykuje się prawdziwa nawałnica. Chcę mieć pewność, że w razie potrzeby będziemy w stanie wszyscy się ewakuować. - Przeczesał palcami włosy. - Mam nadzieję, że wszystko wytrzyma.

Przeszył ją nagle zimny dreszcz. Teraz już wiedziała, co ją trapiło. Dlaczego nie pomyślała o tym wcześniej? Obróciła się na pięcie i wyszła.

Karin podbiegła do platformy i spojrzała ku górze, by przyjrzeć się usztywniającej konstrukcji. Rzuciła okiem na krótsze przeszło. Nie było różnicy. W długim przeszle brakowało jednego poziomego członu!

Poczuła przerażenie. Wielki Boże, przecież przy sztormowym wietrze wibracje cięższej, niewłaściwie zabezpieczonej sekcji mogą rozbijać całą konstrukcję i antena może się zwalić na ziemię. Jak Geoff mógł zapomnieć o dodatkowym wzmocnieniu? Musiała z nim porozmawiać.

Karin pobiegła do przyczepy, którą Geoff dzielił z Jackiem.

- Drzwi są otwarte. - Geoff spojrzał na nią znad skotłowanej pościeli, którą przepychał w stronę łóżka Maca. Uśmiechnął się głupawo i szybko podszedł do biurka, na którym stała otwarta butelka. - Dzisiejszej nocy będę miał wreszcie prawdziwe łóżko.

- Geoff. Jak mogłeś!

- Co cię znów zżera? - Głos miał rozdrażniony, mówił niewyraźnie.

- Zapomniałeś o wzmocnieniu długiego przeszła! - krzyknęła. - Nadchodzi burza. Jeżeli ten kawałek nie wytrzyma...

- Ho, ho. Nie przemawiaj takim tonem - burknął. - Zajmę się tym. - Rzucił

pościel na podłogę i podrapał się w głowę. - Mówisz, że brakuje jednego z członów? A to dopiero, przysiągłbym, że go uwzględniłem w projekcie. - Łyknął zdrowo z butelki i opadł na łóżko.

Karin rzuciła się w jego stronę, wyrwała mu butelkę z ręki i rzuciła nią o drzwi. Szkło posypało się w bursztynową kałużę.

- Niech cię diabli - wypluła z siebie.

Geoff nie ruszał się, wpatrywał się niczym zahipnotyzowany w rozbitą butelkę.

Poczuła, jak zalewa ją duszący strach. Geoff nic tu nie mógł pomóc. Odplynął gdzieś daleko, a czas się kończył. Musiała o wszystkim poinformować Rowana. Natychmiast.

Nim wróciła do przyczepy, wiatr wył już w dolinie.

- Rowan - wydyszała. - Brakuje poziomego wzmocnienia. Geoff o nim zapomniał. Pił i...

Rowan uciszył ją jednym gestem.

- Wolnego. Powtórz jeszcze raz.

- Mówię o platformie; jedno z przęsł...- Zostaw na razie przęsła. - Twarz Rowana pociemniała. - Co powiedziałaś o Ellisie?

Ramiona Karin opadły.

- Ma problemy z alkoholem. Powinam ci o tym wcześniej powiedzieć, ale myślałam, że da sobie radę i...

- Wiedziałaś, że Ellis ma problemy z alkoholem? - Rowan patrzył na nią z rosnącym zdumieniem. - Na Boga, dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

- Ja... myślałam, że sam z tego wyjdzie. Poprosił mnie o pomoc, o to, żebym sprawdzała jego pracę - dokończyła żalonym tonem.

Rowan zacisnął szczęki, wbił w nią wzrok. Bardzo powoli zapytał:

- Powtórz teraz dokładnie, o co chodzi z tym wzmocnieniem?

Karin zebrała się w sobie, spróbowała wytrzymać jego wzrok.

- Brakuje części; nie ma poziomego członu. Rowan zaklął.

- Prosimy nas o „stawienie czoła” i to już nie jest przenośnia. Jeżeli przepowiednia się sprawdzi, będziemy w oku cyklonu. Przed chwilą nam to przesłali. Wręczył jej wydruk.

Zatrzymała się na pierwszej linijce. *Urząd Meteorologiczny informuje, że o godzinie 16 czasu Greenwich obszary Malin i Morza Irlandzkiego znalazły się w zasięgu sztormu.* Podniosła na niego wzrok i oddała mu kartkę.

- Co to w praktyce znaczy?

- Może być niewesoło - westchnął. - RAF instaluje jakieś urządzenia, które chcą przetestować w skrajnych warunkach klimatycznych. Mówią, że dopiero teraz je znaleźli. Będzie piekło, Karin. I jest nas tu za mało, żeby założyć brakujące elementy. Albo zrobić cokolwiek w razie alarmu. - Ich oczy spotkały się. - Wolę, żebyś została w środku.

Serce skoczyło jej w piersi.

- Jak chcesz to naprawić? - Nie wiem. Ale zrobię to.

Spojrzała na drukarkę, która wypluwała kolejny wydruk.

- Mogę posiedzieć przed komputerem. Idź lepiej coś zjeść.

- Nie teraz. - Popatrzył na nią przez chwilę, a potem odwrócił się do ekranu.

Co chwila pojawiały się nowe doniesienia. Czoło sztormu przesuwało się z druzgoczącą powolnością nad Morzem Irlandzkim w stronę kumbriańskiego wybrzeża; wtargnęło do rybackiej wioski Maryport i ruszyło w głąb łądu. Morze podniosło się i zalało ziemię, pchane huraganowymi wiatrami. Karin patrzyła przez kolejne godziny, jak burza postępuje, i odczytywała kolejne doniesienia. Na zewnątrz drzewa gięły się i tańczyły, tłukły gałęziami o przyczepy. Okienne szyby dzwoniły

coraz głośniej.

Czekali.

Thorny wchodził i wychodził, przynosił kawę i kanapki. Światło mrugało i przygasalo. Rowan przemierzał przyczepę wzdłuż i wszerz, co pewien czas rzucając okiem na regulator wielkiej anteny. Geoff, spokorniały i najwyraźniej trzeźwy, pomagał Robinowi i Derrickowi przy kablach. Później Thorny zasiadł przy Karin przed monitorem. Minuty rozciągały się w czasie, noc wlokła się niemiłosiernie.

Karin miała oczy ciężkie ze zmęczenia, kiedy podawała ostatni wydruk Thorny'emu.

- Wiatry wzmagają się - powiedział. - Przed świtem dojdą do osiemdziesięciu węzłów.

Spojrzała na zegarek. Za pięć dwunasta. Boże, jaka była zmęczona. Bolały ją ramiona, bolała głowa. Bolało ją całe ciało.

- A może byś się trochę przespała? - zasugerował Thorny. - Posiedzę zamiast ciebie.

Spojrzała na Rowana. Skinął głową, na jego twarzy widniało wycieńczenie.

- Nie - powiedziała. - Zostanę. O godzinie pierwszej nad ranem burza uderzyła z całą siłą. Deszcz i grad biły o przyczepę, potężna wichura trzęsła nią, omal jej nie przewracając. Drzwi otworzyły się nagle, woda chlusnęła do środka i ochlapała urządzenia. Światła zamigotały, przyczepa zakołysała się. Gdzieś nad nimi roztrzęsła się platforma i po chwili zapadły ciemności.

- A niech to - wymamrotał Rowan. - Wysiadła prądnica. - Zaczął kłać. Narzucił na siebie żółty deszczowiec i ruszył w kierunku wyjścia, chwytając po drodze latarkę. Trzasnęły drzwi.

Po chwili ogłuszającej ciszy Thorny i reszta wybiegli za nim.

Ryk wiatru na zewnątrz był ogłuszający. Przyczepa zakołysała się z taką siłą, że Karin aż spadła z krzesła. Usłyszała krzyk, potem mdlące trzeszczenie pękającego metalu. Przeciwległy kąt przyczepy rozświetlił się nagle od błyskawicy, która przecięła niebo. W ścianie ziała dziura, przez którą lał się deszcz. Znow rozległ się krzyk, zaraz stłumiony nawałnicą.

Musiała stąd wyjść. Rowan albo Thorny, albo jeszcze ktoś inny potrzebował pomocy. Zdjęła kurtkę z haka i naciągnęła ją na siebie. Przepychając ręce przez rękawy, chwyciła ostatnią latarkę i pchnęła drzwi.

Wiatr wyrwał cienką płytę z uchwytu. Drzwi zwiły na moment na zawiasach i roztrzaskały się o ścianę.

Nieprzeniknione ciemności przyprawiły ją o lodowaty dreszcz. Nic nie widziała przed sobą, wokół wył wiatr i trzaskały drzewa.

Nagle silny podmuch szarpnął gwałtownie przyczepą, która przechyliła się na bok.

Karin straciła równowagę i spadła ze schodków.

16

Karin wylądowała na kolanach między płataniną gałęzi. Zaczęła macać w błocie w poszukiwaniu latarki, znalazła ją na nasiąkniętej wodą kępie trawy i zapaliła.

Ziemia usiana była konarami i gałęziami. Obok niej przebiegł Derrick. Zawołała do niego, ale oszalały wiatr poniósł jej słowa. Podniosła się i podeszła do platformy. Rozmiar zniszczenia zaparł jej dech w piersi. Cała część podtrzymująca antenę zawałiła

się, resztki pomostu kołysały się w powietrzu.

Długie przeszło zwiślało nad przyczepą. Usłyszała trzask metalu i instynktownie przywarła do ściany.

Nagle metalowa belka opadła na jedną stronę i platforma przechyliła się. Karin odskoczyła. Zahaczyła o podkład i przewróciła się, uderzając plecami o ziemię. Zdołała usiąść i zastygła na widok wielkiej kraty, która spadała wprost na nią.

Przeszył ją ostry ból i straciła przytomność.

Kiedy ocknęła się, w głowie eksplodowały jej kolorowe światła. Zalała ją fala mdłości. Wciągnęła powietrze w płuca i rozjęczała się. Klatkę piersiową ścisnął ból nie do wytrzymania.

Zaczęła oddychać płytko, spazmatycznie. W prawej nodze nie miała czucia. Próbowwała się podnieść, udo pocięły natychmiast ogniste ostrza. Głowa opadła jej do tyłu.

- Rowan? - zawołała. Zaczęła rzeźić z wysiłku.

- Karin? - Głos Rowana rozbrzmiał tuż obok. - O Boże, Karin.

Otworzyła oczy. Twarz Rowana pływała tuż przednią. Poczowała, jak dłonie mężczyzny ujmują jej twarz, poczuła oddech na swym policzku. Drżąc, ukucnął przy niej, podtrzymując jej głowę.

- Karin, Karin.

- Rowan... co...

- Ciii - tchnął. - Nic nie mów. Napłynęły nowe głosy.

- Tutaj! - krzyknął Rowan.

Pojawił się Thorny z latarką, której światło przebijało się przez deszcz.

Nakierował je na miejsce obok Rowana.

- Karin? Na litość Boską!

Rowan otarł twarz wierzchem dłoni.

- Przycisnęła ją krata - powiedział. - Nie można jej ruszyć, ryzyko jest zbyt duże. Idź po pomoc.

- Gdzie są Derrick i Robin?

- Przy prądnicy.

- Idę! - krzyknął Thorny i zniknął w ciemnościach.

- Niech Robin zadzwoni do Keswick - zawołał za nim Rowan. - Niech im powie, że mieliśmy wypadek i żeby byli gotowi. I dawajcie ten cholerny podnośnik. Szybko!

- Czy jest jakaś zmiana?

Męski głos przepłynął gdzieś ponad nią, wydawał się znajomy. Po chwili przemówił inny, zawirowały szare cienie. Wsłuchiwała się w dźwięki, niezdolna do rozróżnienia słów.

Rowan usiadł na krześle w gabinecie zabiegowym. Skrzywił się, kiedy ukłuła go igła, przez którą wstrzyknięto mu pod skórę czoła środek znieczulający i odchylił się, opierając bezsilnie o pomarańczowe oparcie, podczas gdy lekarz dyżurny zakładał mu szwy na trójcałową ranę nad lewym okiem. Na szczęście gałąź nie uderzyła go o cal niżej.

Ale Karin leżała nieprzytomna w pokoju po drugiej stronie. Przeszył go dreszcz.

- Jeśli cokolwiek się jej zdarzy - Boże, jeśli...- Spokojnie, brachu - upomniał go lekarz silnym akcentem z Glaswege. - Zaszycę ci oko, jak jeszcze raz się ruszysz. - Spojrzał z dezaprobatą na pacjenta. - Trzeba było pokazać to paskudztwo pielęgniarce na dyżurze. Już dawno byłoby zdezynfekowane.

Rowan zmusił ciało do posłuszeństwa.

- To było najmniejsze z moich zmartwień.

Kiedy lekarz skończył, Rowan zerwał się na równe nogi. Pokryte zaschniętym błotem sztruksy ocierały skórę. Szczecina porastała mu szczęki, głowa dudniła, jakby ktoś walił w nią pięściami. Ociekał potem, w ustach czuł smak starej kawy. Odgarnął włosy z czoła i zaklął, kiedy otarł niechcący ręką o jeden ze szwów.

- Mogę ją teraz zobaczyć?

Lekarz potarł z namysłem podbródek.

- No, niech będzie. Ale tylko na chwilę. - Podniósł tackę z instrumentami i podał ją pielęgniarce. - Panna Williams doznała poważnego urazu i potrzebuje spokoju. Czy jest pan krewnym?

Ołowiany ciężar osiadł na piersi Rowana.

- Nie. Ona pracuje u mnie. - Podniósł wzrok na lekarza. - Czy wyjdzie z tego?

Lekarz przekrzywił głowę i przeczesał piegowatymi palcami rudawe włosy.

- Nigdy nie można być pewnym, ale moim zdaniem jest na to duża szansa. Ma odmę płuca i wstrząs mózgu, a to rzecz poważna. Boję się też o jej nogę. Spiralne złamanie kości udowej i zerwane ścięgno rzepki.

- Czy będzie mogła chodzić?

- W swoim czasie. Z boską pomocą i przy dobrej rehabilitacji.

Rowan wciągnął głęboko powietrze.

- Dostanie najlepszą, jaka istnieje.

- Ma szczęście - lekarz spojrział na niego z uwagą - że trafiła na tak troskliwą firmę. - Obawiam się, że niewystarczająco troskliwą. - Wytrzymał wzrok lekarza, potem odwrócił się i ruszył korytarzem, zaciskając i otwierając dłonie.

- Panie Marsden. Rowan się zatrzymał.

- Ma pan ochotę na kanapkę? Pielęgniarka może panu przynieść ze stołówki.

- Nie, dziękuję.

Łóżko Karin osłonięte było białymi płóciennymi zasłonami. Muślinowa firanka w oknie filtrowała światło.

Wydała mu się mała i bardzo blada na tle śnieżnej, szpitalnej bieli. Włosy rozsypały się ciemną chmurą na poduszce. Wisiała nad nią kroplówka, z której spływał powoli jasny płyn do lewej ręki. Oddychała tak płytko, że przykrywający ją koc prawie nie poruszał się. Nad brwią widniał okazały siniak.

Rowan usiadł na krześle przy łóżku. Jej prawa ręka leżała wzdłuż ciała, nieruchoma. Wychylił się i ujął jej dłoń w swoją. Palce miała zimne. Zbyt zimne. Poczul skurcz w gardle.

- Karin. Słyszysz mnie?

Cisza. Słyszał tylko niewyraźny oddech. Spróbował raz jeszcze.

- Karin, kochanie. Chcę ci coś powiedzieć. Wiem, że mnie nie słyszysz, ale muszę ci powiedzieć, co czuję. Posłuchaj mnie, kochana, jeśli możesz. Chcę ci coś powiedzieć.

W dziesięć minut później wstał.

- Jutro znowu będzie mógł pan spróbować. - Lekarz poklepał go po ramieniu.

Rowan pokuśtykał korytarzem. To nie to samo co mówić do niej, kiedy była przytomna, ale nic lepszego nie mógł zrobić. Poczul ulgę, kiedy wyrzucił z siebie wszystkie słowa. Gdyby teraz mogła już się ocknąć. Zatrzymał się przy wejściu, przy rządkiem telefonów. Zadzwoił. Potem wyszedł. Znalazł miejsce w hotelu po drugiej stronie ulicy. Tam będzie mógł się umyć i trochę przespać. Jeśli sen nadejdzie.

Karin usłyszała szmer głosów i otworzyła oczy. Pokój był obcy, ciemny. W głowie dudniło, miała wrażenie, że zaraz eksploduje jej mózg.

Z sufitu zwisała biała zasłona. Dziwne. Była pewna, że Rowan mówił do niej, opowiadał coś... coś o sobie. To musiał być sen, bo nikogo nie widziała.

Głosy dobywały się zza kurtyny. Twardy, lekko chrapliwy głos Rowana... i

inny.

- Wrócił pan. - Obcy głos mówił z miękkim, szkockim akcentem.
- Nie mogłem nie wrócić, doktorze.
- Oczywiście. Sądząc po pańskim wyglądzie, udało się panu trochę przespać.
- Trochę. - Rowan mówił szorstkim tonem. - Mogę ją teraz zobaczyć?

Była w szpitalu! I Rowan był tuż obok. Nie doszła do niej odpowiedź lekarza, bo sama spróbowała zawołać. Gardło miała wyschnięte, nos ją swędził. Spróbowała podnieść rękę. Nagle czyjaś dłoń powstrzymała jej ruch.

- Nie, proszę. Nie wolno tego robić.

Zasłona odsunęła się, zamajaczyła nad nią postać Rowana.

- Dzięki Bogu - wymamrotał. Spojrzał na pielęgniarkę. - W porządku - wyszeptał. - Nie będę jej męczył.

Pielęgniarka podniosła się.

- Dobrze. Ale tylko na kilka minut.

Rowan pochylił się nad nią. Na jego szarych oczach kładły się cienie, skóra napinała się na kościach policzkowych. Karin otworzyła usta, ale nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. - Nie próbuj mówić. Jesteś w szpitalu, w Keswick. Przywieźliśmy cię po wypadku. Pamiętasz?

Potrząsnęła głową, ale spróbowała się uśmiechnąć, kiedy usiadł na krześle przy białym łóżku. Przejechał delikatnie palcem po jej policzku, zatrzymując się przy nosie i wargach.

- Będziesz musiała przez parę dni pożyć z tymi wszystkimi rurkami. -

Uśmiechnął się niepewnie. - Masz dwa złamane żebra i odmę płuca. Nogę przywalił ci kawałek platformy. To prawdziwy cud, że żyjesz. - Oczy rozpały mu się na chwilę, potem opuścił wzrok na przykrycie. - Ale wyjdiesz z tego, Karin. Przymierzam ci. - Ujął wolną dłoń Karin, nachylił się i dotknął jej ustami. Trzymał ją przez moment, a potem wstał.

Karin przesunęła palcami w kierunku zegarka na jego przegubie.

- Chcesz wiedzieć, która godzina?

Pokręciła przecząco głową, krzywiąc się od nagłego bólu.

- Chcesz wiedzieć, od jak dawna tu jesteś? Od trzech dni. - W jego głębokim głosie czuło się niepokój.

Chuda pielęgniarka stanęła w nogach łóżka.

- Przykro mi, ale musi pan już wyjść.

- Oczywiście, siostró. Dziękuję, że pozwoliła mi pani ją odwiedzić.

- Wrócę jutro. - Czubkiem palca dotknął kącika ust Karin.

Rowan wracał każdego popołudnia, zawsze z podarunkiem. W miarę upływu dni jej pokój wypełniały kwiaty od niego i reszty załogi. Metrowej długości pluszowy ocelot rozłożył się na krześle przy łóżku, tuż obok oprawionego w czerwoną skórę tomu wierszy Wordswortha. Na stoliku dwa tuziny czerwonych róż wypełniały piękny wazon Waterford, prezent od Marsdenów.

Piątego dnia pielęgniarki usunęły rurki z jej ust i no-sa i pozwolono jej na trochę soku i bulionu. Później odłączono kroplówkę. Następnego dnia umyła ją gąbką. Annie, chuda pielęgniarka, omyła ją starannie wokół zabandażowanej piersi i przy gipsie na nodze. Uczesała włosy Karin, związała je w kucyki.

- Mogę zobaczyć? - poprosiła Karin. Annie podsunęła jej lusterko.

Karin z przerażeniem spojrzała na swoje odbicie. Chorobliwie blada i wymizerowana, klatkę piersiową obwinętą miała bandażem; sieć niebieskich żyłek przeświecała przez skórę tuż nad opatrunkiem. Podciągnęła wyżej przykrycie. Oczy lśniły, ogromne w poszarzałej twarzy, ciemne, obramowane długimi czarnymi rzęsami. Wyglądała, jakby właśnie wyszła z obozu koncentracyjnego.

Annie przyniosła jej tacę z jedzeniem. Karin pogrzebała w rozmokłym puddingu, zjadła parę łyżeczek i odstawia danie na bok. Czekala na Rowana.

O czwartej wsunął głowę do jej pokoju.

- Przepraszam, trochę się spóźniłem. Przez cały dzień zajmowałem się specjalną ekipą w bazie. To dla ciebie. - Wsunął jej w ręce brązową papierową torbę.

W środku była nowa powieść kieszonkowego formatu. Kolejny podarunek. Uśmiechnęła się.

- Dziękuję.

Przesunęła się na bok, by zrobić mu miejsce na łóżku.

- Jak tam robota?

- W porządku. Za dwa tygodnie będziemy na linii. Ludzie pracują na dwie zmiany po dwanaście godzin.

- Chciałem cię przeprosić za to - coś zamigotało mu w głębi oczu - że pozwoliłem Ellisowi odegrać aż tak ważną rolę w projekcie.

- Można to zrozumieć. - Poprawiła się pod kocem. - Jak tam Geoff?

- Geoff - powiedział unosząc znacząco brwi - jest naodwyku w antyalkoholowej klinice. Uśmiechnął się niepewnie. - Wyjdzie z tego. Ale nie będziemy już razem pracować.

Odrzucił się do niej.

- Rozmawiałaś dziś rano z lekarzem.

- Tak. Powiedział mi, że za tydzień będę gotowa do podróży.

Poczuła ołowiany ciężar w piersi, ledwie wypowiedziała te słowa, ale zmusiła się do uśmiechu.

- Jak tylko wrócę do domu, zacznę seanse rehabilitacji. Będę musiała popracować, żeby odzyskać sprawność w nodze.

Podniosła oczy i zobaczyła, że się w nią wpatruje. Łatwiej było dać sobie radę z jego cynizmem niż troską. Kiedy robił się taki jak w tej chwili, miły i uważający, ogarniała ją natychmiast niekontrolowane pragnienia. Zobaczyła nagle w głowie obraz Rowana nachylającego się nad łóżkiem, wyrzucającego z siebie uczucia, mówiącego ochryplym szeptem, że jej potrzebuje. Co za dziecinada. A jednak obraz był tak wyraźny. Zamrugala, powstrzymując łzy.

Patrzył na nią w zamyśleniu. Poczuła, że powinna uważać, ale już traciła nad sobą kontrolę.

- Nie warto ryzykować dalszego uszkodzenia nogi ani opóźnić terapii, skoro tuż obok, w Yorkshire, jest najlepszy w tym kraju fizjoterapeuta - powiedział spokojnie. - Chcę, żebyś przeniosła się do Knaresborough, skąd będziesz miała dwa kroki do doktora Crosse'a w Harrogate.

Karin otworzyła usta zdziwiona.

- Do Knaresborough? Nie mogę...

- Oczywiście, że możesz. - Rowan powstrzymał ją ruchem ręki. - Wszystko jest już zaaranżowane. - Pochylił się lekko do przodu, uśmiechnął szerzej.

- Jutro wyjeżdżamy.

Karin przeniosła wzrok z ogrodzonych kamiennymi murkami pól na Rowana, nieporuszonego za kierownicą range rovera. Czuło się, że powziął jakieś postanowienie. W ciągu ostatniej godziny próbowała parę razy wypowiedzieć swoje

myśli. Za każdym jednak razem powstrzymywała się w ostatnim momencie, zrażona własną niepewnością i jego surową miną.

Minęła kolejna minuta. Odetchnęła głęboko i wydobyła z siebie słowa.

- Dlaczego właściwie to robisz, dlaczego zabierasz mnie do domu rodziców?

Jego dłonie zastygły na kierownicy.

- Myślałem, że wyraziłem się jasno. - Znowu mówił kąśliwym tonem.

- Rowan, nic mi nie jesteś winien. To był wypadek. Po prostu wyszłam w

niewłaściwym momencie.

Oderwał na chwilę wzrok od drogi, spojrzał na nią nieprzeniknionymi oczyma.

- Karin, robię to, ponieważ... tego chcę. - Słowa ją uspokoiły. Głos nie.

Wyciągnął rękę ku radiu. Złapał wiadomości BBC, kładąc kres dalszej rozmowie.

Zdenerwowało ją wahanie Rowana; napięcie, które próbował zamaskować, znowu wywołało w jej głowie zamęt. Co naprawdę miał na myśli?

Odwróciła się ku oknu. Wiedziała, że i tak nie odpowie. Przynajmniej łatwo rozpoznawała znaki świadczące o tym, że wycofuje się za swoją barykadę. Karin spróbowała znaleźć wygodniejszą pozycję pod wełnianym pledem, którym ją opatulił i poruszyła palcami stopy. Prawą nogę miała zabezpieczoną szynami i obandażowaną, stopę wspierała na poduszce. Nigdy w życiu nie wsiadłaby sama do jaguara w takim stanie; nawet Rowan musiał ją pchać i ciągnąć, co spowodowało ostry ból w nodze.

Burzowe chmury zaczęły przysłaniać blade słońce, kiedy wjeżdżali na wąski kamienny mostek. Rowan zwolnił, czekając, aż pasterz ze stadem czarnych owiec przejdzie przez drogę. Karin zapatrzyła się na zwierzęta, myśli wirowały jej w głowie.

Rowan objawił nową stronę swej natury. Czuł się odpowiedzialny za wypadek, może nawet winny za to, co się przydarzyło. Cóż bowiem innego kryło się za decyzją zawiezienia jej do Knaresborough, kiedy między nimi wszystko było takie pokrecone i bolesne? Na pewno miał świadomość tego, jak trudno jej było przy jego boku; wyczuwała w nim napięcie, choć starał się je ukryć.

Od dnia, kiedy odzyskała przytomność w szpitalu, wydał się jej inny. Jego nadmiar troski mógł być, co prawda, tylko gadaniem, jak powiedziała jej pielęgniarka. Kiedyś marzyła o tym, by zobaczyć go w łagodnym usposobieniu; teraz nie bardzo wiedziała, co się za tym kryje - co gorsza, nie wiedziała jak sobie z tym radzić. Uważający, troskliwy Rowan okazał się większym niebezpieczeństwem niż mężczyzna, z którym walczyła przez ostatnie trzy miesiące. Tak bardzo chciałyby dać sobie radę z własnymi uczuciami.

Zamek Knaresborough wznosił się w oddali, szare mury wyrastały z piaskowej skały. Czy postradała zmysły, godząc się na tę wyprawę? Po co rozdrapywać stare rany? Ścisnęła skraj pledu i zerknęła na siedzącego obok mężczyznę.

Swoim zwyczajem prowadził w milczeniu. Kiedy spi-ker ogłosił zwycięstwo torysów w parlamencie, Rowan zamamrotał coś do siebie i wyłączył radio.

Zapragnęła go dotknąć. Pragnęli siebie wzajemnie, kochali się. Ale Rowan nie chciał jej kochać. Chciał móc odejść, kiedy tylko czuł zbyt wiele. A ona tak bardzo pragnęła po prostu wyciągnąć ku niemu rękę.

Czy będzie mogła oprzeć się czarowi Rowana, kiedy znajdzie się z nim w domu jego rodziców? Jedzie na zabiegi, nic więcej. Przestała liczyć na to, że Rowan kiedykolwiek się zmieni.

Z uwagi na to, co działo się między nimi, czuła obawę przed spotkaniem z jego rodzicami. Nie miała pojęcia, jak ją przyjmą. Nie należała do kręgu ich przyjaciół, nie była też narzeczoną Rowana. Nie pracowała też już dla niego od czasu wypadku. Gdzie było jej miejsce?

Państwo Marsden oczekiwali przed domem.

- Moja droga - rozrzewniła się pani Marsden. - Tak bardzo pragnęliśmy znowu cię zobaczyć, ale przecież nie w takich okolicznościach. - Spojrzała na obandażowaną nogę Karin. - Rowan ma całkowitą rację. Jeśli ktokolwiek może ci pomóc, to właśnie doktor Crosse.

Ujęła dłoń męża i spojrzała na niego czule.

- Uratował Arthurowi plecy.

Twarz pana Marsdena rozpromieniła się.

- Najświętsza prawda. A teraz, młoda damo, prosimy się rozgościć.

Porozmawiamy później.

- Mary przygotowała Niebieski Pokój - powiedziała pani Marsden. - Pomyśleliśmy sobie, że wygodniej ci będzie na dole. Z pokoju można przejść do miłego patio. Rowan, możesz się zająć bagażami Karin?

Rowan złożył torbę i walizkę Karin na łóżku w jej pokoju. Zgodnie ze swą nazwą, Niebieski Pokój cały był w odcieniach niebieskości, począwszy od tapet, poprzez dywan aż do firanek z adamaszku. Nawet łóżko miało baldachim w bładoniebieskim kolorze. Mały gabinet i marmurowa łazienka dopełniały całości. Za francuskimi drzwiami otwierało się wyłożone cegielkami patio i otoczony murkiem ogródek, w którym, w słońcu późnej jesieni, pyszniły się złote chryzantemy i szkarłatne dalie.

- Mam nadzieję, że zostaniesz z nami na herbatę? - spytała syna pani Marsden.

Rowan stał już przy wyjściu.

- Przykro mi, mamo. Muszę wrócić do bazy. - Odwrócił się do Karin. - Wrócę na weekend, żeby zobaczyć, jak ci idzie.

Karin wstrzymała oddech. O nie, nie chciała go już więcej widzieć. Już tego, że była gościem w domu jego rodziców, wystarczało aż nadto.

- Dziękuję, ale nie ma potrzeby. Wszystko będzie w porządku.

Zmarszczył ciemne brwi.

- Pewnie masz rację. Ale i tak przyjadę. - Odwrócił się znów i wyszedł.

Karin popatrzyła za nim. Zawsze musiał decydować. Jego obecność w dworcu wzmocni tylko jej uczucia do niego. A jednak poczuła w sobie przyjemne ciepło na myśl, że wkrótce znów go zobaczy.

Mimo wszystkich obaw Karin szybko znalazła swoje miejsce u Marsdenów. Rano i w południe Mary przynosiła jej na tacy posiłki, a także książki, które wybierał dla niej pan Marsden w swej bibliotece. Pani Davis, kucharka rodzinna, prześcigała się wybierając najlepsze smakołyki angielskiej kuchni. Karin głównie odpoczywała i odprężała się; regularnie odwiedzał ją doktor Crosse.

Wczoraj po raz pierwszy spróbowała wejść na górę. Na wprost schodów, dokładnie nad jej pokojem, znajdował się inny; drzwi do niego były otwarte. Każde pomieszczenie, które zdołała zobaczyć, dawało jej jaśniejszy obraz Marsdenów i potwierdzało talenty pani Marsden. Wsunęła głowę przez otwarte drzwi. Zobaczyła torbę Rowana. To był jego pokój.

Rozejrzała się wokół. Nikogo.

Zaglądnęła tylko na chwilę. Weszła do środka.

Pokój był dokładnie taki, jakim go sobie wyobraziła - masywne łóżko z rzeźbionego dębu, śnieżnobiała lniana pościel, puchowa kołdra. Jedna ściana wypełniona półkami z książkami, w rogu duże prostokątne biurko z pali-sandru. Jasnozielone ściany i wysokie okna z ciemniejszymi o ton firankami, ciemna szafa i wypatane krzesła przy kominku. Oto okazały męski pokój. Bez przepychu, ale wymowny. Jak on sam.

Zamknęła za sobą cicho drzwi i zeszła na dół. Przez resztę popołudnia nawiedzały ją wizje pokoju, gdzie spędził swą młodość; przypomniawszy sobie spartańską

przyczepę w bazie. Zrezygnował z wielu rzeczy dla swych snów. W końcu ona też.

Czekała teraz w ogrodzie na doktora Crosse'a. Po prawej stronie zagłębiało się w ogród skrzydło domu porośnięte szkarłatnym pnączem. Upajała się słońcem i patrzyła, jak zięby dziobią czerwone owoce na drzewach rosnących na wystrzyżonym trawniku. Mimo wszelkich myśli o karierze nie mogła sobie wyobrazić większej przyjemności niż życie w dworku Marsdenów. Przy boku Rowana.

Poczuła nagle tępy ból za mostkiem. Niedługo będzie musiała wrócić do Stanów. Nie miała wyjścia! Im dłużej tu zostanie, tym trudniej będzie go opuścić.

Rowan przyjechał późno poprzedniego dnia, żeby spędzić dwa dni z rodzicami. Rano jeszcze go nie spotkała. Pragnęła go zobaczyć, ale na samą myśl o świeżo ogolonym i umyтым Rowanie coś się w niej kurczyło.

Spojrzała na złoty zegarek na przegubie. Dziesiąta. Doktor Crosse powinien zaraz przyjść. W jej kraju lekarz odwiedzał pacjenta w sobotę tylko wyjątkowo. Ten jednak należał do starych przyjaciół domu, a może był coś winien Rowanowi.

Rozbrzmiał dzwonek. Po chwili rozległo się pukanie i lekarz wsunął głowę z mierzwą jasnych włosów przez drzwi na patio.

- Aa, tu jesteśmy. - Wyszczerył zęby w uśmiechu, przeszedł przez próg i postawił lekarską torbę na krześle.

Karin przyjrzała się nietypowemu strojowi, jaki nosiła chuda postać. Płócienna marynarka z licznymi muszkami wpiętymi w klapę częściowo zasłaniała kraciastą szkocką spódniczkę, znoszone moleskinowe spodnie opinały długie nogi. Najwyraźniej wyprawiał się na ryby.

Zdjął z głowy płócienną czapkę z małym daszkiem i wsadził ją do torby.

- Jak się dziś czujemy?

- Będzie lepiej, jak się pozbędę tej rzeczy. - Zerknęła na usztywniającą klamrę.

- Wszystko w swoim czasie. A teraz zabieramy się za rozciąganie.

Przez czterdzieści pięć minut doktor Crosse ugniatał, masował i rozciągał uszkodzone tkanki. Mięśnie nogi Karin głośno protestowały. Żaden nie został oszczędzony, wszystkie bolały równo.

Przysiadła na skraju łóżka, podczas gdy lekarz zapinał klamrę na jej nodze.

- Trzeba liczyć jeszcze dwa tygodnie w tym urządzeniu. Jęknęła.

Doktor Crosse spojrzał na nią.

- Noga jeszcze nie wydobrzała - powiedział. - Wolę nie ryzykować.

- A kiedy będę mogła wyjechać? - wyrwało się Karin. Oczy lekarza przybrały dziwny wyraz.

- Trudno mi teraz powiedzieć. Zależy, jak sobie poradzi organizm. Nie chcę słyszeć o przedwczesnym stawaniu na niej. - Nie ma obawy, Roy.

Jakimś cudem Rowan zmaterializował się w drzwiach patio, trzymając na dłoni tacę z czajniczką, filiżankami i spodeczkami. Przebiegł ją wzrokiem, który zdawał się nie tylko rejestrować jej wygląd, ale i zaglądać do wnętrza. Wypatrzył w niej jeszcze coś, co uznała za wysoce prowokujące. Przegnała z głowy niebezpieczne myśli i opuściła oczy na skraj łóżka.

- Mary wydelegowano w tę stronę - powiedział w końcu. - Pomyślałem sobie, że oszczędzę jej wysiłku. Napijemy się herbaty na patio. - Nie czekając na odpowiedź, podszedł do stolika i postawił tacę na szklanym blacie.

- Mam nadzieję, że zadowolony jesteś z Karin jako pacjentki? - Nalał herbaty i podał filiżankę lekarzowi.

- Żeby wszyscy tacy byli! - odparł doktor Crosse. Rzucił jej szybki uśmiech, wziął filiżankę. - Dzięki, przyjacielu.

Rowan obrócił się do Karin.

- Z odrobiną mleka, bez cukru. - Podał jej filiżankę.

- Doktor Crosse uważa, że gdzieś za tydzień będę mogła zdjąć klamrę.
- Za dwa tygodnie. - Spokojny ton Rowana kontrastował z czającym się w oczach wyzwaniem.
- Rowan, ja muszę wracać do domu, muszę zająć się swoim życiem. Znieruchomiał.
- Naprawdę musisz? - W oczach migotały mu światełka. Nachyliła się nad herbata. Czego właściwie od niej chciał?
Filiżanka zabrzączała na spodeczku. Trzęsącą się ręką postawiła ją na stoliku.
- Ja... ja czuję się znacznie lepiej. Boję się tylko szybkich ruchów. Przy wyjeździe będę potrzebować tylko laski i... - Przerwała, zdając sobie sprawę, że traci wątek.
- Roy, czy ona nadaje się do podróży?
- Wołałbym - doktor Crosse zakaszłał - żeby nie nad-wyręzała nogi jeszcze przez tydzień czy dwa. Potem niech sama decyduje.
Rowan nic nie powiedział. Wystudiowanymi ruchami posprzątał ze stołu. Znowu zdawał się odległy, nieprzenikniony.
- Ojciec i matka mają nadzieję, że zjesz razem z nami kolację. - Rzucił szybkie spojrzenie lekarzowi wkładającemu właśnie instrumenty do torby. - Koło siódmej, Roy. Na deser są profitrolki, specjalność pani Davies.
Doktor Crosse zamknął z traskiem torbę.
- Teraz dopiero mi to mówisz! - Spojrzał na zegarek. - Jak wiesz, o siódmej mam spotkanie z łososiami nad Nith.
- No to innym razem - powiedział Rowan głosem, w którym czuło się żal. Przeniósł wzrok na Karin. Coś zaświeciło w głębokich mrokach. - Włóż coś... kobiecego.
Karin przeszukała całą garderobę; jedyną rzecz, jaka zakrywała niewdzięczną klamrę, była sięgająca kostek plisowana spódnica w opalizujących kolorach. Założyła do niej czarną jedwabną koszulę i złote kolczyki. Kiedy stanęła przed lustrem, zegar wybił w pół do siódmej. Nie wyglądała źle. Schudła od czasu wypadku, ale luźno udrapowana koszula nie uwydatniała zmian. Przeciągnęła grzebień przez gęste włosy o rdzawych połyskach, pociągnęła lekko wargi różaną szminką.
Jeszcze raz przyjrzała się sobie, a potem ruszyła korytarzem w stronę jadalni.
Wielki rzeźbiony świecznik pobłyskiwał na ogromnym prostokątnym stole. Rowan wyglądał przez wysokie okno, zwrócony do niej tyłem. Jego ojciec, niższy o dobrych kilkanaście centymetrów, stał przy nim, pani Marsden siedziała w fotelu. Podniosła do góry głowę, kiedy Karin weszła do jadalni.
- Karin, wyglądasz zachwycająco.
Rowan obrócił się gwałtownie. Jego twarz powoli rozjaśnił aprobujący uśmiech. Poczuli, jak radość rozgrzewa jej serce.
- Dziękuję, pani Marsden.
- Moja droga. - Pan Marsden zaoferował jej ramię - pozwól, że cię doprowadzę.
Na jednym końcu mahoniowego stołu nakryto dla czterech osób. Półprzezroczyste talerze z chińskiej porcelany, srebro i kryształ.
- Sherry? - zaproponował Rowan. W oczach błyskało mu rozbawienie.
Karin skinęła głową.
Palce mężczyzny musnęły jej dłoń. Ciepłe. Bliskie. Ujęła kieliszek, odsunęła rękę. Kiedy usiadła, postawiła nietknięty na stole.
- Amontillado - mruknął Rowan. - Myślałem, że nic już nie zostało w piwnicy.
Karin powstrzymała uśmiech. Musiał wcześniej zauważyć książkę Poego przy

jej łóżku.

Usiadł tuż przy niej, ocierając się nogą o jej udo.

Odsunęła się i szybko tego pożałowała. Zdała sobie nagle sprawę, że chciałyby poczuć coś więcej niż jego udo przy sobie.

Przełknęła ślinę i spróbowała podążyć myślami za rozmową, jaką Rowan toczył z rodzicami.

Mary wniosła wazę z delikatnie przyprawioną kremową zupą z marchwi, którą pani Marsden rozlała do płytkich czarek.

Rowan podał jej koszyk z kawałkami bagietek. Znow ich palce zetknęły się.

Odsunęła gwałtownie dłoń, ale gorący prąd zdążył przeszyć ją na wskroś.

Uśmiechnął się i łyknął zupy, która pachniała curry. Coś psotnego tańczyło mu w oczach.

O czym myślał? Karin odciągnęła swe myśli od Rowana i odpowiedziała na pytanie, które zadała jej pani Marsden.

Nagle Rowan podniósł swój kieliszek. - Chciałbym wzniesić toast. Za rodzinę i przyjaciół. - Nie spuszczać z niej oka, upił łyk.

Karin zeszytywniała z kieliszkiem w ręku.

- Za przyjaciół. - Rowan powiedział jej, że nigdy nie będą przyjaciółmi. Co więc znow miał na myśli?

Rowan w dalszym ciągu wpatrywał się w nią, w jego oczach paliło się jakby pytanie. Cisza trwała nadal.

Karin ścisnęło się gardło.

Pan Marsden rzucił w pierw wzrokiem na nią, potem na Rowana. Teraz on podniósł kieliszek.

- Za rodzinę i przyjaciół, zgadzam się całkowicie. - Uśmiechnął się do niej serdecznie. - I za nowe początki. Za Karin, dziewczynę o roześmianych brązowych oczach.

- Pięknie, pięknie - powiedziała pani Marsden, trzymając w górze kieliszek.

- Za Karin - dorzucił Rowan.

Łzy zakręciły się jej w oczach. Opanowała się i napiła białego wina o owocowym aromacie. Spojrzała na pana Marsdena.

- Bardzo pan miły. Starszy pan uśmiechnął się.

- Akurat - mruknął pod nosem Rowan. Jego szelmowski uśmiech wzburzył ją bardziej niż wino.

- Jeszcze trochę? - W głosie Rowana pobrzmiwała wesołość, w oczach paliły się ogniki.

Podsunęła kieliszek, uważając, by nie dotknąć jego palców.

- Wygląda na to, że będziemy mieli ostrą zimę - zauważyła pani Marsden. - Już czuje się mróz w powietrzu.

- Mam przecucie, że będzie cieplej, niż przewidują - odparł Rowan; wciąż patrzył na Karin.

Trudno jej było jeść, tak bardzo próbowała skupić się na rozmowie. Kiedy Mary zaczęła zbierać ze stołu, jej talerz był jeszcze prawie pełny.

- Rowan nigdy nie odwiedzał nas tak często - powiedział pan Marsden przy kawie. Najwyraźniej mówił to z myślą o niej. - Sądzę, że dobrze na niego działasz, Karin. Na nas zresztą też. Karin uśmiechnęła się.

- Dzięki wam dni upływały mi bardzo miło.

- Tylko tyle? - Pan Marsden chrząknął. - Myślałem, że powiesz coś o naszym starym domu.

Karin przygryzła dolną wargę.

- Prawdę mówiąc, zakochałam się w nim, w jego schodach i sekretnych

zakamarkach. Ale chyba najbardziej lubię ogródek za murem.

- Tak też i sądziłem. Widziałem, jak tam czytałaś prawie każdego poranka. Ale nie chciałem ci przeszkadzać. - Wyciągnął rękę i poklepał jej dłoń.

Po kolacji pan Marsden zaproponował Karin przejście do biblioteki. Rowan i matka poszli za nimi.

- Tak, moja droga. Od czasu kiedy tutaj jesteś, wiele się zmieniło. - W jego oczach krył się żal. - W jakimś sensie dzięki tobie wrócił do nas nasz syn.

Gardło się jej ścisnęło. Czy naprawdę tyle zrobiła? Czy naprawdę jej obecność była dla nich równie ważna, jak dla niej - Rowana?

- Zawsze starałem się znaleźć dla was czas - wtrącił Rowan.

- Czas, owszem - powiedziała matka tonem wymówki - ale oczekujemy od ciebie czegoś więcej niż samej obecności. Ma się wrażenie, że za każdym razem marzysz o tym, by być gdzie indziej.

- Czy rzeczywiście tak jest? - Rowan zastanowił się. - No cóż, postaram się poświęcić wam całą moją uwagę.

- To byłoby wspaniałe, kochanie. I nie zapominaj o Karin. Tego wszystkiego było już za wiele. Rodzice Rowana nie

mieli najmniejszego pojęcia, co czuje do ich syna, nie wiedzieli, jak trudna jest sytuacja. Czują się rozdarta między radością i agonią, była niczym królik szarpiący się w sidłach. Uwolniła się od ramienia pana Marsdena.

- Chyba będę musiała się położyć. Czuję się zmęczona. Rowan natychmiast znalazł się przy niej.

- Przyrzekłem Royowi, że nie będziesz się przemęczać. Odprowadzę cię do pokoju.

Zduśliła w sobie odmowną odpowiedź, pożyczyla wszystkim dobrej nocy. Zbyt zmęczona, żeby się kłócić, pozwoliła się odprowadzić.

W drzwiach spojrział na nią.

- Matka i ojciec cieszyli się dziś z twojej obecności, Karin. Ja także.

Nim zdążyła zdać sobie sprawę z tego, co się dzieje, chwycił ją za ramię i musnął wargami jej czoło.

- Ja także - powtórzył. Jego oczy pociemniały od pożądania. Nie odrywał od niej wzroku.

Ramię płonęło w miejscu, gdzie ją ścisnął. Drżąc, opuściła wzrok.

- Karin, ja... Zesztywniała. Odetchnął głęboko.

- Mniejsza. Śpij dobrze. Zobaczymy się rano.

Do późna w nocy słyszała, jak przemierza swój pokój. Leżała rozbudzona i przez parę godzin wsłuchiwała się w jego kroki.

Czy myślał o niej? Coś chciał jej powiedzieć, kiedy stali w drzwiach, ale zrezygnował. Cóż takiego pragnął jej wyznać?

Następnego ranka znalazła pod drzwiami karteczkę. Rowan wrócił do bazy.

Poczuła ciężar w piersi. Zajrzała mu wczoraj głęboko w oczy, wiedziała, czego chciał. Znow się jednak wycofał.

Mary weszła z tacą, którą Karin zaraz wyniosła na patio. Mimo że nie była głodna, zmusiła się i zjadła jajecznicę. Wzrokiem błędziła nad odległymi drzewami. Po wróciła do myśli o wyjeździe. Za ogródkiem wznosił się gołębnik, z którego wyfrunęły białe ptaki i usiadły na trawniku w poszukiwaniu robaków. Na bukach siedziały gawrony, ich krakanie roznosiło się w świeżym powietrzu jesiennego poranka. Gdyby została...

Wyobraziła sobie spacer przy boku Rowana, zobaczyła, jak kocha ją na swoim wielkim dębowym łożu.

Ach, słodki Boże, pomyślała, patrząc na dom z perspektywy patio. Nie

powinna dawać upustu wyobraźni. Rowan był raz gorący, raz zimny, to zapraszał, to odrzucał. Obiecywał, sugerował, potem wycofywał się. Już kiedyś szli tą drogą. Prowadziła donikąd.

Za dziesięć dni wyjedzie. Jej przyszłość była w Stanach. Przyszłość Rowana zawierała się w obrębie murów, jakie wznosił wokół swego serca.

18

W następny weekend Rowan znów przyjechał do domu.

- Jak idą ćwiczenia? - spytał, kiedy wysiadł z jaguara i przywitał się z rodzicami. - Doktor Crosse powiedział mi, że uszkodzona chrząstka jest już w porządku.

Karin zawahała się. Ostatnimi czasy Rowan wydawał się inny, mniej skryty. Ale dziś czuła w nim coś głębszego, jakąś intensywność, która pchała go w kierunku skrzyżowania ważnych dróg życiowych.

- Rzeczywiście się polepsza. Za tydzień pozbędę się klamry.

- Świetnie. Zobaczymy, co doktor jeszcze powie, a potem zastanowimy się nad dalszym ciągiem. Może byśmy potem poszli na mały spacer?

Po herbacie, podczas gdy na dworze padał deszcz, przeszli się górną galerijką, której ściany były obwieszane portretami przodków Marsdena.

- Każdy z nich pozował w wieku trzydziestu pięciu lat - wyjaśnił Rowan. - To Harry, mój pradziadek. Wskazał na portret wiszący tuż obok. - A to jego żona, Caroline. Urodziła mu ośmioro z jego trzynastu dzieci.

- Trzynastu? - zadziwiła się Karin.

- Wszystko zapisane jest w księgach - powiedział Rowan z lekkim uśmiechem. Podszedł do kolejnego malowidła. - Mój dziadek Nathan. Choć urodzony na boku, wślizgnął się szybko do prawego łóża. - Popatrzył na nią szelmowsko.

Karin odwróciła głowę, nie mogąc powstrzymać śmiechu. Tak, rzeczywiście się zmienił. Stał się cieplejszy. Spojrzała na stojącego przy niej wysokiego mężczyznę, jak gdyby widziała go po raz pierwszy.

W oczach kryło mu się rozbawienie, gdzieś głębiej czaiła się namiętność. Nie było natomiast śladów arogancji, nie było wyzwania, które pojawiało się natychmiast, gdy sytuacja stawała się zbyt intymna. Część jego osobowości uległa zmianie, ale zmysłowość pozostała nienaruszona. Taki Rowan, musiała przyznać, był jeszcze większym zagrożeniem.

A ona? Ona też się zmieniła. Nic dziwnego, po prawie czterech miesiącach nauk Rowana. Może i nigdy nie da sobie z nim rady, ale niczego już nie żałowała. Zdała sobie wreszcie sprawę z tego, czego dowiedziała się o sobie. Była inżynierem, to prawda. Kobieta nastawioną na robienie kariery. Ale była jednocześnie prawdziwą kobietą, która miała wiele do zaoferowania. Kobieta o zgłodniałym sercu, którego - przed Rowanem - nikt nie nappełnił. Rowan zmusił ją, by zajrzała w głąb siebie i zobaczyła i słabe punkty, do których wreszcie mogła się przyznać, i mocne strony, które ceniła. Czy to nie najlepszy podarunek, jaki mężczyzna może dać kobiecie?

- Dziś problem nieślubnego pochodzenia budzi co najwyżej uśmiech - ciągnął dalej Rowan - ale w owych czasach panom na włościach zdarzały się różne przypadki. Dziadek akurat nigdy nie miał okazji się wyszumieć. Ożenił się mając siedemnaście lat, a przez resztę życia moja babka wodziła go na pasku.

Karin rzuciła okiem na Rowana, powstrzymując uśmiech. Niezależność była

jego drugą naturą. Żadnej kobiecie nie dałby się wodzić za nos.

- Popatrz - wyciągnęła rękę - to twój ojciec. I twoja matka. - Arthur Marsden w wieku trzydziestu pięciu lat mógłby być bratem bliźniakiem Rowana. Jego żona, blondynka w owych czasach, wyglądała jak klasyczna, nordycka piękność. Niezwykła para.

Jeśli nawet styl życia rodziców nie odpowiadał Marsdenowi, nie mógł nic zarzucić ich małżeńskiemu pożyciu. Spędziła wystarczająco dużo czasu z Marsdenami, by zdać sobie sprawę, że darzyli się miłością.

Oddechnęła z trudem. Gdyby Bóg mógł dać jej to samo z Rowanem.

Ale przecież dzieliła to samo z Rowanem, pomyślała nagle. Serce ich związku było solidne i bogate. Wierzyła, że łączą ich specjalne, unikalne więzy i wiedziała, że Rowan jest tej samej myśli. To właśnie budziło w nim lęk - że uczuciowo tak dobrze ze sobą współpracowali.

Na końcu galerii wisiał pojedynczy portret - Rowan okazał prezentujący się w szarym płaszczu do konnej jazdy, krawacie, kremowych bryczesach i czarnych oficerkach. Tętno Karin przyspieszyło, kiedy zajrzała w jego oczy. Natychmiast rozpoznała właściwą mu mieszaninę piękna i hardości. Artysta oddał go wiernie. Pędzel ujawnił muskularne uda i potężne ramiona. Był olśniewający. Nic dziwnego. Niezwykle przystojny mężczyzna!

Cofnęła się o krok i drgnęła czując, jak metal klamry wraza się jej w nogę. Powstrzymała jęk. Kochała Rowana bardziej, niż mogłaby kochać jakiegokolwiek innego mężczyznę. Nikt inny nigdy nie zajmie jego miejsca w jej sercu.

Odwróciła się od portretu.

- Jak wygląda prognoza doktora Crosse'a? - spytał nagle Rowan.

Karin zeszytniała.

- Jeśli będę regularnie ćwiczyć, zdejmą mi klamrę w grudniu.

- Do tego czasu pozostaniesz więc w jego rękach? Roy będzie zadowolony.

Moim zdaniem bardzo cię lubi.

Karin potrząsnęła głową.

- Postanowiłam wrócić do Stanów w przyszłym tygodniu. Rowan wciągnął w płuca haust powietrza i wpatrzył

się w nią. Coś nieoczekiwanego błyskało mu w oczach. Spróbowała się uspokoić. - Będę kontynuować zabiegi już w domu, aż do grudnia.

- Grudzień. Wszystko układa się zgodnie z moimi planami - oznajmił, podprowadzając ją do obitej bordowym aksamitem kanapy. - Usiądź.

Plany? Jakie plany? Czy nie zrozumiał, o czym ona mówiła? Przecież wyjeżdża.

Usiadła z ulgą, odciążając obolałą nogę. Powinna znaleźć do tego wszystkiego dystans. Powinna zająć się własnym życiem. Powinna powiedzieć Rowanowi do widzenia.

Przysiadł obok przywierając do niej udem. Przebiegł ją prąd i odsunęła się od niego na koniec sofy, byle dalej od gorącego ciała. Wygładziła sztruksową spódnicę.

Patrzył na nią z dziwną intensywnością. Nagle jego oczy zachmurzyły się. W końcu opuścił wzrok.

- Chcesz więc wyjechać?

- Tak, ja... - Głos jej drżał.

- Będziesz musiała coś zaplanować na święta. Wytrzymała jego spojrzenie.

- Gwiazdkę spędzę pewnie z mamą i Leonardem.

- To znaczy jeszcze nie jesteś do końca pewna? Odwróciła głowę.

- Muszę wyjechać. Potrzebuję... Znowu spojrzała na Rowana. - Muszę wyjechać, Rowan. Robię to dla nas obojga.

Jego oczy pociemniały.

- Karin - powiedział ochryplym głosem - nie wyjeżdżaj. Zostań ze mną.
- Nie mogę, Rowan. - Odwróciła się. - Wiesz, że nie mogę.
- Ja... hm, widzisz, ja myślałem... - Wciągnął z trudem powietrze, zakaszłał.
Ramiona napięły mu się. - Nie ułatwiasz mi zadania.
Przeczesał palcami ciemne włosy i znów zaczął.
- Kiedy pomyślałem, że możesz umrzeć, poczułem, że razem z tobą umiera we mnie chęć do życia. Ja... nie chciałem się do tego przed sobą przyznać. Ani przed tobą. Zapatrzyłem się na swoje palce, podniósł głowę. W oczach paliło mu się pożądanie. - Ale prawda jest taka, Karin, że ja... - głos mu się załamał - myślę, że nie chciałbym bez ciebie żyć.
Patrzyła niewidzącym wzrokiem na parkiet, dłonie splotła na podołku. Czuła jego wewnętrzne rozdarcie, pragnęła go pocieszyć, ale coś ją powstrzymywało. Chciała zostać. Tak bardzo tego pragnęła, ale... doskonale wiedziała, co by się stało, gdyby została. To było tylko kwestią czasu. Ona i Rowan staliby się kochankami. I wkrótce sprzedalaby swą niezależność, by wejść za kulisy życia Rowana.
To za mało.
A może nie?
Wciąż go pragnęła. Wszystko by oddała, byleby tylko móc być z nim. A gdyby zgodziła się zostać małą częścią jego życia?
Usłyszała ból w jego głosie, podniosła wzrok.
Serce ścisnęło się jej. Bardziej niż cokolwiek na świecie chciała poczuć to, co ich łączyło, chciała, żeby i on to coś poczuł, by był świadom, że zawsze będzie to na niego czekać. Rowan był mężczyzną, który potrzebował być kochanym, potrzebował pewności, że życie nie kończy się bólem zdrady. Życie i miłość wyzwalały nadzieję w przyszłość i wiarę w dobro człowieka.
Pocałowała nieogoloną szczękę, objęła go ramionami i przywarła do umięśnionej klatki piersiowej. Poczwała, jak drży, poczuła jego zdumienie, a potem radość.
Pocałował jej policzek, kark, szyję, zsunął się ustami do wycięcia bluzki.
Odchyliła się do tyłu, opierając o poduszki kanapy i zajrzała mu w oczy. Były ciemnoszare, pełne nadziei i wahania. Wyczekujące.
Nie mogła pozwolić, by odszedł, nie mogła znieść myśli o tym, że nigdy go już nie zobaczy, nie dając mu ostatniego podarunku, jaki jej został.
- Rowan - usłyszała swój głos - kochaj mnie.

19

- O Boże, Karin. - Przyciągnął ją ku sobie, przycisnął do piersi, szukając ustami jej warg. - Jesteś pewna? Cassidy zawiózł rano rodziców do Yorku - powiedział po dłuższej chwili. - Mamy cały dom dla siebie. Mój pokój jest...
- Tuż nad moim. Słyszałam, jak chodzisz w nocy. Spojrzał na nią zbolalym wzrokiem.
- Nie przespałem w tym domu nawet pięciu minut, od kiedy tu jesteś. Nie potrafię też już znaleźć wytchnienia w pustej przyczepie. Ani w pustym łóżku. - Nachylił się ku niej, chwycił zębami dolną wargę, przywarł do niej ustami.
Wstał i wyciągnął rękę.
- Chodź.
Podniosła się, wsunęła dłoń w jego rękę i poszła z nim do pokoju na górze.

Oparła się o niego, gdy otwierał drzwi i wprowadzał ją do środka.

Jego leśny zapach wirował wokół niej, mącił jej myśli. Gorąco tętniło w jej brzuchu, chwyciła go za ramię.

Zamknął drzwi stopą, podniósł Karin do góry i złożył na swym łóżku. Położył się przy niej i zaczął rozpinąć guziki jej bluzki.

- Pragnąłem tego przez cały tydzień. Nigdy nie myślałem... och, Karin, ja... - Jego głos odpląnął stłumiony, gdy wargami musnął jej skroń.

Serce biło jej do rytmu jego trzęsących się rąk, drżało od ust wędrujących po jej skórze. W najdłuższych snach nie wyobrażała sobie, że znajdzie się w sypialni mężczyzny, którego kochała, mężczyzny, od którego odjedzie za niespełna dwa dni. Wciągnęła spazmatycznie powietrze. Musi żyć chwilą. Liczył się tylko dzień dzisiejszy. Będzie nosić w sobie jego wspomnienie do końca życia.

Odsunęła ostrożnie jego ręce, rozpięła ostatni guzik i rzuciła bluzkę w stronę krzesła. Powoli odpięła haftki spódnicy i wstała, pozwalając jej opaść. Osunęła się na łóżko i zaczęła rozpinąć skórzane rzemienie usztywniającej klamry.

- Nie chcę, żeby cię bolało, Karin.

Zatrzymała się na moment. Prawdziwy ból przyjdzie później.

- Wszystko będzie w porządku. - Zajrzała mu w oczy. - Nie obawiaj się. Proszę. Klamra spadła na podłogę.

Rowan jęknął, ściągnął buty, skarpetki i spodnie. Guziki rozsypały się po podłodze, gdy jednym szarpnięciem zdarł z siebie koszulę.

Był twardy jak skała, zaciekły. I pełen strachu. Z najwyższym wysiłkiem pohamował się, by nie rzucić jej na łóżko i nie posiąść jej przemocą.

Ręce trzęsły mu się, gdy ścigał koronkowy materiał z jej piersi, a potem wzduż ud. Całe jego ciało drżało, gdy odstał do tyłu, by na nią spojrzeć. Żelazna obręcz ścisnęła mu pierś. Nigdy jeszcze nie czuł równocześnie takiego pożądania i takiego lęku.

Na jej prawym udzie widniało czerwone znamię w kształcie półksiężyca, którego wcześniej nie widział. I jak cudownie kształtne były jej piersi. Pochylił się, ujął je delikatnie od dołu. Leżały teraz w jego dłoniach. Kciukami zaczął obwodzić sterczące sutki.

Ogień rozpałił się w jego lędźwiach, zastygł. Jeśli nie opanuje się, straci nad sobą kontrolę.

Jęknęła, a on przyciągnął ją ku sobie i razem opadli na pościel.

Boże, jaka ona jest miękka. Pachniała jaśminem i własnym, kobiecym zapachem tak nęcącym, że omal nie eksplodowało mu podbrzusze. - Pragnę cię, Karin - wydyszał i urwał. Własny głos wydał mu się zgrzytliwy. Z trudem wciągnął powietrze. Zdusił lęk, próbował się opanować. - Ale przedtem chcę ci coś dać.

Zaczął całować jej kark, przejechał ustami przez pierś i zsunął się do pępka.

Kiedy zaczął schodzić niżej, poczuł, jak Karin sztywnieje.

- Nie bój się. Chcę, żeby ci było dobrze. Czy pragniesz tego? - Usłyszał, jak walczy z oddechem, przylgnął do aksamitnej skóry jej brzucha. - Nie zrobię niczego, czego nie chcesz - wyszeptał.

- Chcę... - Jej głos był w połowie szeptem, w połowie westchnieniem. -

Rowan, chcę, żebyś mnie kochał. O Boże! Teraz!

Serce podskoczyło mu w piersi.

Wciągnął haust powietrza, zacisnął zęby i zjechał jeszcze niżej ustami, poprzez puch podbrzusza, aż dotarł między uda.

Niebo. Była w niebie. Trzepocząc językiem o mały pączek objechał go, poczuł, jak zastyga, a potem otwiera się dla niego. Dotarł do jedwabistej gładkości.

Wydała z siebie jęk i zaczęła tańczyć biodrami.

Rowan usłyszał własny urywany oddech. Spokojnie, rozkazał swemu ciału. Spróbował skupić się na deszczu dzwoniącym o szyby.

W chwilę później poczuł ręce Karin w swoich włosach, nakazujące mu wnikać głębiej ustami.

- Nie przerywaj. Proszę, nie przerywaj! - krzyknęła. - Chcę, byś we mnie wszedł.

Owładnęła go dzika żądza posiadania. Uniósł ciało ku górze. Rozsunął jej uda kolanem, by się zmieścić, cały czas przesuwając wargami po jej ustach, pieszcząc dłońmi jej piersi, ramiona. Potem podniósł się na rękach i spojrzał na nią.

Jej zmierzwiłone włosy rozsypały się na poduszce ni-czym wachlarz. Oczy miała półprzymknięte, ciemne frędzle rzęs ocieniały jasną skórę. Na policzkach wykwitł rumieniec namiętności, a jej zapach - Boże, jej zapach przyprawiał go o obłęd.

Przyklęknął, ustawił się nad nią... Ale nie mógł już dłużej czekać.

Wszedł w nią szybko, głęboko. Otoczyło go jedwabiste ciepło. Jęknął, ruszył przed siebie, zaczął ją rzeźbić. Wstrzymywał się na ile mógł, ale płomień pożądania zawładnął nim bez reszty. Jego pchnięcia następowały co-, raz szybciej, na moment całe jego ciało znalazło się w rozdzierającym uścisku. Myśli rozbiegły się, po chwili przyszła wyzwolenicza eksplozja. Krzyknął, miotając w nią swoje nasienie.

Szarpnęła się i opasała Rowana nogami, wołając go po imieniu. Skurczyła się, zwarła wokół niego, gorąca. Przeszyła go taka rozkosz, że pomyślał, iż umrze.

Czas płynął, a on leżał na niej z zamkniętymi oczyma. Wspierając się na rękach, czekał, aż uspokoi mu się oddech. Wiedział, że nigdy już nie zapomni przerażającej intensywności kochania się z Karin.

Dlaczego to doznanie było tak różne od innych? Czy nagle zlanie się ich dusz sprawiło, że zaczął kwestionować siebie, swoje życie? Coś wyzwoliło się, odblokowało w nim. Coś pierwotnego?

Serce wprawiło krew w przyspieszony bieg i poczuł, że znów twardnieje.

Przyłgnął wargami do jej czoła, całował jej powieki, kosztował słonych łez. Serce ścisnęło mu się. Nadeszła wreszcie pora. Zebrał w sobie siły, by dokonać tego, co wymagało znacznie większej odwagi, niż przypuszczał.

Karin poczuła, jak Rowan zmienia pozycję i odsuwa się od niej. Odwróciła się i zobaczyła, jak się w nią wpatruje oczyma, w których paliło się dziwne światło. Usiadła, widząc, jak sięga po spodnie. - Muszę ci coś powiedzieć, Karin. Wolę, byśmy do tego byli ubrani.

- Możesz mi powiedzieć wszystko, co chcesz, Rowan. Co mają z tym wspólnego ubrania?

- Zrób to, Karin, dobrze? - odpowiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Przełknęła ślinę. Zdołała się już zorientować, że Rowan to skomplikowany człowiek. Cóż takiego chciał jej powiedzieć, że nie mogła przy tym pozostać nago? Zaczęła powoli nakładać ubranie.

Usiadła na łóżku obok niego.

Uśmiechnął się lekko, ale oczy miał poważne. Twarz miał napiętą, szpecił ją grymas.

- Myślałem, że potrafię uniknąć zaangażowania się - zaczął niskim głosem. - Wiesz, że wcześniej doznałem krzywdy i... zresztą opowiedziałem ci to wszystko w szpitalu. Czy cokolwiek z tego pamiętasz?

- Nie - skłamała. - Powiedz mi teraz.

Chwytał obie dłonie Karin, przebiegł palcami po ich grzbietach, patrząc jej jednocześnie głęboko w oczy.

- Muszę ci coś wyjaśnić, Karin. Od tygodni chciałem to z siebie wyrzucić, ale nie wiedziałem jak. - Opuścił wzrok na jej ręce. - Wiem, że myślałaś, że byłem zako-

chany bez wzajemności w mojej byłej żonie. Ale tak nie było. Owszem, czułem się zraniony. Ucierpiała jednak na tym tylko moja duma, ale nie moje serce. Wcześniej, przy Klaudii, byłem za młody, by wiedzieć, czym może być miłość.

Oczy mu rozbłysły.

- Od tamtego czasu wiele się nauczyłem. Zrozumiałem, że jedyną kobietą, jaką naprawdę kocham, jest pewna ciemnowłosa, impertynencka Amerykanka, która za-
władnęła moim sercem na lotnisku w Manchester.

Serce Karin podskoczyło.

- Zawładnęła twoim sercem? W Manchesterze? Aleprzecież dopiero żeśmy się tam spotkali. Nienawidziłeś mnie, Rowan. Nie tak było?

- Najwyraźniej nie - odpowiedział.

Rowan odsunął się i zapatrzył w nią. Mówił ledwie dosłyszalnym głosem.

- Zrozumiałem, że nie mogę bez ciebie żyć, więc zdecydowałem się powziąć
ryzyko - wciągnął głęboko powietrze - związania się z tobą.

Obrócił ją powoli na łóżku, podniósł jej podbródek, aż jej twarz prawie
dotknęła jego twarzy.

- Wyjdź za mnie, Karin.

Karin zachłysnęła się oddechem. Czy dobrze usłyszała? - Co?

- Zostań moją żoną, kochana. - Znów ujął jej dłoń, popieścił delikatnie jej
przegub.

- Ale ja myślałam, że nie chcesz... Rowan przerwał jej, kładąc palec na ustach.

- To prawda - powiedział powoli. - Nie chciałem. Próbowałem cię nie
pokochać. Nie chciałem się wiązać. Ale stało się inaczej, do licha.

Wziął ją w ramiona.

- I pragnę cię.

Serce Karin zdawało się eksplodować. Czy to naprawdę się działo? Rowan nie
chciał więc tylko jej części, ale chciał jej całość? Na resztę życia? Chciał się z nią ożenić?

- Nigdy nie przypuszczałam... dokonałam już rez... och, Rowan, mówisz
poważnie?

- Nigdy nie byłem równie poważny.

Nie było potrzeby nic więcej mówić. W jakiś niezauważalny sposób nauczył się
ufać. Nauczył się jej ufać. Zamknęła oczy i zmówiła cichą modlitwę.

- Kocham cię - powiedziała po prostu.

Włożył rękę do kieszeni, wyciągnął niebieskie aksamitne pudełeczko. Ozdobny
pierścionek z wielkim rubinem zaciążył jej w dłoni.

- Rowan, jaki wspaniały!

- Prababka Karolina też tak uważała. A teraz - oznajmił zważnym tonem - czy
możesz zmienić swoje plany podróży do Stanów i zająć się przygotowaniem sukni
ślubnej na dwunastego grudnia?

Karin zamarła.

- Na dwunastego grudnia?

- W moje urodziny. Zawsze dostaję prezent na urodziny. W tym roku chcę
ciebie jako podarek. - Pocałował ją w czubek nosa. - A poza tym - dodał rzeczowym
tonem - zamówiłem już ojca Doyle'a na uroczystości w kaplicy.

- W kaplicy? Chcesz powiedzieć, że wszystko to zaplanowałeś? I to, że
poprosisz mnie o rękę?

Uśmiechnął się krótko.

- Tak. - W jego oczach pojawiło się pytanie. - Karin, nie powiedziałaś, czy się
zgadzasz. Czy chcesz zostać moją żoną?

- Och! Rowan, na Boga. Spróbuj mnie od tego odwieść! Tak, chcę zostać
twoją żoną.

Splotła dłonie na jego karku i przyłgnęła ustami do jego ust.

- Tak. - Wsunęła nęcąco język między jego wargi, a gdy ją obrócił i wsparł o oparcie łóżka, przywarła do niego rozbudzonym ciałem. - Tak. Tak!

Grudniowy błąd zimerch kładł się cieniami na witraże w kaplicy. Głosy wlatywały i opadały. Wotywny świece rzucały czerwony odblask, ocieplający zimowe światło. Ich wysokie białe siostry, ozdobione wieńcami z czerwonych jagód, płonęły po obu stronach ołtarza.

Rowan i Thorny pojawili się w nawie bocznej. Ktoś zakaszłał wśród zgromadzonych gości.

Karin zapatrzyła się na mężczyznę, który za chwilę miał się stać jej mężem. Stał wyniosły i zgrabny w ciemnym garniturze i srebrnoszarym krawacie, którego marmurowy połysk miał kolor jego oczu. W kłapę marynarki wpiął czerwoną różę. W miarę jak kaplica uciszała się, rosło w nim zdenerwowanie.

Monsignore Doyle, w białej komży i jedwabnej kapie na ciemnej sutannie, podszedł uroczyście do ołtarza. Organy rozbrzmiały *Marszem Weselnym* Mendelssohna i Karin poczuła, jak Leonard popycha ją delikatnie.

Obdarzyła ojczyma drżącym uśmiechem, przyjęła jego nadstawioną rękę i ruszyła do przodu. Maggie wprowadziła jeszcze ostatni porządek w zwoje elżbietańskiej sukni ślubnej o barwie kości słoniowej, uśmiechnęła się do niej promiennie i Karin podążyła w kierunku ołtarza.

Szła przed siebie. Wszystkie oczy zwróciły się ku niej, gdy spływała nawą na spotkanie Rowana. Siedząca w pierwszym rzędzie Atena ścisnęła w dłoni chusteczkę; oczy jej błyszczały. Po drugiej stronie, za Marsdenami, siedzieli Derrick, Paddy, Mac, Robin i Jack, świątecznie wystrojeni. Intensywny zapach czerwonych i białych róż krążył wokół niej. Zbliżała się nieuchronnie coraz bardziej do Rowana, odczuwając wzruszenie, namiętność i radość jednocześnie.

Leonard zatrzymał się przed duchownym, przekazał ją Rowanowi i dołączył do Ateny.

Rowan spojrział na nią lśnącymi oczyma. Patrzyła, jak w jego mocnej szczęce gra mięsień. Poczuła uścisk w gardle. Był śmiertelnie przestraszony.

Uniosła bukiet kremowych róż, wyciągnęła do niego rękę. Próbowała się uśmiechnąć.

Monsignore Doyle odchrząknął.

- ... przybyliście razem do tej kaplicy...

Razem - ona i Rowan dzielili najważniejszy moment życia z innymi, z tymi, którzy byli im najdrożsi. Przywołała w wyobraźni znajome twarze. - ... oby Pan przypieczętował i wzmocnił waszą miłość - zaintonował kapłan.

Tak, modliła się. Wzmocnij wiarę Rowana we mnie. I, Boże, daj mi możliwość kochania go bez żadnych zastrzeżeń.

Podniosła ku niemu wzrok. Prawie nie mogła uwierzyć, że stoi teraz w kaplicy Marsdenów, mając za sobą matkę i Leonarda, którzy byli świadkami tej podniosłej chwili. Stała się jednością, serce, dusza i ciało.

- ...tak to, stojąc przed Chrystusem i Kościołem, dajcie teraz wyraz swym intencjom...

- Ja, Rowan Christian Frederick Arthur Marsden, daję ci moje słowo - głos mu drżał - ofiarowuję ci moją miłość, me dobra ziemskie i moje ciało... na dobre i złe... na życie w bogactwie i ubóstwie, w chorobie i zdrowiu, póki śmierć nas nie rozdzieli.

Karin zajrzała mu w oczy i oświadczyła pewnym głosem:

- Ja, Karin Marie Williams, daję ci swoje słowo. Ofiarowuję ci moją miłość, moje dobra ziemskie... i moje ciało... Ostatnie słowa wypowiedziała ochryplym szeptem. Spojrzała na mężczyznę przed sobą, mężczyznę, którego będzie kochać aż po

kres swych dni.

Zamglony wzrok Karin zatrzymał się na złotej obrączce, którą Rowan nasuwał jej na palec; po chwili znalazła się w jego ramionach. Jego piękne usta otarły się o jej wargi, zawahały i przywarły mocniej, obiecująco. W końcu odstał do tyłu i podał jej swoje ramię, obracając ją ku ich rodzinom i przyjaciołom, ku życiu, które mieli dzielić.

scandalous